



JADWIGA  
COURTHS-MAHLER

Smak szczęścia



Przełożyła: Maria Łobzowska

## Rozdział pierwszy

— Musimy już iść do domu, Rosemarie. Powinienem jeszcze popracować.

— A więc idź sam, Heinz. Przecież jest tak ciepło. Pozwól, abym jeszcze trochę pobyła na dworze.

— Ale usiądź tutaj, na ławce w słońcu. Nie wolno ci się przeziębnić ani zmęczyć!

Na twarzy Rosemarie pojawił się dziwnie smutny wyraz.

— Tak, tak, wiem Heinz! Nie męcz mnie takim upominaniem. Przecież to straszne; stale muszę myśleć o tym, że należy się oszczędzać. Twoja matka powtarza mi to od rana do nocy. Chciałabym więcej o tym nie słyszeć. O wiele bardziej pragnę po prostu, wyszaleć się tak, aby paść ze zmęczenia — odparła wzdychając.

— Ależ, Rosemarie! Przecież wiesz, że to mogłoby ci bardzo zaszkodzić — odpowiedział Heinz ze współczuciem.

Rosemarie znowu głęboko i ciężko westchnęła.

— Tak, wiem — rzekła lekko zniecierpliwiona — ciocia Herta nie może się obejść bez stałego upominania. Och, Heinz, jakie to przykre kiedy jest się chorowitym. Chorowitym i brzydkim! Czy to nie jest złe zestawienie? Ale za to trafne.

Heinz przez chwilę patrzył na kuzynkę zamyślony. Chciał coś powiedzieć, ale się wahał. W końcu rzekł stanowczym głosem:

— No wiesz, nie powiedziałbym, że jesteś brzydka. Z całą pewnością nie!

Na ustach Rosemarie pojawił się smutny uśmiech nadający tej młodej twarzy niewesoły, zrezygnowany wyraz, jaki zazwyczaj można zauważyć u ludzi starych.

— Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego, Heinz, również do brzydoty. Dlatego ja u mnie ledwo dostrzegasz. Wyrosłam obok ciebie taka jaka jestem. Sama nie zwracałam na to uwagi, dopóki ciocia Herta oględnie i czule nie powiedziała mi o tym. Mówi, żebym się tym nie przejmowała i żebym sobie z tego nic nie robiła. Zapewnia mnie, że mimo to oboje mnie kochacie. Nie gnębiłoby mnie to, gdybym, była zdrowa jak inni ludzie. Właściwie wcale nie czuję się chora. Ale ciocia Herta stale wbija mi do głowy, że nie powinnam o tym zapominać.

Heinz zsunął kapelusz z czoła, jak gdyby mu się zrobiło za gorąco.

— Mama życzy ci jak najlepiej, Rosemarie, martwi się jedynie, żebyś się zbyt nie przemęczała. Sądzę jednak, że nie powinna tak często o tym mówić; byłoby lepiej, gdybyś mogła o tym od czasu do czasu zapomnieć. No,

ale brzydka to ty naprawdę nie jesteś — mnie się wręcz bardzo podobasz — rzekł ze współczuciem.

Na ustach Rosemarie znowu pojawił się smutny, zrezygnowany uśmiech.

— Zostaw to, Heinz! Chorowitość i brzydota idą w parze. Tylko zdrowi ludzie są piękni — tak mówi również ciocia Herta. Ale wszyscy nie mogą być tacy — muszą istnieć chorzy i brzydacy, inaczej nie byłoby widać różnicy.

W słowach tych była gorycz. Heinz wyprostował się — był wysoki i szczupły. Westchnął głęboko, jakby mu brakowało powietrza, a na jego młodej, ładnej twarzy nadal widać było wyraz współczucia.

— Nie bądź smutna, Rosemarie. Gdybym mógł cię pocieszyć! Ale nic mi nie przychodzi do głowy. Nie zgadzam się z tym co mama stale powtarza, że szlachetne serce jest więcej warte niż zewnętrzne piękno. Człowiek jest dobry i szlachetny dla innych — a zdrowy jest dla samego siebie. Wiesz, gdybym był na miejscu mamy, w ogóle bym ci nie powiedział, że jesteś chorowita. Na razie, Bogu dzięki, czujesz się dobrze, a wuj Steinau twierdzi, że jest wątpliwe, czy w ogóle ta choroba się objawi. On w to nie wierzy. A gdyby nawet — przeżyłabyś przynajmniej parę beztrudnych, wesołych lat i cieszyłabyś się życiem sądząc, że jesteś zdrowa.

W oczach Rosemarie zabłysła radość i lekki rumieniec oblał jej twarz — delikatną i bynajmniej nie wyglądającą chorowicie.

— Och, tak, to byłoby piękne! Chociaż raz chciałabym wiedzieć, jak to jest, kiedy w ogóle nie trzeba zwracać uwagi na zdrowie. Przecież czuję się zupełnie dobrze. Jeżeli tylko próbuję robić coś co lubię, ciocia Herta zaraz się boi i zakazuje mi. Naprawdę za bardzo się martwi o mnie — a to, że daje mi to odczuć, bardzo mnie przygnębia. Często mam nieodpartą ochotę zignorować wszystkie jej ostrzeżenia i z całych sił szaleć aż do utraty tchu. Wtedy mogłabym nawet umrzeć. W ten sposób wszystko by się skończyło.

W tych namiętnie wypowiedzianych słowach było tyle cierpienia, że Heinz ze współczucia zbladł.

— Ależ, Rosemarie, kochana Rosemarie, nie bądź taka smutna. Żebyś wiedziała jak mi przykro, że nie mogę ci pomóc. Mama powinna ci dawać trochę więcej swobody i już mówiłem jej o tym — ale nie chce ze mną rozmawiać na ten temat. Zaraz staje się nerwowa i wychodzi z pokoju, nie odpowiadając mi ani słowem. Za bardzo cię kocha i straszenie się o ciebie martwi. Wuj Steinau też mówi, że mama przesadza i że męczy cię i siebie. Ale powierzono cię jej opiece i twoje dobro jest jej największą troską.

Rosemarie parasolką rysowała zagadkowe znaki na żwirze, którym były wysypane ścieżki w parku. Zastanawiała się: gdyby ciocia Herta okazywała jej

swoją miłość i troskę starając się ukryć przed nią chórowitość, byłoby jej o wiele lepiej.

Ale nie powiedziała tego — już sama ta myśl wydawała jej się niewdzięcznością. Była świadoma, że nie kocha ciotki Herty tak czule jak ona ją i nie potrafi okazać jej swej miłości. Nic na to nie mogła poradzić, chociaż miała wyrzuty sumienia.

— Wiem, Heinz, jak wiele zawdzięczam ciotce Hercie. Zdaję sobie sprawę z tego, że to nieładnie, iż buntuję się przeciwko jej trosce, ale nie masz pojęcia jak bardzo tęsknię za odrobiną swobody. Czasem mam wrażenie, że jestem w klasztorze lub w więzieniu.

Heinz lekko potrząsnął ją za ramiona:

— Jesteś niemądra, Rosemarie! Jesteś właścicielką majątku Waldeck, a ten ogromny piękny park — moim zdaniem — wcale nie przypomina więzienia.

Rosemarie westchnęła wskazując na mur parkowy:

— Tam są mury klasztorne — one ograniczają mój mały świat.

— No, no, czyż nie opuszczasz tych murów i to często, kiedy jedziemy na przykład do Steinau?

Uśmiechając się Rosemarie uściśnęła mu rękę:

— Jesteś dobrym chłopcem, kochany Heinz, i jesteś niestrudzony w pocieszaniu mnie, chociaż jesteś ode mnie młodszy o całe trzy lata.

Heinz ucieszył się, że Rosemarie wygląda na pocieszoną.

— Jestem przecież mężczyzną, a ty należysz do płci słabej.

— Gdyby to słyszała Hilda Steinau, wyśmiałaby cię. Nie uznaje, że jesteś już mężczyzną.

Oczy młodzieńca zaiskrzyły się:

— Jeszcze się o tym przekonaj! Jednak muszę już iść popracować. Najpierw obowiązek, potem przyjemność. Żegnaj, na razie, Rosemarie!

— Z Bogiem, Heinz.

Młoda dama usiadła na osłonecznionej ławce i patrzyła za odchodzącym kuzynem. Szybko szedł ku domowi, ale jeszcze się odwrócił i pomachał jej ręką.

Ledwo zniknął za drzewami, Rosemarie von Waldeck zerwała się, rzucając parasolkę i kapelusz na ławkę. Wyprostowała smukłe ciało ubrane w nieładną i nietwarzową suknię z ciężkiego jedwabiu, ukrywającą jej zgrabne kształty. Ostrożnie i bacznie rozejrzała się wokół, a kiedy stwierdziła, że jest sama, uniosła suknię i pobięła wzdłuż szerokiej ścieżki, kilkakrotnie zawracając, aż bez tchu opadła na ławkę.

Jej oczy błyszczały, a na twarzy pojawił się zdrowy rumieniec. Och — jakie to przyjemne — to jest wspaniałe! Bogu dzięki, że nie zawsze jestem pod nadzorem — myślała i głęboko wdychała wiosenne zapachy.

Kiedy się trochę uspokoiła powtórzyła bieg jeszcze raz. Z przyjemnością wciągała w płuca chłodne powietrze. Serce biło jej trochę szybciej, ale poza tym nie czuła żadnych dolegliwości. Po kilku minutach wzięła kapelusz i parasolkę, i elastycznym krokiem — nie zdradzającym osłabienia ani choroby, poszła w głąb starego parku.

Zatrzymała się, kiedy dotarła do muru otaczającego park. Tuż przy nim rosła bardzo stara, rozłożysta lipa. Wokół jej grubego pnia zbudowano wąskie kręte schodki, tak że można było się wspiąć do korony drzewa. Między dwoma ogromnymi konarami była ławeczka.

To było ulubione miejsce Rosemarie. Zwinnie weszła po wąskich schodkach i usiadła ukryta wśród gęstych soczystozielonych liści drzewa.

Stąd mogła widzieć, co się dzieje za murem i obserwować drogę, która prowadziła wzdłuż muru.

Miała radosny wyraz twarzy — zawsze się tutaj czuła dobrze. Przed laty zbudowano tę ławeczkę na jej życzenie a ona polubiła ją szczególnie od śmierci ojca.

Ale od niedawna to miejsce miało szczególną siłę przyciągania i to właśnie o tej porze. Spojrzała na zegarek.

— Jeszcze dziesięć minut do jedenastej — niedługo powinien się zjawić — powiedziała cicho sama do siebie. Pełna oczekiwania patrzyła na drogę.

Na razie nic nie było widać — zamyśliła się więc i zaczęła marzyć: gdyby mi codziennie nie wmawiano, że jestem chora, wcale bym o tym nie wiedziała. Zawsze czuję się dobrze i jestem wesoła, jeżeli mogę się wyhasać. W ogóle, na świeżym powietrzu czuję się silna i zdrowa. Nie znoszę kiedy mnie ciocia Herta trzyma w przegrzanym pokoju i owija szalem lub kocem — wtedy jestem nieszczęśliwa. Och, gdybym nie była taka bojaźliwa i bezwolna! Niechbym i umarła kilka lat wcześniej — czy to nie byłoby lepsze niż latami męczyć się i żyć w stałym odmawianiu sobie wszystkiego? Czy naprawdę muszę zrezygnować ze wszystkiego co cieszy innych młodych ludzi? Nie wolno mi tańczyć ani skakać, aby się nie rozgrzać i nie przeziębic. Jakie to wszystko smutne — rozmyślała zmartwiona.

Rosemarie była sierotą i równocześnie panią majątku, pięknego i dużego. Rodziców straciła w wypadku. Przed dziesięcioma laty jej ojciec — jako pierwszy w okolicy kupił samochód, a potem on i jego żona stali się jednymi z pierwszych ofiar tego sportu.

Na jednym z zakrętów odmówiły posłuszeństwa hamulce i wpadli na betonowy słup mostu. Samochód został całkowicie zniszczony.

Pani Maria von Waldeck poniosła śmierć na miejscu, a pan von Waldeck miał uszkodzony kręgosłup. Wprawdzie żył jeszcze cztery lata, ale był to okres pełen smutku i cierpienia. Sparaliżowany, spędził resztę życia na wózku inwalidzkim.

Czteroletnie kalectwo ojca miało przygnębiający wpływ na Rosemarie. Była w wieku, kiedy podobne przeżycia wywierają niezatarte ślady na duszy dziecka. Rozpacz z powodu utraty ukochanej matki, troska o sparaliżowanego ojca, który zawsze był ruchliwym, imponującym mężczyzną sprawiły, że Rosemarie stała się cichą, smutną dziewczynką, tym bardziej, że w obecności ojca ukrywała swoje zmartwienia.

Zaraz po śmierci żony, Ernst von Waldeck, poprosił swoją szwagierkę — siostrę żony — aby przyjechała i zajęła się domem i dzieckiem. Herta von Ribnitz była wdową po oficerze, który roztrwonił majątek żony, wmieszał się w różne miłosne awantury i w końcu zginął w pojedynku.

Jego żona i jedyny syn zostali w opłakanych warunkach. Herta von Ribnitz jako siostra matki Rosemarie korzystała z jej pomocy, ponieważ Ernst von Waldeck był nie tylko właścicielem dużego majątku ziemskiego, ale miał również bardzo okazałe konto w banku.

Herta von Ribnitz i jej syn byli jedynymi krewnymi Waldecków. Biedna, zdradzana i oszukiwana przez męża kobieta, często z goryczą i zawiścią patrzyła na szczęście siostry. Serce jej się ścisnęło widząc małą Rosemarie w dobrobycie, jako bogatą dziedziczką, podczas gdy jej syn Heinz skromnie wegetował.

Uważała, że Heinzowi los poskąpił szczęścia i była gotowa ponieść każdą ofiarę, aby zapewnić synowi lepszą przyszłość. Kiedy szwagier wezwał ją do Waldeck, nie zastanawiając się, przyjęła jego propozycję, aby Rosemarie zastąpić matkę i zostać panią domu. Natychmiast postanowiła, że musi to wykorzystać dla syna.

Najpierw robiła wszystko, aby schorowany, kaleki szwagier nie mógł się bez niej obejść. Wzięła w swoje ręce nie tylko sprawy związane z prowadzeniem domu, ale i wszystko co dotyczyło majątku. W niedługim czasie nauczyła się zarządzać majątkiem i pilnować najdrobniejszych spraw. Nic nie uszło jej oczom, a służba bała się jej i była jej posłuszna.

Ernst von Waldeck z podziwem patrzył na zdolności i pracę szwagierki. Będąc unieruchomiony w wózku inwalidzkim traktował jako wielkie szczęście,

że Herta stopniowo przejmowała nadzór nad majątkiem i uwolniła go od obowiązków.

Poza tym otoczyła go najczulszą opieką; zawsze miała czas, nigdy nie była zmęczona. Dla jego dziecka była drugą matką — takie przynajmniej były pozory!

Herta von Ribnitz w niedługim czasie potrafiła zostać prawdziwą panią majątku, a dla pana von Waldeck stała się wręcz niezastąpiona — najchętniej nie pozwoliłby jej odejść od siebie. Umiała go czule pocieszać, wyszukiwała małe, lekkie zajęcia, aby go czymś zająć i jak nikt potrafiła przekonywająco mówić, że nie ponosi winy za śmierć żony.

Pan von Waldeck nie zdawał sobie sprawy z tego, jak dalece uległ jej wpływom i ani się spostrzegł, jak sprytnie podsunęła mu myśl, że powinien się z nią ożenić, aby na zawsze została w jego domu.

Ernst von Waldeck nigdy sam nie wpadłby na taki pomysł; był chorowitym kaleką, ale Herta umiała sprawą tak pokierować, że ta propozycja wyszła od niego.

Sprytnie wykorzystywała każdą szansę i wszelkie dyplomatyczne zabiegi, aby osiągnąć swój cel. Widziała go już w zasięgu ręki jednak los pokrzyżował tak żmudnie opracowany plan.

Ernst von Waldeck pewnej nocy zasnął na zawsze, chociaż pozornie od lat stan jego zdrowia nie zmieniał się.

Herta von Ribnitz szalała i roniła gorzkie łzy. Cała jej nadzieja i wszystkie plany legły w gruzach.

Zrozpaczona Rosemarie klęcząc przy katafalku ojca zobaczyła wybuch bólu ciotki i wyczuła, że jej łzy są szczerze. Po raz pierwszy, dobrowolnie schroniła się w jej objęciach, szukając pocieszenia. Rosemarie przecież nie miała pojęcia, jaki był prawdziwy powód rozpacz tej kobiety.

Niedługo po śmierci Ernsta von Waldeck otwarto testament. Sporządził go zaraz po śmierci żony i nie myślał wtedy ani o Hercie, ani o Heinzu.

Rosemarie była jedyną spadkobierczynią. Sąsiad i najlepszy przyjaciel, Jobst von Steinau, został mianowany opiekunem Rosemarie. Dla wiernych pracowników i oddanej służby były przewidziane zapisy. A Herta i jej syn nie otrzymali niczego.

Herta wiedziała o tym wcześniej. Dawniej Ernst von Waldeck często wyrażał zamiar zmiany testamentu i uwzględnienia w nim Herty i jej syna. Ale kiedy Herta podsunęła mu pomysł wzięcia z nią ślubu i zabezpieczenia jej w ten sposób, dawne zamiary zostały zapomniane.

Jobst von Steinau znał Herfę von Ribnitz jako kobietę mądrą i zdolną do poświęceń, zwłaszcza podczas pielęgnowania jego zmarłego przyjaciela i wychowywania Rosemarie. Z tego powodu pozostawił jej wolną rękę po śmierci Ernsta von Waldeck. Nie wtrącał się do niczego, nawet do spraw, w których miał odmienne zdanie i w których musiałby wyrazić swój sprzeciw.

W ten sposób Rosemarie była całkowicie zależna od swojej ciotki. Sądziła, że jest to rzeczą naturalną i bez sprzeciwu godziła się na wszystko co ciotka postanowiła.



## Rozdział drugi

Po śmierci ojca Rosemarie przez dłuższy czas była załamana fizycznie i psychicznie. Poza tym nabawiła się silnego przeziębienia; nie mogła się wyleczyć z uporczywego kataru ani pozbyć gorączki.

Podczas tej choroby Herta von Ribnitz bardzo sumiennie pielęgnowała siostrzenicę, wykazując przy tym wiele troski. Ale kiedy pewnego wieczora siedziała przy łóżku gorączkującej dziewczynki i rozmyślała o swoich zniweczonych planach, nagle przysła jej do głowy samolubna myśl: gdyby Rosemarie zmarła, wszystko co posiada stałoby się własnością moją i mojego syna!

Przez chwilę opanowało ją gorące i namiętne życzenie, aby to młode życie zgasło.

Te grzeszne myśli torowały sobie również inne drogi: nie, Rosemarie nie musi umierać, może spokojnie żyć dalej. Nie wolno jej jednak wyjść za mąż, aby żaden obcy mężczyzna nie został panem majątku Waldeck! Jeżeli Rosemarie nie wyjdzie za mąż, nie będę miała trudności, aby tutaj wszystko utrzymać w swoich rękach, a później Heinz mógłby zająć moje miejsce. Musi studiować agronomię, żeby w przyszłości mógł tutaj rządzić. Rosemarie będzie bezradna i zgodzi się na wszystko!

Herta von Ribnitz ponuro patrzyła przed siebie i zastanawiała się: jeżeli dziedziczka majątku Waldeck pewnego dnia wyszłaby za mąż, wtedy ona i jej syn musieliby zabrać manatki i opuścić Waldeck. Wtedy okazałoby się, że nadaremnie wysilała się i bez potrzeby zmarnowała najlepsze lata swojego życia.

Coraz bardziej dojrzewało jej postanowienie, że Rosemarie musi pozostać niezamężna. Nie przebierała w środkach, aby ten cel osiągnąć.

Po przemyśleniu i ułożeniu kolejności postępowania, przystąpiła do wprowadzenia w życie swojego planu. Przede wszystkim wykorzystwała chwilową chorobę i psychiczne załamanie dziewczynki, aby zrobić pierwsze kroki ku urzeczywistnieniu swojego planu.

Stary wiejski doktor, bardzo doświadczony i leczący w całej okolicy wszystkich właścicieli ziemskich, stwierdził u Rosemarie zapalenie oskrzeli.

Kiedy przyszedł następnego dnia, pani von Ribnitz poprosiła go do gabinetu. Zwróciła się do niego udając wielkie zaniepokojenie:

— Drogi panie doktorze, muszę przed panem otworzyć serce. Z powodu Rosemarie jestem strasznie przygnębiona. Prawdopodobnie pan wie, że matka

Rosemarie chorowała na płuca i że bez względu na wypadek niedługo zakończyłaby swoje życie?

Stary doktor był zdziwiony i potrząsał głową:

— Nie, łaskawa pani. Nic o tym nie wiem. Pani von Waldeck miałyby chorować na gruźlicę? Nigdy o tym nie słyszałem, a badałem ją nieraz. Niczego nie zauważyłem i zawsze stwierdzałem, że jest zdrowa jak rydz! Nigdy nie potrzebowała mojej pomocy.

Pani von Ribnitz ciężko westchnęła.

— A jednak chorowała na gruźlicę, już od czasów wczesnej , młodości. Trzymała to jednak w tajemnicy — nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. Sądziłam, że pan jako doktor był w to wtajemniczony. Ale widzę, że siostra korzystała z porad lekarskich wyłącznie za granicą — była bardzo wrażliwa pod tym względem i nigdy nie chciała ze mną na ten temat rozmawiać. Przede wszystkim nigdy nie chciała na siebie uważać i szanować zdrowia.

Doktor potrząsał głową skonsternowany:

— Widzi pani, jestem zupełnie zmieszany. Jak wspomniałem, nigdy nie leczyłem pani siostry, chociaż nie raz ją badałem — ale ani razu nie zauważyłem niczego, co mogłoby wywołać myśl, że jest tak ciężko chora. Ale oczywiście, są wypadki, że gruźlicy dobrze wyglądają — hm? Czy może mi pani powiedzieć coś więcej o tej chorobie?

Herta von Ribnitz nerwowo przetarła czoło:

— Jako młoda dziewczyna moja siostra przeszła ciężkie zapalenie płuc. Po pewnym czasie lekarze stwierdzili początki gruźlicy. Wtedy siostra spędziła całą zimę we Włoszech — towarzyszyła jej matka. Dzisiaj rano przeglądałam stare listy mojej matki, które wtedy przesyłała z Włoch — zaniepokoiły mnie jej słowa pełne trwogi. — Dzisiejszej nocy Rosemarie bardzo silnie kaszłała — pył to taki sam kaszel, jaki wtedy słyszałam u jej matki. Sądzę, że jest moim obowiązkiem zawiadomić o tym pana doktora.

Doktor zamyślił się — był człowiekiem dobrodusznym i nie przyszło mu do głowy, że pani von Ribnitz celowo nie mówi prawdy. W całym jej opowiadaniu prawdziwa była tylko mała część: Maria von Waldeck, jako młoda pani, przechodziła lekkie zapalenie płuc. Niemniej została całkowicie wyleczona, a do Włoch wysłali ją rodzice, aby na południu spędziła zimowe miesiące. Maria von Waldeck była zdrowa jak rydz kiedy wychodziła za męża.

Stary doktor oczywiście musiał wierzyć pani von Ribnitz.

Herta pokazała mu list zmarłej siostry — matki Rosemarie. Pisała wtedy: „Możesz sobie wyobrazić, moja kochana Herto, że troska o płuca Rosemarie nie pozwalała mi cieszyć się otaczającym nas pięknem”.

Ten list Herta celowo pokazała doktorowi, a słowa zatroskanej matki dały staremu doktorowi dół myślenia. Po chwili odezwał się:

— Biorąc to pod uwagę, należy zapaleniu oskrzeli naszej młodej pacjentki poświęcić szczególną uwagę — musimy być podwójnie ostrożni. Dobrze, że pani zwierzyła mi się, łaskawa pani. Jeszcze raz zbadam pacjentkę bardzo dokładnie, a w przyszłości należy na nią szczególnie uważać.

Pani von Ribnitz głęboko westchnęła:

— Strasznie się martwię o to biedne dziecko, drogi panie doktorze!

— Oczywiście, to jest zrozumiałe, chociaż nie ma powodu do obaw przed czymś poważnym.

Rosemarie została bardzo dokładnie zbadana, ale doktor nie stwierdził niczego innego oprócz ostrego zapalenia oskrzeli. Uspokoił panią von Ribnitz, potraktował jednak sprawę poważniej niż podczas pierwszej wizyty, zalecił dużą ostrożność i wszechstronne oszczędzanie młodej damy.

Pani von Ribnitz opowiadała wszystkim, którzy chcieli tego słuchać, że strasznie martwi się o Rosemarie, ponieważ jest ze strony matki dziedzicznie obciążona chorobą płuc.

Niedomówieniami i półsłówkami zdradziła więcej niż gdyby wypowiedziała określone opinie. Nie trwało długo, a cała okolica wiedziała, że Rosemarie oddziedziczyła po matce gruźlicę — musi się bardzo pilnować przed jakimkolwiek wysiłkiem i należy ją otoczyć szczególną opieką.

Był jednak ktoś, kto nie dał się przekonać, że Maria von Waldeck chorowała na gruźlicę. Tym człowiekiem był Jobst von Steinau, opiekun Rosemarie. Po prostu wyśmiał Hertę von Ribnitz kiedy mu o tym opowiedziała.

— Moja droga pani Herto! Pani widzi upiory! Pani siostra była okazem wspaniałego zdrowia. Niezmordowanie uprawiała wszelkie sporty, zawsze czuła się dobrze i była wesoła. Nie, nie — może kiedyś naprawdę chorowała, ale nie wtedy — przecież ją znałem od lat.

Nie dał się przekonać, a Hercie von Ribnitz bardzo zależało na tym, aby właśnie opiekun Rosemarie uwierzył w to co mówiła. Kiedy pewnego dnia przyjechał do Waldeck, pokazała mu pewien list.

— Proszę to przeczytać, drogi panie Steinau. Zwróciłam się wtedy do lekarza mojej siostry, dr Soltau z prośbą, aby zaświadczył, jaki jest jej stan zdrowia tuż przed zamążpójściem. Oto jego odpowiedź.

Jobst von Steinau przeczytał list dr Soltau, który potwierdził, że Maria von Hassbach, późniejsza pani von Waldeck, po przebyciu zapalenia płuc zapadła na gruźlicę.

Jobst von Steinau musiał uznać ten dowód i był nim głęboko wstrząśnięty. Nie przyszło mu do głowy, że pani von Ribnitz prowadzi nieuczciwą grę — nie przypuszczał, że mogła mu pokazać sfałszowany list. Był przekonany o jej uczciwości tak samo jak Ernst von Waldeck i nie posądzał jej o złą wolę, a już zupełnie nie o oszustwo.

Rosemarie wyzdrowiała po zapaleniu oskrzeli i powoli ocknęła się z przygnębienia, które ją opanowało po śmierci ojca. Jednak po powrocie do zdrowia nie spotykała się z nikim z wyjątkiem rodziny opiekuna, ciotki i jej syna.

Ciotka Herta oględnie ostrzegła ją, że musi bardzo uważać na swoje zdrowie, że musi prowadzić bardzo spokojny tryb życia, żeby nie wybuchła choroba, którą odziedziczyła po matce.

Na początku Rosemarie podchodziła do tego obojętnie — była jeszcze apatyczna i osłabiona. Czym bardziej odzyskiwała zdrowie i siły, tym bardziej przykra była przesadna troska ciotki.

Tak mijały lata. Czasem Rosemarie buntowała się przeciwko rygorom ciotki i powoływała się na diagnozy doktora, który nie stwierdził u niej niczego niepokojącego. Kiedyś pani von Ribnitz westchnęła głęboko i oświadczyła, że nie można polegać na wiejskim lekarzu i należy usłyszeć diagnozę słynnego profesora w Berlinie.

Rosemarie wcale się nie sprzeciwiała — za bardzo cieszyła się na ten wyjazd.

Pojechały więc do Berlina. Słynny profesor zbadał Rosemarie, a potem odbył rozmowę z panią von Ribnitz w cztery oczy.

W drodze powrotnej do domu pani von Ribnitz była bardzo przygnębiona i zapłakana. Objęła Rosemarie i czule pogładziła ją po policzku. Młoda dziewczyna zaczęła się denerwować.

— Ciociu, powiedz wreszcie co profesor stwierdził — jaki jest stan mojego zdrowia? Kiedy mnie badał wydawał mi się zadowolony, ale teraz widzę, że tobie powiedział coś złego!

Pani Herta von Ribnitz otarła oczy, wyprostowała się i rzekła:

— Tak, moje dziecko — musisz się dowiedzieć, lepiej żebyś wszystko wiedziała. A więc — na razie nie dzieje się nic groźnego, chociaż są ślady, że twoje płuca nie są zupełnie zdrowe. Istnieje obawa, że jest to predyspozycja do poważnej choroby. Ale niezależnie od tego będziesz mogła długo żyć, jeżeli będziesz bardzo uważać na swoje zdrowie, tak jak dotychczas. Tylko jedna rzecz jest wykluczona — nie wolno ci wyjść za mąż, ponieważ to spowodowałoby twoją szybką śmierć! Ale moje drogie dziecko, to nie jest nic

złego — tyle kobiet nie wychodzi za mąż i są szczęśliwe. A małżeństwo nie zawsze oznacza szczęście — sama tego doświadczyłam. Ponieważ nie jesteś ładna, każdy mężczyzna, który by chciał się z tobą ożenić, zrobiłby to wyłącznie dla twojego majątku. Nieprawdaż — jesteś roztropna i nie przejmujesz się tym? Zostaniemy nadal razem w Waldeck — będę się tobą opiekować i czuwać nad tobą. Nie przeżyłabym, moja kochana Rosemarie, gdyby los zabrał mi jeszcze i ciebie!

Rosemarie nigdy nie myślała o zamążpójściu. Sądziła, że jest brzydka i chorowita, a poza tym nie spotkała ani razu młodego mężczyzny, który by wzbudził w niej chęć zamążpójścia. Tak więc nie przejęła się słowami ciotki — odrażająca była tylko myśl o wiecznym uważaniu na siebie i o natrętnej opiece ciotki.

— To nie takie straszne, że nie mogę wyjść za mąż, ciociu Herto! Bez względu na wszystko nie zrobiłabym tego — wiem, że jestem brzydka. Gdybym tylko nie musiała sobie wszystkiego odmawiać i wiecznie myśleć o zdrowiu — reszta mnie nie obchodzi. Możesz być spokojna — nigdy nie wyjdę za mąż — powiedziała całkiem obojętnie.

Herta von Ribnitz była zadowolona ze skutku swoich słów.

Od tej podróży minęły dwa lata. Rosemarie ukończyła dwadzieścia jeden lat i była pełnoletnią panią majątku Waldeck. W rzeczywistości nadal nieograniczenie rządziła tu Herta von Ribnitz; służba to wiedziała i respektowała.

Heinz von Ribnitz od lat uczęszczał do gimnazjum w sąsiednim mieście i przyjeżdżał tylko podczas wakacji. Zgodnie z życzeniem matki po maturze miał studiować agronomię.

Rosemarie prowadziła ciche i samotne życie. Jej zdrowy organizm coraz częściej buntował się przeciwko bezczynności i wylegiwaniu się, do którego zmuszała ją ciotka. To spowodowało, że w tajemnicy przed nią i wbrew jej zakazowi, Rosemarie uprawiała sport. Dzięki temu zachowała prężną i smukłą sylwetkę.

Kiedy wiedziała, że nikt jej nie widzi, gimnastykowała się, biegała i wspinała na drzewa jak wiewiórka nie bacząc na to, że była zgrzana i przyjemnie zmęczona.

Z jednej strony park graniczył z rzeką. Do wąskiej kładki przywiązana była łódka. Przy pięknej pogodzie Heinz wiosłował, a Rosemarie oparta o poduszki i okryta szalem, siedziała i smutno patrzyła na fale. Wcale jej się to nie podobało. Ale skoro tylko wiedziała, że ciotki Herty nie ma w domu i nikogo nie było w pobliżu, wskakiwała do łodzi, odwiązywała ją i wesoło wiosłowała

wzdłuż rzeki. Jakaż była wtedy szczęśliwa i zadowolona, że czuje się dobrze — wcale nie chciała myśleć o chorobie i wcale nie chciała oszczędzić wysiłku fizycznego.

Herta von Ribnitz nie zdawała sobie sprawy z tego, jak okrutnie krzywdziła dziecko swojej siostry. Pozwalała Rosemarie tylko na to, co nie krzyżowało jej planów — sprawą najważniejszą było to, żeby dziewczyna nie wyszła za mąż. Ciotka robiła wszystko, aby Rosemarie wyglądała niekorzystnie — ubierała ją źle, aby nie wzbudziła niczyjego zainteresowania.

Rosemarie było zupełnie obojętne jak wygląda — pogodziła się z faktem, że jest brzydka. Postanowiła, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Ponieważ nie spotykała młodych ludzi, uczuciowo nie była jeszcze rozbudzona, a jej młode serce było nietknięte.

Ale przed kilkoma tygodniami miała spotkanie z pewnym młodym mężczyzną, które ją dziwnie poruszyło. Nikt o tym nie wiedział.

Pewnego ranka, kiedy ciotka była w mieście, pobiegła do parku, odwiązała łódkę i powiosłowała wzdłuż rzeki. Ciesząc się ze swobody popłynęła poza teren majątku Waldeck. Zatrzymała się na zakolu rzeki. Tam odpoczywała i patrzyła na zamek Teklenburg. Kiedyś był to najpiękniejszy zamek w całej okolicy. Obecnie był nie zamieszkanym, zaniedbanym, a budynkiem gospodarskim groziło zawalenie.

Rosemarie zawsze czuła smutek kiedy patrzyła na ten zamek. Dawno temu mieszkali tam przyjaciele rodziców. Teraz zamek wprawdzie należał jeszcze do młodego barona Hennera von Teklenburg, ale baron od dawna tam nie mieszkał.

Bardzo dobrze sobie go przypominała. Kiedy jeszcze żył ojciec, baron często przyjeżdżał do Waldeck i nie raz uprzyjemniał czas sparaliżowanemu sąsiadowi.

Młody baron Teklenburg przejął majątek po ojcu w nie bardzo dobrym stanie. Niemniej, chociaż jego warunki finansowe nie były korzystne, zawsze był pogodny. Był oficerem i nie miał zamiaru rezygnować ze służby wojskowej, aby zarządzać pozostałością majątku. Nie widział w tym sensu.

Zamek niszczał coraz bardziej, ponieważ nie było kapitału, aby go remontować i na bieżąco utrzymywać.

Kiedy Henner przyjeżdżał na urlop, codziennie bywał w Waldeck. Często prosił ojca Rosemarie o pomoc lub radę, kiedy wszystko inne zawiodło. Dużą część lasu i pół majątku Teklenburg nabył pan von Waldeck, gdyż Henner nie miał środków, aby je utrzymywać.

Rosemarie dokładnie przypominała sobie małą scenkę z ostatnich dni życia swojego ojca. Siedziała obok niego i rozmawiała z nim, kiedy wszedł Henner.

Młody baron przysunął krzesło i usiadł przy nich. Rosemarie znowu stanął przed oczami — jak żywy — młody szczupły mężczyzna. Miał wtedy około dwudziestu pięciu lat. Wzdychając i śmiejąc się rzekł do ojca Rosemarie:

— Przyjechałem na urlop, aby zdobyć gotówkę. Panie von Waldeck, Bóg tylko wie, jak mi ciężko — moje dochody są coraz mniejsze. Jeżeli dalej tak będzie, nie pozostanie mi nic innego, jak rozglądać się za bogatą żoną, inaczej Teklenburg przepadnie. Wtedy opuszczę wojsko i zajmę się majątkiem. Człowiek jest jednak przywiązany do ziemi, jeżeli urodził się na wsi.

— Byłaby wielka szkoda, gdyby majątek Teklenburg jeszcze bardziej zaniedbano — a więc życzę panu, aby pan wkrótce znalazł bogatą żonę, która wyzwoli pana ze wszystkich trosk — odpowiedział ojciec.

Henner zaśmiał się:

— To nie będzie takie łatwe, panie von Waldeck. Niełatwo znajdę żonę, która by mi odpowiadała. Musi być nie tylko bogata, ale i ładna, tak ładna żebym się w niej mógł zakochać. Bez miłości nie ożenię się — chcę pozostać człowiekiem honoru.

Rosemarie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, a on lekko pociągnął ją za gruby kasztanowy warkocz i zaczął mówić o czymś innym.

Kiedy ich opuścił, pan von Waldeck położył rękę na główce córki i powiedział:

— Henner jest wspaniałym młodym mężczyzną, prawdziwym rycerzem bez zarzutu. Życzyłbym sobie takiego zięcia, pomimo jego ubóstwa. Rosemarie, tobie on też się podoba, czyż nie?

Ż dziecinną szczerością przytaknęła:

— Och tak, bardzo go lubię; zawsze jest pogodny kiedy nas odwiedza. Ma takie dobre, wesołe oczy.

— Tak, chociaż nie powodzi mu się najlepiej, nie daje tego po sobie poznać, i nie poddaje się. No — kto wie jak się sprawy dalej potoczą?

To wspomnienie było żywe w jej pamięci i myślała o nim kiedy tego słonecznego poranka odpoczywała w łódce, patrząc na zamek Teklenburg. Jej myśli były zaprzątnięte Hennerem i tym co o nim słyszała od tego czasu. Nie widziała go od dnia pogrzebu swego ojca, kiedy specjalnie przyjechał na kilka godzin ze stolicy.

Jobst von Steinau, który również przyjaźnił się z ojcem Hennera, od czasu do czasu przywoził od niego pozdrowienia do Waldeck.

Mniej więcej dwa lata po śmierci ojca Rosemarie, Henner zaręczył się z pewną młodą damą. Zakochał się w pięknej dziewczynie nie wiedząc kim jest. Kiedy został jej przedstawiony dowiedział się, że Alice von Sternfeld jest córką przemysłowca, którego ogromne bogactwo było powszechnie znane.

Henner oświadczył się, był naprawdę zakochany i szczęśliwy, że młoda dama była mu przychylna i nie odtrąciła go.

Ojciec Alice niedawno otrzymał tytuł szlachecki, dlatego szukał dla córki męża wśród starej rodowej arystokracji. Chętnie przyjął oświadczyny młodego barona, który należał do jednego z najstarszych rodów w kraju.

Alice von Sternfeld uważała, że Henner jest sympatyczny i bez sprzeciwu spełniła życzenie swojego ojca, ale nie odwzajemniała głębokiej miłości, którą darzył ją narzeczony.

Zaręczyny Hennera z dziedziczką milionera wzbudziły wtedy wielką sensację.

Rozpoczęły się przygotowania do odnawiania zamku Teklenburg. Do Hennera — z całego ogromnego majątku — należał już tylko zamek, piękny park ze starymi drzewami i parę akrów ziemi, które wydzierżawił. Pozostały majątek stopniowo spieniężał, ponieważ nigdzie nie mógł otrzymać pożyczki. Jego przyszły teść nie zamierzał odzyskać sprzedanego lasu i pól, ponieważ życzeniem Alice było, aby Henner pozostał oficerem. Natomiast feudalny zamek przyszły teść postanowił w całości odrestaurować, zburzyć zabudowania gospodarskie, i na ich miejscu postawić stajnie dla wierzchowców i garaże.

Pan von Sternfeld wysłał do Teklenburga architekta, który miał przygotować plany i sporządzić kosztorys. W całej okolicy dużo o tym, mówiono. Jednak ledwo architekt wyjechał, w okolicy gruchnęła pogłoska, która okazała się prawdą.

Henner zerwał zaręczyny z Alice von Sternfeld. Poza tym miał pojedynek ze swoim przyjacielem, panem von Simar. Okazało się, że Alice von Sternfeld zdradzała narzeczonego. Pewnego dnia Henner zaskoczył ją w niedwuznacznej sytuacji ze swoim najlepszym przyjacielem i wtedy wybuchnął skandal. Przyjaciele stanęli naprzeciw siebie: Henner przestrzelił przeciwnikowi lewe ramię tak nieszczęśliwie, że ten już nigdy nie mógł ruszać ręką. Henner nie został ranny, ale musiał odbyć krótki areszt w twierdzy.

Te przeżycia wywarły na nim trawłe ślady. Po odbyciu aresztu opuścił wojsko i rozpoczął hulaszczę życie, nie zwracając uwagi na ostrzeżenia przyjaciół i znajomych. Jego miłość do Alice von Sternfeld musiała być bardzo głęboka, a poza tym zawiódł go najlepszy przyjaciel. Mówiono, że stał się zupełnie innym człowiekiem — prowadził szalone życie, aby zagłuszyć



rozczarowanie i ból. Wyglądało na to, że życie straciło dla niego jakąkolwiek wartość. Bez zastanowienia wydawał pieniądze, sprzedawał pola i łąki, a w końcu kazał sprzedać piękne meble z zamku Teklenburg. Doszedł do tego, że zaczął wyrąb starych buków i dębów w zamkowym parku. Nie spoczął, aż nie został całkowicie zrujnowany.

Przed kilkoma tygodniami Rosemarie słyszała jak Jobst von Steinau powiedział do ciotki Herty:

— Skończyły się szaleństwa Hennera Teklenburga. Nie zostało mu już nic co mógłby spieniężyć, a na zrujnowany zamek i walące się zabudowania gospodarskie nikt mu nic nie pożyczy. Ciekaw jestem, czy się wreszcie uspokoi? Szkoda go — mimo wszystko był wspaniałym człowiekiem. Zrujnował sam siebie, ponieważ zdradziła go kobieta zawiódł przyjaciel. Serce mi pęka — przecież widziałem jak rósł na moich oczach i zawsze sprawiał mi radość. Co mu teraz pozostało? Albo wyemigruje do Ameryki, albo...

Jobst von Steinau zrobił ręką ruch, jakby przyłożył pistolet do skroni.

W tym momencie Rosemarie poczuła ból w sercu. Oczami wyobraźni znowu zobaczyła przed sobą Hennera fakię, jakim był wtedy, gdy rozmawiał z jej ojcem. Zrobiło jej się przykro, kiedy pomyślała o tym, że ojciec tak bardzo go lubił. W uszach miała słowa ojca: „Życzyłbym sobie takiego zięcia, pomimo jego ubóstwa. Rosemarie, on się tobie też podoba, czyż nie?”

Fakt, że Henner sam doprowadził się do takiego nieszczęścia, wielce zasmucił Rosemarie. Nie mogła przestać o nim myśleć. Jak bardzo musi być nieszczęśliwy z powodu zdrady narzeczonej, skoro zniszczył swoje życie i jak szalony szuka zapomnienia.

Nagle Rosemarie zaczęła czytywać romanse, których dotychczas nie lubiła. Ciotka Herta zabroniła jej tych lektur. Z czasem Rosemarie przestała słuchać poleceń ciotki. Po kryjomu zabierała książki z biblioteki i czytała je w swoim pokoju lub na ulubionym miejscu, wśród gałęzi starej lipy.

Młoda dziewczyna zaczęła się zastanawiać nad zjawiskiem miłości.

Zawsze z radością wiosłowała wzdłuż rzeki do miejsca, skąd widać było zamek Teklenburg. Tak było i tego wiosennego poranka. Nagle z zadumy wyrwały ją uderzenia wioseł — zobaczyła starą zniszczoną łódź. Siedział w niej mężczyzna około trzydziestu lat, mający szczupłą twarz i ponury wzrok.

Dotychczas Rosemarie nigdy nikogo nie spotkała podczas samotnych wycieczek po rzece, ale tę zniszczoną łódkę знаła. Była przywiązana przy tej starej kładce. Kiedy spojrzała na twarz mężczyzny w łodzi poczuła ból w sercu i zmieszanie. Ta ponura twarz kiedyś była wesoła i szczęśliwa. Nie wiedziała dlaczego ją to zabolaloT Mimo woli wyrwał się z jej ust okrzyk:

— Henner von Teklenburg!

Mężczyzna w łódce podniósł głowę i zdziwiony patrzył na zarumienioną twarz Rosemarie. Przestał wiosłować, zatrzymał się na chwilę i wstał:

— O, to są te kasztanowe włosy, które w Waldeck często trzymałem w ręce. A więc panna Rosemarie! Dziecino — nie opłaca się odnawiać znajomości ze mną. Będzie lepiej dla ciebie, jeżeli będziesz mnie unikać. Stałem się dzikusiem, dla którego nie ma świętości. Ze względu na pamięć twojego ojca, którego kochałem, unikaj mnie!

Wypowiedział te słowa ostro, a potem usiadł i zaczął mocno wiosłować, tak że woda bryzgała na wszystkie strony. Łódź popłynęła jak strzała w przeciwnym do Waldeck kierunku.

Rosemarie siedziała jak skamieniała; miała szeroko otwarte oczy, a serce jeszcze silniej ją bolało.

W domu oczywiście nie wspomniała ani słowem o tym spotkaniu. Przecież nikt nie wiedział, że wiosłowała po rzece. Ale i bez tego nie potrafiłaby nic powiedzieć.

Kilka dni później siedziała około jedenastej na swoim ulubionym miejscu na starej lipie — myślała o Hennerze Teklenburg. Wtem zobaczyła na drodze prowadzącej wzdłuż muru parkowego jeźdźca. Był nim mężczyzna, o którym myślała.

Dzisiaj również miał ponurą minę i wzrok pełen pogardy. Siedział na wierzchołku — była to jego ostatnia własność — i zamyślony patrzył przed siebie.

Rosemarie nie odważyła się poruszyć, żeby jej nie zauważył. Powstrzymała nawet oddech dopóki jej nie minął. Potem wychyliła się i długo patrzyła za nim.

Kiedy tylko mogła przychodziła tutaj o tej samej porze i czekała w ukryciu. Zazwyczaj przejeżdżał tędy — czasem w dzikim galopie, a czasem koń szedł jak chciał, a jeździec zamyślony patrzył przed siebie, nie zwracając uwagi na to, że zwierzę zatrzymuje się, aby skubnąć parę młodych liści z przybrzeżnych krzewów. Nie raz słyszała jak Henner ciężko wzdychał.

Rosemarie miała wrażenie, że odczuwa całe jego nieszczęście. Nagle pojawił się człowiek, którym zainteresowała się żywo, o którego się martwiła i tęskniła za jego obecnością. Dlaczego jej serce mocniej biło na jego widok? W tych dniach Rosemarie wyszła z cienia swojej smutnej egzystencji w pełne słońca życie! Jej młoda dusza otrząsnęła się z dziecinnej obojętności i dojrzała do świadomości młodej kobiety.

Chodziła jak we śnie, a myślami była w świecie zupełnie innym niż ten, który dotychczas znała.

Niedawno Jobst von Steinau przywiózł do Waldeck wiadomość, że Henner von Teklenburg wrócił do swojego walącego się zamku. Żyje tam jak pustelnik ze swoim ordynansem, który od lat usługiwał mu kiedy był jeszcze w wojsku i teraz nie opuścił swojego pana w nieszczęściu.

Kiedy Jobst von Steinau dowiedział, się o powrocie Hennera, postanowił go odwiedzić i porozmawiać z nim.

— Ordynans twierdzi, że jego pan nie przyjmuje wizyt i nie chce nikogo widzieć. Kiedy próbowałem jednak wejść do budynku, stanowczo zastąpił mi drogę i jestem pewien, że siłą usunąłby mnie, gdybym się dobrowolnie nie wycofał.

Tak powiedział pan von Steinau uśmiechając się lekko zdenerwowany.

Dzisiaj Rosemarie znowu — pełna oczekiwania — siedziała w swoim ukryciu. I znowu. Henner nadjeżdżał konno.

Koń szedł powoli, przystając tu i tam, aby skubnąć trawę. Wodze zwisały niedbale w rękach Hennera, który zamyślony nie zwracał uwagi na zwierzę.

Rosemarie patrzyła za nim tak długo, aż zniknął za zakrętem w lesie. Niewiele brakowało, a wychylając się straciłaby równowagę. To wyrwało ją z marzeń.

— Gdybym mu mogła pomóc — gdybym mu jakoś mogła pomóc! Wzdychając, zmartwiona jego losem, Rosemarie nie zdawała sobie sprawy z tego, że to co czuje do Hennera jest miłością! Cierpiała widząc jego nieszczęście i gotowa była ponieść każdą ofiarę, aby mu przywrócić radość życia i wyrwać go z biedy w jaką popadł.

Powoli opuściła swoje ukrycie i zadumana poszła w kierunku domu.

Zamek był imponujący. Była to budowla z bocznymi skrzydłami i szerokimi schodami prowadzącymi do portalu środkowej, wyższej części kompleksu zamkowego.

Zza budynków gospodarskich ukrytych za wysokimi drzewami dochodził gwar pracujących tam dziewcząt i parobków.

Kiedy Rosemarie szła ku schodom nadjechała na koniu pani von Ribnitz i zawołała ją. Na twarzy dziewczyny nie było radości. Zanim Herta von Ribnitz zatrzymała się, podbiegł chłopiec stajenny i pomógł jej zejść z konia.

Szybko podeszła do siostrzenicy i objęła ją mówiąc czule:

— Byłaś w parku, kochanie? Czy nie zmęczyłaś się? Czy nic ci nie dolega? Jak się czujesz?

Rosemarie westchnęła jak ktoś kto, ma wziąć na siebie wielki ciężar.

— Czuję się bardzo dobrze, ciociu Herto — odparła monotonię jakby na pamięć wyuczone zdanie.

— A gdzie jest Heinz? Czy ci nie towarzyszył?

— Tak, do niedawna. Teraz odrabia zadania.

— Bardzo dobrze! Tak powinno być. Wejdz ze mną i odpocznij! Rosemarie zacisnęła usta i pozwoliła, troskliwie objęta przez ciotkę, wprowadzić się do domu.

Ucieszyła się, kiedy w dużej sieni spotkały Heinza, który na dzisiaj skończył swoje wypracowania.

Jego matka z dumą patrzyła na ładnego, wysokiego młodzieńca. Był podobny do niej i ku jej radości nie odziedziczył lekkomyślnego charakteru ojca. Był od dziecka pilny, pracowity i sumienny — poważnie traktował naukę.

Heinz bardzo kochał matkę i widział w niej uosobienie doskonałości i uczciwości. Wesół zawołał do kuzynki:

— Znowu jestem do twojej dyspozycji, Rosemarie. Czy wybierzemy się do parku? Może chcesz popływać łódką?

Rosemarie potrząsnęła głową. Nie chciała w towarzystwie Heinza spotkać Hennera.

— Nie, wolałabym trochę pograć na fortepianie.

— Jak sobie życzysz.

— Moje kochane dziecko, uważaj żebyś się nie przemęczyła — ostrzegła pani von Ribnitz.

Rosemarie zrezygnowana patrzyła przed siebie, a usta drgały jej nerwowo.

— Nie, nie, nie martw się — odparła niecierpliwie — jak mogłabym się przy tym zmęczyć?

— Och, kochanie, tak szybko się denerwujesz! Przy twoim stanie zdrowia nigdy nie za wiele ostrożności!

Rosemarie miała ochotę coś powiedzieć, ale zacisnęła usta.

Milcząc szła obok Heinza do salonu, a pani Herta udała się do swoich pokoi, aby się przebrać.

Rosemarie usiadła przy fortepianie:— grała bardzo dobrze i z dużym wyczuciem. Heinz wziął do rąk skrzypce.

Często i chętnie grywał z Rosemarie. Akompaniowała z dużą wprawą i zrozumieniem. Spędzili razem bardzo przyjemną godzinę.

## Rozdział trzeci

Henner von Teklenburg nie miał pojęcia, że Rosemarie von Waldeck tak bardzo zainteresowała się nim i że go często potajemnie obserwuje, kiedy konno przejeżdża obok parku.

Wybrał do swoich przejażdżek cichą leśną drogę, prowadzącą obok parkowego muru zamku Waldeck, ponieważ — jak wiedział — park był przeważnie pusty. A jeżeli z daleka kogoś tam zauważył, galopem znikał w zaroślach gęstego lasu, aby uniknąć spotkania z ludźmi, którzy go znali. Nie chciał, aby go pytano, jak mu się powodzi.

Te parę słów, które z gorzką ironią wypowiedział do Rosemarie wtedy, płynąc swoją starą łódką były jedynymi słowami, które — pomijając jego ordynansa — zamienił z kimkolwiek od chwili przybycia do Teklenburgu przed trzema tygodniami.

Bardzo często żałował tego powrotu. Czego tutaj szukał? Wszystko przypominało mu szczęśliwe dni, które — chociaż w skromnych warunkach — tutaj przeżył. Czyż miał się przekonać, że siedziba jego przodków przepadła? Czyż miał znosić widok wyrąbanego parku jak ciche, ale jakże wymowne oskarżenie? Czyż nie byłoby lepiej, gdyby sobie zaoszczędził tego przygnębiającego widoku?

Nie potrafił sobie odpowiedzieć na te pytania. Kiedy roztrwonił resztę majątku, opamiętał się: poczuł pogardę dla samego siebie i swojego bezmyślnego postępowania. Wstrząsnęło nim przerażające uzmysłowienie sobie tego, jak sam siebie zniszczył.

Wtedy zrozpaczony sięgnął po rewolwer, aby skończyć ze sobą. Nie mógł znieść reszty życia.

Ale w tamtej godzinie — w godzinie rozpacz — poczuł głęboką tęsknotę za utraconą ojcowizną. Bronił się, nie chciał się poddać. Po co mu takie rozczulające nastroje?

Tęsknota była zbyt silna — nie opuściła go. W końcu powiedział sobie z gorzką ironią:

— Mogę sobie strzelić w łeb i tam, gdzie się urodziłem. A ponieważ pochowają mnie w grobowcu rodzinnym zrujnowanego zamku, zaoszczędzę ludziom trudu przewożenia tam mojego ciała.

Postanowił więc, że jeszcze raz zobaczy rodzinne gniazdo i tam umrze, aby zakończyć swoje zmarnowane życie.

Odłożył rewolwer i zawołał ordynansa, który służył mu wiernie od początku jego pobytu w wojsku.

— Kulitz — spakujcie moje rzeczy, wszystko, co do mnie należy. Proszę się rozliczyć z gospodynią. Wyjeżdżam do Teklenburga. Jednego z moich koni, „Harrasa”, odprowadźcie do barona Seidlitz — sprzedałem go. Tu są pieniądze, trzy tysiące marek. Weźcie ile trzeba, aby opłacić pozostałe rachunki. Mój drugi koń pojedzie ze mną do Teklenburga.

Henner postanowił, że jego ukochany wierzchowiec „Sleipner” będzie mu towarzyszyć, dopóki nie pożegna się z tym światem. Kulitz spojrział na swojego pana dużymi, poważnymi oczami;

— Wedle rozkazu, łaskawy panie! Henner skinął głową:

— I jeszcze coś, Kulitz: kiedy mojego konia odstawicie do Teklenburga — musicie się rozejrzeć za nową posadą. Nie mam pieniędzy, aby opłacać służącego. To jest wszystko co mam — i nie mam już niczego do sprzedania.

Kulitz patrzył na swojego pana — był jak skamieniały — tylko w jego oczach było życie! Miał pospolitą twarz o szerokich, wystających kościach policzkowych i energicznym podbródku. Rzekł spokojnie:

— Proszę o wybaczenie, łaskawy panie, aleja nigdy łaskawego pana nie opuszczę!

Henner przetarł czoło ręką:

— Człowieku — to jest niemożliwe, musimy się rozstać. W Teklenburgu zostanę tylko na krótko. Potem — potem udam się w długą podróż — prawdopodobnie do Ameryki. Nie będę potrzebował służącego i będę się musiał obejść bez waszej pomocy. Kulitz nadal był opanowany:

— Beze mnie łaskawy pan nie da sobie rady!

— Będę się musiał nauczyć, Kulitz. A poza tym, będę miał tylko tyle pieniędzy, aby zapłacić za swój przejazd. Musicie zostać tutaj — polecę was moim znajomym.

Kulitz potrząsnął głową.

— Szkoda słów — łaskawy pan nie pozbędzie się mnie. Przejazd mogę zapłacić sam i jeszcze trochę zostanie na początek. Łaskawy pan płacił mi bardzo dużo.

Henner westchnął i opadł na krzesło:

— Słuchajcie — nie rozczulajcie mnie swoim wiernym przywiązaniem — nie mogę tego teraz znieść. Co wy sobie myślicie? To jest niemożliwe! Kiedy wydacie te trzy tysiące nie pozostanie mi nic więcej. Czego oczekujecie od pana któremu grozi głód?

— Będę też głodował! Potrafię to lepiej niż łaskawy pan. A pracować też potrafię — w razie potrzeby za dwóch — aż łaskawy pan tam nie poczuje

gruntu pod nogami. Proszę mnie nie wypędzać — zamartwię się na śmierć. Bardzo proszę zabrać mnie do Teklenburga, a potem do Ameryki.

Henner spojrzał na wierną, poważną twarz ordynansa:

— Co wam z tego przyjdzie, Kulitz, jeżeli się zgodzę?

— Radość, że mogę służyć i być przydatny łaskawemu panu. Henner westchnął i cicho odparł:

— To jest cholernie mało, chłopie! Lepiej będzie, jeżeli rozejrzycie się za lepszą posadą.

Twarz Kulitza drgnęła:

— Łaskawy pan może mnie wypędzić — dobrowolnie nigdy nie odejdę dopóki mam nadzieję, że mogę się przydać. Wiem, że bez pomocy łaskawego pana siedziałbym w więzieniu — pamiętam, co zawdzięczam łaskawemu panu. Wtedy, kiedy chciałem się rzucić na podoficera Harmsa, pan porucznik złapał mnie za kołnierz i krzyknął: „Uważaj chłopie, depczesz mi po butach, gdzie ty masz oczy?” — a cicho szepnął do mnie: „Spokojnie, Kulitz! Napytasz sobie biedy!” — wtedy opamiętałem się, a podoficer Harms nie mógł mi nic zrobić. A miałem do niego wielki żal — gnębił mnie i pozbawiał czci! To pan porucznik udowodnił, że nie ja okradłem podoficera i przywrócił mi pan moje dobre imię. Na dodatek przyjął mnie pan porucznik na swojego ordynansa, pomimo że byłem wtedy jeszcze nieokrzesanym chłopcem ze wsi — a poza tym zawsze pan porucznik traktował mnie bardzo dobrze — więc teraz będę dzielił z łaskawym panem gorszy los, abym mógł wreszcie udowodnić moją wdzięczność i oddanie.

Hennera poruszyły słowa ordynansa, wypowiedziane z ukrywanym wzburzeniem. A więc był jeszcze człowiek, który był mu oddany? Nie mógł go odtrącić — niech jedzie z nim do Teklenburgu i zostanie tak długo, aż on nie rozstanie się ze swoim zmarnowanym życiem. Podał rękę wiernemu ordynansowi — z jego twarzy zniknęła ironia — był wzruszony:

— Dobry, porządny z was facet! Wiedziałem, że jesteście uczciwym człowiekiem i że byłoby szkoda, gdyby was spotkało nieszczęście — dlatego was wtedy przytrzymałem. Chciałbym, aby mnie kiedyś w przyszłości ktoś tak przytrzymał! Swoją wdzięczność już udowodniliście — nic nie jesteście mi dłużni. A skoro nie chcecie mnie zostawić samego — niech wam będzie, jedźcie ze mną. Zaczynam wierzyć, że nie dałbym sobie bez was rady.

A więc — załatwcie wszystko, Kulitz. Oto pieniądze — jeden banknot starczy na czynsz i małe rachunki. Potem zajmiecie się końmi. Pamiętajcie, „Sleipner” ma być wysłany do Teklenburga. Wyjeżdżam jutro rano.

Kulitz promieniał.

— Wedle rozkazu, łaskawy panie — wszystko zostanie załatwione. I tak Henner następnego dnia wyjechał do Teklenburga. Mieszkał tutaj od trzech tygodni i nie wykonał jeszcze swojego strasznego postanowienia.

Kiedy dzisiaj wrócił z przejażdżki, zobaczył Kulitza pracującego jak zwykle. Z zapalem zajął się kawałkiem ziemi między zamkiem a zburzonymi budynkami gospodarskimi — przekopał ją i zasiał włoszczyznę. Ponieważ był wyuczonym ogrodnikiem, wiedział jak się do tego zabrać. Stał teraz z konewką w ręku i podlewał swoje coletko.

Henner von Teklenburg powiedział do niego zaraz pierwszego dnia:

— Zostawcie to, Kulitz; ta praca nie ma żadnego sensu.

Kulitz stanął na baczność:

— Tak jest, łaskawy panie, ale przecież szkoda takiej dobrej, tłustej ziemi. Tutaj wszystko rośnie samo od siebie. Cieszy mnie to, a poza tym nie mam tutaj dużo pracy.

— No dobrze, to bawcie się — odparł Henner.

Kiedy Henner zatrzymał swojego „Sleipnera” przed zamkiem, Kulitz podbiegł, aby odprowadzić konia. Ponieważ dawne stajnie zostały zburzone, Kulitz urządził jeden z pokoi w bocznym parterowym skrzydle zamku jako stajnię dla wierzchowca.

— Znowu grzebiecie się w tym waszym tak zwanym ogrodzie, Kulitz — zażartował z goryczą Henner.

Kulitz roześmiał się zadowolony i rzekł:

— Łaskawy pan w ogóle nie wie, jaki jest jeszcze bogaty! Wcale nie musimy emigrować do Ameryki. Ten skrawek ziemi, który do pana jeszcze należy, zamienimy w ogrodnictwo. W parku założymy szkółkę szlchetnych drzew, tutaj będę hodował jarzyny, a tam przy zamku kwiaty. W mieście wszystko to można będzie dobrze spieniężyć. W majątku Waldeck kupiłem już parę kur i koguta — zjedzą wszystkie odpadki, a łaskawy pan będzie miał świeże jajka na śniadanie.

Dotychczas Kulitz kupował żywność dla swojego pana i paszę dla konia we wsi, nie wdając się z nikim w poufale rozmowy. Wprawdzie wypytywano go, ponieważ ludzie byli ciekawi — Kulitz nie powiedział jednak ani jednego słowa ponad to, co było konieczne.

W prawie pustym zamku Kulitz urządził dla swojego pana kilka pokoi. Obszedł cały gmach, zajrzał do każdego zakamarka i znalazł trochę mebli; zapomniane, zakurzone krzesła i fotele, wyciągnął na światło dzienne, czyścił, szorował, sklejał, zbijał, aż nadawały się do użycia. W ten sposób obok



skromnej sypialni umeblował kilka pokoi. " Nawet dla siebie znalazł komórkę i wyposażył małą kuchnię.

Henner godził się na wszystko — nie przeszkadzał Kulitzowi. Wiedział, że ordynans stara się urządzić miły dom, aby go odwieść od zamiaru wyemigrowania do Ameryki. Stale od nowa wzruszała go niezmordowana, nieustanna troska Kulitza.

Od kiedy wrócił do gniazda rodzinnego odczuwał coś w rodzaju spokoju i ukojenia. Nastroje rozpaczy czasami znikwały jak przebyta choroba i często miewał przyływy zadumy i czułości. Nie raz udało mu się zapomnieć, że własnym uporem i z własnej winy zniszczył swoje życie. To powodowało, że postanowienie samobójstwa odkładał z dnia na dzień. Mijały dni i stale powtarzał: jest jeszcze czas — zrobisz to jutro.

Ale, że musi to nastąpić — było jego niezłomnym postanowieniem!

Nieco roztrzęsiony słuchał co mówił Kulitz. Nagle wyprostował się i zapytał:

— Więc waszym zdaniem, Kulitz, jestem jeszcze bogaty?

— Tak jest, łaskawy panie. Przede wszystkim zamek wprawdzie jest zniszczony i pusty, ale ma pan mieszkanie. Fotem jest „Sleipner” — wierzchowiec jakich mało — wart parę tysięcy marek. Następnie kawał ogrodu. Poza tym mnóstwo doskonałych ubrań i bielizny. Drzewa na opał starczy na całą zimę. A w kasie, którą powierzył mi łaskawy pan, leży gotówka — tysiąc czterysta osiemdziesiąt marek. Nigdy w życiu nie widziałem tyle pieniędzy. Gdyby to wszystko należało do mnie, uważałbym się za bogacza. Jeżeli łaskawy pan pozwoli, kupiłbym krowę i parkę prosiąt, poza tym założyłbym ogrodnictwo i tak, skromnie jak teraz, można spokojnie dalej żyć. Kto wie, jak to tam jest w tej Ameryce? Opowiadają, że tam też nie tak dobrze, jak to dawniej bywało, kiedy ludzie dorabiali się i wracali z dużymi majątkami.

Henner słuchał tak jak słucha się opowiadania dziecka, które nie zna świata. Jak on wyglądałby w tym świecie opisanym przez Kulitza?

W jego niebieskich oczach zabłysnął upór, a usta wykrzywił pogardliwy uśmieszek. Nadszedł czas, aby skończyć ze sobą, inaczej straci resztę stanowczości i zacznie go kusić idylla, którą tak zachęcająco opisuje Kulitz. Nie, nie może dopuścić do tego aby go utrzymywał jego własny sługa!

Obrócił się i szybko wszedł do zamku bocznymi drzwiami. Z głównego, dużego portalu nigdy nie korzystał — duża sień była tak upiornie pusta i zimna, że nie chciał do niej wchodzić. Szedł do swoich pokoi nie widząc zatroskanego spojrzenia Kulitza. W pokoju, tak jak był ubrany w strój jeździecki ze szpicrutą

w rękę, rzucił się na kanapę przykrytą niegdyś bardzo kosztowną, ale już zniszczoną narzutą.

Niespokojnie rozglądał się po pokoju. Kulitz nazywał go gabinetem do pracy. Hennerowi nazwa ta wydawała się szyderstwem, biorąc pod uwagę jego nieróbstwo.

Drwiąco spojrzął na swoje męskie, ładne arystokratyczne ręce. Cóż one dotychczas działy? Trzymały wodze wierzchowca — i rozrzucały pieniądze! Ręce próżniaka!

Ponuro patrzył przed siebie. W pokoju, przy oknie stało stare dębowe biurko. Kulitz pokrył blat zielonym suknem, które wyglądało jeszcze całkiem nieźle. Przy biurku stało krzesło.

Obok kanapy była szafa biblioteczna, ale brakowało w niej szyb :— Kulitz zawiesił tam jedwabną kolorową firankę. W tej szafie stały na półkach nieliczne nie zniszczone jeszcze książki.

Na środku pokoju stał okrągły dębowy stół, kilka krzeseł i stara skrzynia, na której leżała nawet kolorowa poduszka — oto i całe umeblowanie tego dużego pokoju. Na oknach wisiały wyblakłe adamaszkowe zasłony z niegdyś złożonymi frędzlami.

Ironicznie uśmiechając się Henner patrzył na to umeblowanie. Podobnie wyglądała jego sypialnia i pokój jadalny. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się przytulne, ale oczy Hennera patrzyły na to bardzo krytycznie. Strzelił szpicrutą w powietrze:

— Co za tandeta! — wyrwało mu się z ust.

Zerwał się na nogi, rzucił szpicrutę na podłogę, a oczy zapłonęły mu niezłomnym postanowieniem.

— Należy z tym skończyć — rzekł sam do siebie i usiadł przy biurku. Nie zastanawiając się wziął do ręki pióro i zaczął pisać na arkuszu papieru:

Moja ostatnia wola! Zamek Teklenburg zapisuję fiskusowi z prośbą, aby budynek przeznaczono na dom wypoczynkowy dla biednych chorych, ludzi lub na inne podobne cele. Wszystko co poza tym należy jeszcze do mnie, zapisuję Karolowi Kulitzowi. Proszę, aby mnie pochował w skromnej trumnie na wieczny odpoczynek w grobowcu zamku Teklenburg.

Teklenburg, 15 czerwca 1911 Jerzy Henner, baron von Teklenburg Człowiek, który zniszczył swoje życie.

Rzucił pióro na biurko i otworzył szufladę. Wyjął elegancki futerał, w którym były dwa nabite pistolety.

Nie wahając się przyłożył lufę do skroni i nacisnął spust — pistolet nie wystrzelił.

Zdenerwowany i zły opuścił rękę i zaczął sprawdzać broń. Co się stało, że nie funkcjonuje? Nagle stwierdził, że broń nie jest nabita. Szybko wyjął drugi pistolet i zobaczył, że też nie ma w nim naboju. Wiedział dokładnie, że oba pistolety nabite schował do futerału zaraz po przyjeździe do Teklenburga. Od tego dnia nie używał broni.

Zerwał się na nogi — był pewien, że w całym zamku nie znajdzie ani jednego naboju — przecież wiedział, że już nie będą mu potrzebne i że wystrzeli tylko jeden. Z czystego przyzwyczajenia włożył do każdego pistoletu po sześć naboju. A gdzie się teraz podziały?

Blady, z twarzą zniekształconą ze złości, patrzył na pistolety, a potem otworzył drzwi i głośno zawołał Kulitza.

Nazwisko ordynansa zabrzmiało jak krzyk rozpacz.

Kulitz przybiegł natychmiast i zobaczył swojego pana stojącego pośrodku pokoju i trzymającego w każdej ręce pistolet. Uczciwą, dobroduszną twarz ordynansa oblał rumieniec, a jego oczy miały dziwny wyraz, gdy patrzył na rozwścieczonego porucznika.

— Słucham panie poruczniku! — wyjąkał przerażony.

— Kulitz, co stało się z moimi pistoletami? Oba były nabite — wiem to na pewno. A teraz nie ma w nich ani jednej kuli. Czy wyście to zrobili? — ochrypłym głosem zapytał Henner. Kulitz stał nieruchomo w pozycji „bacność”, tylko ręce lekko mu drżały.

— Tak jest, panie poruczniku! Tak, ja to zrobiłem.

— Dlaczego? — krzyknął Henner tak głośno, jak jeszcze nigdy nie krzyczał na swojego ordynansa.

— Ja — ja strzelałem do zajęcy, które robiły szkodę w naszym ogrodzie warzywnym.

Henner zaśmiał się ironicznie i zrobił ruch, jak gdyby chciał uderzyć Kulitza. Ordynans nie drgnął — wtedy Henner ocknął się. Rzucił pistolety na podłogę i klnąc wyszedł do sąsiedniego pokoju zatrzaskując za sobą drzwi.

Kulitz nasłuchiwał blady i wystraszony posłyszał jak łóżko zaskrzypiało kiedy jego pan rzucił się na nie: doszły do jego uszu niezrozumiałe gniewne słowa. Odetchnął z ulgą.

Potem podniósł pistolety i położył je w futerale. Kiedy chciał go schować w szufladzie zobaczył leżący na biurku zapisany arkusz papieru.

Kulitz nigdy nie zaglądał do kieszeni swojego pana — nie był ciekawski. Ale teraz nie mógł się opanować, aby nie przeczytać tego, co napisał pan porucznik zanim stwierdził, że broń nie jest nabita.

Wierny ordynans zaraz następnego dnia po przyjeździe do Teklenburga rozładował broń. Domyślił się, że jego pan — mówiąc o dalekiej podróży i Ameryce — miał na myśli zupełnie coś innego. Zrobił to w trosce o swojego pana — obawiał się, że pan porucznik mógłby sobie wyrządzić krzywdę.

Po przeczytaniu tych paru wierszy otarł łzy — wiedział, że jego pan przeżywa ciężkie chwile. Kiedy zakradł się pod drzwi pokoju usłyszał sapanie i ze złością wypowiedane, niezrozumiałe słowa.

Odetchnął i przygładził włosy: no tak, czeka go jeszcze nie lada awantura i wymówki, kiedy pan porucznik trochę się uspokoi. Ale z tym się przecież liczył! Na razie niebezpieczeństwo minęło. A co dalej? Czy przy pierwszej okazji jego pan nie zrobi tego, co się tym razem nie udało? Wtedy na pewno zadba, aby mu Kulitz nie przeszkadzał.

Co mógłby zrobić aby łaskawy pan zaniechał tego kroku i odstąpił od takiego złego zamiaru? Przecież on — Kulitz — jest tylko skromnym ordynansem, który nie ma żadnego wpływu na barona von Teklenburga. A gdyby nawet zdobył się na odwagę, aby porozmawiać z panem porucznikiem — z pewnością jasnie pan kazałby mu milczeć.

Kulitz był poważnie zmartwiony, aż nagle przyszła mu do głowy śmiała myśl. Wyjął z kieszeni ołówek, nachylił się nad biurkiem i pod ostatnią wolą swojego pana napisał:

Mój łaskawy pan dzień przed wyjazdem do Teklenburga powiedział: „Chciałbym, aby i mnie ktoś kiedyś tak powstrzymał”. Zawsze o tym pamiętam. Pan porucznik nigdy nie był tchórzem i teraz też nie będzie. Raz w przeszłości, kiedy chciałem popełnić wielkie głupstwo, przed którym uchronił mnie pan porucznik, usłyszałem od łaskawego pana: „Dobry żołnierz podejmuje walkę z każdym wrogiem — również z samym sobą”. Mój pan porucznik też podejmie walkę z samym sobą i nie podda się. Przecież nie jest jeszcze aż tak źle, a na pewno znowu nadejdą lepsze czasy.

Bardzo proszę o wybaczenie, ale w mojej obawie o łaskawego pana nie wiem co począć

Wierny i oddany Kulitz

Był to ciężki wysiłek dla człowieka nie przyzwyczajonego do pisania.

Otarł z czoła pot kolorową chusteczką, schował ołówek, a arkusz papieru położył na futerale z bronią w szufladzie biurka. Kiedy zamierzał opuścić pokój nagle wszedł Henner. Był blady, a twarz drgała mu ze zdenerwowania.

Badawczo i ostro spojrzął na Kulitza.

— Gdzie są pistolety? — zapytał.

— Schowałem je w szufladzie, łaskawy panie.

Henner szybko podszedł do biurka — przypomniał sobie, że zostawił na biurku swój testament.

— Mam nadzieję, że nie czytaliście tego, co napisałem na tym arkuszu — zapytał patrząc badawczo na ordynansa.

Kulitz wytrzymał jego wzrok i odpowiedział:

— Tak, łaskawy panie, przeczytałem!

— Łobuzie! Co wam wpadło do głowy, aby mnie szpiegować? Przyznajcie się — naboii nie wystrzelaliście do zajęcy?

Kulitz głęboko westchnął.

— Pan porucznik ma rację — rozładowałem broń ze strachu, że łaskawy pan ma zamiar udać się dalej niż do Ameryki. Z troski i ze strachu ten jeden jedyny raz przeczytałem. Wiem, że nie wolno mi było tego robić. Proszę o wybaczenie łaskawy panie, ale ja nie mogłem wytrzymać.

Henner zaśmiał się z goryczą i rzekł ironicznie:

— No, to przynajmniej wiecie, jaki z was osioł, że rozładowaliście broń. Mogliście — według waszej oceny — zostać bogatym człowiekiem.

Kulitz przełknął ślinę i cicho odpowiedział:

— Za taką cenę nie chcę zostać bogatym. Jestem zadowolony i będę szczęśliwy, jeżeli łaskawy pan pozwoli mi tutaj zaprowadzić trochę porządku. Wtedy pan porucznik będzie mógł spokojnie żyć i czekać aż nadejdą lepsze czasy.

— Zabierajcie się! — krzyknął Henner rozdrażniony, że udaremnił mu wykonanie swojego postanowienia. Kulitz milcząco opuścił pokój.

Henner opadł na krzesło, oparł głowę o biurko i westchnął:

— Przekłęty dureń! Do diabła — swoim przywiązaniem do mnie nie pozwala mi spokojnie umrzeć. Mogłoby już być po wszystkim i miałbym wreszcie swój upragniony spokój!

Pomimo złości poczuł znowu przyływ rozczenia, jak to się działo już nieraz od powrotu do Teklenburga. Wbrew jego woli wzruszyła go troska ordynansa i jego obawa, żeby sobie nie zrobił krzywdy! Głupiec — przywiązał się do człowieka, który mu za to nawet nie podziękował. Woli szlachetnie zrezygnować z zapisu w testamencie! — myśląc o tym zajrzał do szuflady, czy nie uszkodził pistoletów, rzucając je ze złością — nadal nie zrezygnował z postanowienia odebrania sobie życia. Zobaczył przy rewolwerach arkusz papieru, na którym spisał swoją ostatnią wolę i — ku swojemu zdziwieniu — zauważył parę wierszy dopisanych ołówkiem.

Zaskoczony przeczytał to co napisał Kulitz. Jego szczupła twarz drgnęła — do wzruszenia dołączyło się głębokie zawstydzienie.

Czyż ten prosty człowiek nie ma racji nazywając tchórzostwem ucieczkę od życia? Czyż nie było bardziej honorowo podjąć walkę z trudnościami i zacząć uczciwie pracować, aby odpokutować za to co zawinił wobec samego siebie? Zawinił tylko wobec siebie — wobec wszystkich innych osób miał czyste sumienie. Tylko strach przed życiem kazał mu sięgnąć po broń. Czy taki strach nie jest tchórzostwem?

Ale jak podjąć walkę o życie? Niewiele umiał — przynajmniej nie to, co mogłoby zapewnić mu nową egzystencję. A tak, jak sobie to wyobraża Kulitz, nie może przecież wiecznie trwać. Jako oficer też był skończony. A więc co? Ma się zająć rolnictwem? Na to miałby jeszcze największą ochotę — miał to we krwi. Ale zostać rolnikiem bez własnej ziemi — czy mógłby stworzyć sobie wtedy znośną egzystencję?

Czy może powinien urzeczywistnić to, o czym tylko mówił — wyjechać do Ameryki lub do kolonii?

Nagle poczuł, że jest przywiązany do Teklenburga tysiącami więzi. Och, gdyby tak jeszcze raz mógł stanąć w miejscu, w którym był podczas ostatniej bytności w gnieździe rodzinnym — podczas pogrzebu Ernsta von Waldeck. Ten człowiek kochał go — jemu mógł powierzyć swoje troski i zmartwienia, tak jak własnemu ojcu. Ernst von Waldeck często mawiał do niego, żeby pożegnał się z wojskiem i osiadł w swoim majątku. Chciał mu nawet pożyczyć pieniędzy, aby odrestaurował zamek i zaprowadził w majątku nowoczesną gospodarkę. Ale on był wtedy taki młody, beztroski i lekkomyślny, więc szukał szczęścia w szerokim świecie.

Wierzył, że je znalazł, kiedy spotkał Alice von Sternfeld. Co za głupiec!

Wtedy wszystko zawaliło się w nim i wokół niego — zaczął szaleć niszcząc samego siebie, aż nie stracił prawie wszystkiego. Teraz jest bezradny i zdruzgotany; dlatego chciał popełnić samobójstwo. Gdyby żył Ernst von Waldeck poszedłby do niego i poprosił, czy mógłby się nauczyć w Waldeck zarządzania majątkiem — może kiedyś później mógłby objąć tam pracę administratora. Ale — czyż nie żyje jeszcze jeden stary przyjaciel ojca — Jobst von Steinau — do którego mógłby się zwrócić o radę? Przecież Jobst próbował już spotkać się z nim, ale Henner nie chciał go przyjąć.

A może trzeba pójść do Jobsta von Steinau?

Henner zaczął się zastanawiać i na razie jak ślepy szukał drogi powrotnej do życia. Przesiedział kilka godzin, podpierając głowę rękami i rozmyślał po raz pierwszy poważnie, czy ma jeszcze jakąś szansę w życiu?

Dzisiaj nie powziął ostatecznej decyzji. Ale Kulitz przecież powiedział, że jeszcze długo może tutaj żyć, aby się nad wszystkim spokojnie zastanowić.

Doszedł do wniosku, że ten spokój w Teklenburgu bardzo mu służy — czuje się tak dobrze, że właściwie zmusił się do targnięcia się na swoje życie.

Szybko schował pistolety do szuflady; wrzucił tam też zapisany arkusz papieru. Potem wstał, wyprostował się, wyciągnął ramiona jak gdyby chciał sprawdzić swoje siły i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. Opanowało go dziwne uczucie. Miał wrażenie, że umknął przed wielkim niebezpieczeństwem.

Lekko zapukano do drzwi. Na głos Hennera, do pokoju wszedł Kulitz.

— Łaskawy panie — jedzenie gotowe, czy mogę podać? — zapytał nieśmiało patrząc na swojego porucznika.

Henner spojrzał na niego i wzruszony rzekł:

— Kulitz — proszę, podejdźcie. Ordynans zbliżył się.

— Do usług — panie poruczniku — zawołał i z przyzwyczajenia stanął na baczność.

Henner wyciągnął do niego rękę:

— A teraz podajcie mi rękę, Kulitz.

Rozpromieniony Kulitz wytarł dłoń w granatowy fartuch i kładąc ją w rękę swojego pana, zawołał uradowany:

— Łaskawy panie!

Henner mocno uściśnął spracowaną dłoń.

— No, Kulitz — jesteście kwita! Tym razem wy „przytrzymałiście” mnie. Wprawdzie nie było to tak dosłowne, ale skutki były takie, jak gdyby to się naprawdę zdarzyło. — I dziękuję wam! Jesteście dobrym, uczciwym człowiekiem. Teraz już nie musicie się obawiać. Chcę podjąć walkę!

Kulitz uszczęśliwiony odparł:

— Dzięki Bogu! Wiedziałem, że to tylko chwilowo napadło łaskawego pana jak jakaś zła choroba. Wszystko będzie dobrze. A teraz proszę — niech łaskawy pan usiądzie do stołu. Upiekłem młodego kurczaka.

Twarz Hennera drgnęła nerwowo;

— No, a wy Kulitz? Co macie na obiad?

— Przymażoną słoninę i ziemniaki — doskonale, panie poruczniku!

Henner miał dziwny wyraz twarzy, kiedy się odezwał:

— Dbacie wyłącznie o mnie, aby mi niczego nie brakowało — musicie trochę uprościć mój jadłospis, Kulitz. Co ja bym począł, gdybyście wy opadli z sił?

— Proszę się nie martwić, dobrze się odżywiam, a tutaj wszystko jest śmiesznie tanie — w mieście płacę za to trzy i cztery razy tyle.

Henner poszedł do „jadalni”, gdzie Kulitz nakrył do stołu i podał obiad po czym wycofał się do kuchni i zadowolony zasiadł do ziemniaków ze słoninką.

Henner siedział przy nakrytym stole i chociaż nie miał ochoty do jedzenia, ku swojemu zdziwieniu lekko przełknął pierwszy kęs. Stopniowo nabrał apetytu — Kulitz podał dół kurczaka młode ziemniaki i zieloną sałatę.

Ordynans co dzień zdradzał nowe talenty. Przejął rolę kucharza jako coś zrozumiałego samo przez się i przyrządzał smakowite dania — oczywiście bez finezji wytrawnego kucharza.

Po obiedzie Henner zastanawiał się nad tym, że właściwie to uregulowane, spokojne życie bardzo mu odpowiada. Nie tęsknił za bezsensownymi hulankami i rozrzutnym trybem życia jakie prowadził w ostatnich latach. Wydawało mu się, że pozbył się szaleństwa, które go opanowało, z chwilą kiedy postanowił żyć i podjąć walkę ze sprzecznościami losu.

Ale dzisiaj jeszcze nie wiedział jak to robi.



## Rozdział czwarty

Zaraz po obiedzie Henner von Teklenburg poszedł przez wyrąbany park nad brzeg rzeki. Ponuro patrzył na pnie starych dębów i buków, które kazał ściąć, aby zdobyć pieniądze.

W ostatnich latach gospodarował rozrzutnie nie zastanawiając się nad niczym — aż stracił wszystko. I to tylko po to, aby zagłuszyć w sobie żal z powodu zdrady kobiety i zapomnieć o niewiernym przyjacielu.

Dzisiaj po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy te osoby, które go zdradziły, były warte tego, że zrujnował swoje własne życie?

Myśl o Alice Sternfeld nie wzburzała go już — przebolewał jej, zdradę i czuł, że na zawsze wyzbył się miłości do niej. Bez irytacji mógł myśleć o tym, że wyszła za mąż za jego przyjaciela, który go oszukał. Wiedział, że jest wyleczony z zazdrości — niech sobie będą szczęśliwi albo nie — jego to nie obchodziło. Wykreślił ich z szeregu ludzi, którzy mogli go obchodzić w jakikolwiek sposób.

Powoli szedł przez zdewastowany park, który niegdyś był dumą Teklenburgów. Poczł głęboki smutek. Park przypominał mu cmentarz, a pnie nagrobki. Gdyby to mieli zobaczyć rodzice!

Doszedł do rzeki. Chciał godzinkę powiosłować, ale przedtem usiadł na pniu i zamyślony patrzył na fale, w których połyskiwało słońce. Nagle usłyszał uderzenia wiosł.

Podniósł głowę i zobaczył łódkę, a w niej Rosemarie von Waldeck.

Dziewczyna nie mogła go widzieć — siedział ukryty za zaroślami i mógł ją obserwować. Podświadomie cieszył go widok sprawnych, silnych ruchów wiosł. Promienie słoneczne padały na jej włosy i nigdy jeszcze nie widział takiego pięknego miedzianego koloru. Szkoda, że były splecione w warkocz i upięte na głowie. Pamiętał, że jako mała dziewczynka nosiła warkocz, a na skroniach miała małe loki.

Wtedy sądził, że Rosemarie wyrośnie na piękność. Miała śliczną cerę — to pozostało jej do dzisiaj — czerwone usta i duże szare oczy, które marząco patrzyły na świat.

Rosemarie nie miała pojęcia, że jest obserwowana. Była smutna i zamyślona. Ciotka Herta znów męczyła ją przy stole pytaniami, ponieważ nie miała apetytu. Twierdziła, że to jeszcze jeden objaw choroby, ale Rosemarie wiedziała, że przyczyną było coś zgoła innego. Myślała o nieszczęśliwym wyrazie twarzy Hennera von Teklenburga.

Kiedy po obiedzie ciotka Herta i rządcą udali się na rozmowę w sprawach gospodarskich, a Heinz poszedł odrabiać zadania, Rosemarie wykradła się z domu. Nie miała ochoty leżeć w swoim pokoju — pobięła przez park do rzeki i odwiązała łódź.

Z ulgą odetchnęła i powiosłowała do miejsca, gdzie rzeka gwałtownie skręcała. Położyła wiosła — łódź płynęła powoli. Rosemarie spokojnie siedziała patrząc na zamek Teklenburg.

Przepełnęła obok miejsca, w którym za krzakami siedział Henner — mógł ją dokładnie widzieć. Wyglądała zmartwiona i smutna.

Kiedy podpłynęła do miejsca, gdzie przycumowana była jego stara łódź, nachyliła się, złapała sznur jego łodzi i owinęła wokół swojego wiosła. Gdy zatrzymała się, pogładziła dłonią burtę łodzi Hennera.

Henner nie wiedział, co to miało znaczyć. Sądził, że to była po prostu bezmyślna zabawa. Ale nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl: a gdybym spróbował związać swój los z Rosemarie von Waldeck? W ten sposób znalazłbym się w doskonałych warunkach. Miałbym pole do popisu i wtedy może uratowałbym zamek Teklenburg od ruiny?

Ta myśl zaniepokoiła go — zerwał się na nogi i stanął na brzegu rzeki.

Rosemarie przestraszyła się, spojrzała na niego i oblał ją silny rumieniec.

Henner uklonił się.

— Pani z taką uwagą patrzy na zamek Teklenburg, jak gdyby pani liczyła, ile czasu upłynie nim zamieni się w malowniczą ruinę — zawołał do niej.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Henner pomyślał: patrzy na mnie jak Czerwony Kapturek na wilka! Rosemarie zebrała całą odwagę.

— Zamek jest wspaniały — w całej okolicy nie ma podobnego. Stąd jest taki piękny widok, dlatego zatrzymałam się na chwilę odpowiedziała.

Twarz Hennera spochmurniała, a wokół jego ust pojawił się ironiczny uśmiešek.

— Od kiedy wyrąbano park, zamek widać jak na dłoni i można oglądać jak niszczeje dom rodzinny mojego ojca. Sprawia to pani z pewnością więcej przyjemności niż mnie — rzekł gorzko.

Serce Rosemarie waliło, ale była szczęśliwa, że w ogóle z nią rozmawia. Miała wrażenie, że nie patrzy już na nią tak groźnie, jak przy pierwszym spotkaniu.

— Nigdy nie sprawia mi przyjemności to, co dla innych jest udręką, panie von Teklenburg. Zawsze kiedy patrzę na pański zamek jest mi przykro, że stoi pusty i zaniedbany. Mój ojciec często żałował, że zamek nie jest tak

utrzymywany, jak powinien. Dlatego sędzę, że wcale nie byłoby trudno uchronić go od całkowitego zniszczenia.

Zaśmiał się speszony:

— Pani wydaje się, że to takie proste? A mnie brakuje tylko drobnostki — marnych stu tysięcy marek. Mniej więcej tyle trzeba wydać, aby odrestaurować i wyposażyć zamek Teklenburg. Przed paru laty architekci obliczyli to dokładnie.

Rosemarie skinęła głową nie dając zastraszyć się jego chłodnemu, bynajmniej nie zachęcającemu zachowaniu.

— Wiem, mówiono wtedy, że zamek Teklenburg miał być odrestaurowany, ponieważ... — zamilkła i spojrzała na niego przerażona.

Zmarszczył czoło i znowu wokół jego ust pojawił się ironiczny uśmiezek:

— Proszę spokojnie mówić dalej, łaskawa pani, nie jestem wrażliwy. Pani chciała powiedzieć, że do zamku miała się wprowadzić nowa pani Teklenburga.

— A więc ona się nie wprowadziła i nie wprowadzi. A dlaczego, to z pewnością ćwierkały już wróble na dachu, czyż nie?

Patrzyła na niego z takim współczuciem, że Henner musiał odwrócić wzrok — nie chciał się poddać nastrojowi.

— Tak — powiedziała cicho — mówiono, że pana zdradzono. Dlatego wybaczam ironiczny ton jakim pan przemawia. Rozumiem pana. Kiedy traci się zaufanie do kochanego człowieka — to musi boleć, bardzo boleć. To musi spowodować, że człowiek gorzknieje.

Henner znowu patrzył na nią.

— To bardzo miłe i wyrozumiałe podejście, łaskawa pani, i powinienem pani podziękować w ten sposób, że szybko odejdę. W ogóle to uprzejmie z pani strony, że chce pani ze mną rozmawiać, mimo że niedawno z mojej łódki krzyknąłem do pani kilka ostrych słów.

Rosemarie uśmiechnęła się lekko:

— Tego ostrzeżenia nie wzięłam sobie do serca i nadal nie mam zamiaru tego robić. A gdyby pan dzisiaj był mniej uprzejmy i nie chciał nic słyszeć o starej przyjaźni, byłoby mi żal, ale nie gniewałabym się.

Zaskoczony Henner spojrzał na nią.

— Pani nie wygląda na wrażliwą i nie można pani tak łatwo urazić jak inne młode damy.

Rosemarie uśmiechnęła się lekko, ale wyglądała ha smutną. Nie był to czarujący uśmiech dziecka, na który dawniej tak chętnie patrzył. Na twarzy

dziewczyny była rezygnacja i zmęczenie, zupełnie nie pasujące do jej młodej twarzy; poruszyło to Hennera.

— Pod każdym względem jestem inna niż pozostałe młode damy, panie von Teklenburg. Uwarunkowały to okoliczności. Przejmowanie się drobnymi urazami i podobnymi dziecinnymi sprawami to strata czasu dla tych, dla których czas jest rzeczą bezcenną.

— I dla pani czas wydaje się tak cenny? — zapytał mimo woli uśmiechając się.

Rosemarie miała poważną minę:

— Tak, ponieważ jestem przyzwyczajona każdą godzinę przyjmować jako dar nieba. Ale proszę, nie mówmy już o mnie. Nie jestem ciekawym tematem rozmowy i najlepiej nie zajmować się tym. Porozmawiajmy raczej o panu — jeżeli pan nadal chce rozmawiać ze mną.

Henner badawczo spojrział na dziewczynę. Naprawdę wyglądała zupełnie inaczej niż młode damy, które znał. W rozmowie z nią zatarło się wrażenie z pierwszego spotkania, kiedy wydała mu się dziecinna.

Teraz miał przed sobą pannę dojrzałą ponad swój wiek, a jej naturalna szczerza prostota była wręcz zadziwiająca, biorąc pod uwagę fakt, że była bogatą dziedziczką. Wyglądała na osobę o silnym charakterze, któremu obca była małostkowość i sztuczność.

— Chętnie jeszcze z panią porozmawiam, jeżeli zechce pani poświęcić mi trochę swojego cennego czasu. Od powrotu do Teklenburga z nikim nie rozmawiałem — z wyjątkiem mojego służącego. Nie chciałem z nikim rozmawiać! Ale dzisiaj czuję coś w rodzaju głodu — tęsknię za przyjaznym ludzkim głosem. Nie będziemy jednak rozmawiali o mnie — z pewnością jestem jeszcze mniej ciekawym tematem niż łaskawa pani — a nie chciałbym wymieniać z panią pustych frazesów. Wydaje mi się, że jest pani na to za mądra i zbyt poważnie myśląca.

Potrząsnęła głową.

— Wcale nie jestem mądra tylko — no, znowu zaczynam mówić o sobie. Czy pan teraz zostaje w Teklenburgu?

— Przez jakiś czas z całą pewnością. Jestem jak rozbity okręt unoszony jakąś falą — nazwijmy ją nostalgią — ku brzegom rodzinnej ziemi. Leżę więc jak rozbity wrak i nie wiem, czy jeszcze kiedyś będę zdolny do wypłynięcia na szerokie wody życia.

Rosemarie badawczo spojrzała na jego szczupłą ale muskularną postać. Obudziło się w niej gorące życzenie, aby mu pomóc. Westchnęła głęboko i rzekła:

— Pan jest mężczyzną zdrowym i ma pan silne ręce. Och — pan nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki pan jest bogaty!

Henner usiadł na trawie i na pół leżąc wsparł się na łokciu.

— O tym zapewniał mnie już dzisiaj mój służący. Nie myślał przy tym o moich zdrowych, silnych rękach, lecz wyliczył mi inne bogactwa: dach nad głową, trzy skromnie umeblowane pokoje, wierzchowca, skrawek ziemi na której można hodować jarzyny, ubrania i bieliznę oraz gotówkę około jednego tysiąca czterystu marek. To stanowi mój książęcy majątek!

— Och, wbrew pańskiej ironii jest pan jednak bogaty — odpowiedziała Rosemarie nieco ożywiona.

— I to mówi bogata dziedziczka z Waldeck? Spojrzała na niego poważnie:

— Dziedziczka jest biedna — jest żebraczką mimo swojego bogactwa. Jakże chętnie zamieniłabym się z panem! Jeżeli pan tylko zechce, pokieruje pan swoim losem tak jak pan tego pragnie. Ale musi pan chcieć!

Nachylił się ku niej pytając:

— Czy pani wie, co chciałbym teraz zrobić?

— Co?

— Chciałbym pani uścisnąć dłoń — jak dobremu przyjacielowi. Tak bardzo pocieszyły mnie pani słowa — właśnie w tej godzinie. Proszę mi pozwolić, abym od czasu do czasu mógł z panią porozmawiać. Czy wolno mi przypomnieć łaskawej pani, że dawniej jako przyjaciel domu mogłem przyjeżdżać do Waldeck zawsze kiedy chciałem?

Słowa Hennera brzmiały ciepło i serdecznie. Rosemarie rozpromieniła się i jakby ożyła. Nagle dojrzała w nim coś z dawnego Hennera von Teklenburg.

— Nie musi mi pan tego przypominać — nie zapomniałam o tym. Pamiętam również że mój ojciec serdecznie pana kochał — w ostatnich latach jego życia pan uprzyjemniał mu niejedną godzinę — zawsze był pan pogodny i wesoły. Pamiętam nawet to, że moja matka cieszyła się z pańskich przyjazdów. Mam jeszcze przed oczami obraz, jak we trójkę wróciliście z przejażdżki konnej. Wtedy ojciec był jeszcze zdrów i wszyscy troje śmialiście się tak serdecznie!

Henner przetarł czoło:

— Pani obudziła we mnie wspomnienia. Czy ja naprawdę kiedyś byłem wesoły i beztroski? Tak, tak, pani ojciec był dla mnie wiernym przyjacielem, a pani piękna matka — jako młodzieniec wdychałem do niej i darzyłem ją głęboką czcią — była wspaniałą kobietą. Pani rodzice i ja często razem jeździliśmy konno. Pani matka była doskonałą amazonką.

Rosemarie słuchała uważnie, a potem zapytała drżącym głosem:

— Czy pan kiedykolwiek zauważył, żeby moja matka podczas jazdy konnej szybko się męczyła?

Potrząsnął głową i zdziwiony odparł:

— Wręcz przeciwnie — nie, nigdy nie była zmęczona; sama dosiadała konia i sama zeskakiwała z siodła.

— A więc jazda konna nie szkodziła jej?

— Nie, z całą pewnością nie. Czy pani też lubi jazdę konną, tak jak pani matka?

Smutno zaprzeczyła głową:

— Nie, nie wolno mi — ciotka Herta nie pozwala.

— Pani von Ribnitz? Przecież ona jeździ konno! — Tak, ale mnie nie wolno.

— A chciałaby pani tego?

— Tak, jak wszystkiego, czego mi zabrania.

— Czy pani sama nie decyduje o sobie? Czego pani nie wolno poza tym?

Na twarzy Rosemarie znowu pojawił się ledwo dostrzegalny, pełen rezygnacji uśmiech.

— Nie wolno mi biegać, ani tańczyć, nic co sprawia mi przyjemność. Och, proszę mnie nie pytać, nie chcę o tym mówić. Ale muszę pana prosić, aby pan nie zdradził ciotce Hercie, że widział pan jak wiosłuję, a poza tym w ogóle nie powinna wiedzieć, że rozmawialiśmy.

— Ależ dlaczego nie?

Spojrzała na niego z takim smutkiem w oczach, że bardzo się wzruszył:

— Jestem chorowita i wolno mi tylko jedno — bez przerwy oszczędzać swoje siły!

Henner był zdziwiony i z niedowierzaniem patrzył na jej smukłą postać. Kiedy obserwował z ukrycia jak lekko wiosłuje wcale nie wyglądało na to, że jest chorowita.

Zanim zdążył odpowiedzieć, mówiła dalej:

— A więc zobaczymy pana niedługo w Waldeck?

— Jeżeli można — chętnie przyjdę.

— Musi pan też pojechać do Steinau. Wujek Steinau bardzo się o pana martwi. Czyżby pan zapomniał, że ma w nim wiernego przyjaciela? Z pewnością chętnie udzieli panu rady, tak jak zrobiłby to mój ojciec.

— Czy pani jest tego pewna? Czy pani sądzi, że jestem wart tej przyjaźni?

Popatrzyła mu prosto w oczy:

— Niedawno wujek Steinau powiedział do mnie: Kiedy się Henner von Teklenburg wyszaleje i opamięta, będzie jak dobre wino po fermentacji. Obym

mógł go spotkać i rozsądnie z nim porozmawiać. Szkoda go! W zasadzie jest porządnym człowiekiem i nie zmarnuje się!

Henner słuchał i poczuł się dziwnie; przetarł czoło dłonią i cicho powiedział:

— Ja już zmarnowałem swoje życie! Rosemarie krzyknęła głośno:

— Nie, to nieprawda! Henner popatrzył na nią:

— Dziecko — co pani wie o mnie?

Rosemarie przestraszyła się swojego wybuchu, ale dzielnie wytrzymała jego wzrok, chociaż czuła że się rumieni.

— Wiem, że Henner von Teklenburg nigdy nie postąpił niewłaściwie i że sam nie zmarnuje swojego życia.

Potrząsając głową zapytał nadal patrząc na nią:

— Skąd ta wiara we mnie?

Rumieniec na jej twarzy pogłębił się, niemniej odważnie mówiła dalej:

— Od mojego ojca. Mawiał często o panu: Henner jest rycerzem bez skazy i zawsze takim zostanie. Jeżeli nawet teraz trochę poszaleje, nigdy nie zrobi nic, co by było złe i wbrew honorowi.

Henner milczał i myślał o swoim hulaszczym życiu ostatnich lat — stało się wiele rzeczy których niestety nie da się odwrócić. Prowadził szalony tryb życia z dziką chęcią unicestwienia samego siebie. Ale nigdy nie robił niczego złego, nigdy nie splamił honoru — Bogu dzięki, tego nie zrobił.

Odetchnął i rzekł:

— Ponieważ pani ojciec miał o mnie taką dobrą opinię, dlatego pani bez zastrzeżeń wierzy we mnie?

Skinęła głową:

— Tak — wbrew ironii, z jaką pan to mówi. Bardzo wzruszony gwałtownie zaprzeczył:

— O nie, nie chciałem, aby to brzmiało ironicznie. Żeby pani wiedziała, co ja teraz czuję — myślę, że powinienem się modlić, chociaż dawno odzwyczaiałem się od tego!

Rosemarie speszyła się:

— Muszę wracać. Proszę mi przyrzec, że przyjmie pan wujka Steinau kiedy znowu przyjdzie i że go pan nie odprawi.

— Obiecuję, że sam pójde do niego. A kiedy wolno mi przyjść do Waldeck?

— W każdej chwili, czym częściej tym lepiej.

— A jeżeli pani von Ribnitz powiedziano, że teraz nazywają mnie „szalony Teklenburg” — czy nie odprawi mnie?

— O tym przydomku pana słyszeliśmy już w Waldeck — odpowiedziała z uśmiechem.

— A więc? Czy zła opinia o mnie nie zamknie mi drzwi do Waldeck? Rosemarie przez chwilę zastanawiała się. Czy jednak nie istniała możliwość, że ciotka Herta nie zechce go przyjąć? Była bardzo wybredna, jeżeli chodziło o gości.

Henner zaśmiał się gorzko widząc, że Rosemarie milczy.

— A więc łaskawa pani jednak sądzi, że to wątpliwe. Rosemarie szybko ocknęła się:

— Och, myślałam o tym, że ciotka Herta wogóle nie przyjmuje gości w Waldeck — nie lubi kiedy nas odwiedzają znajomi. To z powodu mnie, ponieważ twierdzi, że takie spotkania nadwyrężają moje zdrowie. Ale to wcale nieprawda. Ona jest przewrażliwiona. W każdym razie będzie lepiej jeżeli pan odwiedzi najpierw wujka Steinau. Poproszę go, aby pana przywiózł do nas. Jeżeli pan przybędzie w jego towarzystwie, ciotka Herta nic nie będzie mogła zrobić.

— A więc muszę się dostać do Waldeck podstępem — rzekł Henner ironicznie.

— Tylko ten pierwszy raz — odparła uspokajająco.

— A pani? Czy pani naprawdę chce, abym przyszedł — zapytał wahając się.

— Tak — mój ojciec życzyłby sobie tego, gdyby żył.

— Tylko dlatego? Rosemarie spaşowiała.

— Chciałabym znowu z panem porozmawiać! Nie powinien pan siedzieć sam w Teklenburgu i zamartwiać się swoimi troskami.

— A więc robi pani to wyłącznie z litości? Wydaje mi się, że pani jest nadal tą małą dobrą Rosemarie, którą kiedyś spotkałem zalaną łzami nad zamarzniętym wróbelkiem znalezionym w parku.

— Umówiliśmy się — pan przyjdzie z wujkiem Steinau? Jeszcze dzisiaj z nim porozmawiam.

— Umówiliśmy się — przyjdę!

— Do widzenia!

— Do zobaczenia!

— I proszę — niech pan mnie nie zdradzi, bo skonfiskują mi łódkę. Potrząsnął głową.

— Nie wspomnę w Waldeck ani słowem o naszym spotkaniu. Rosemarie wzięła do rąk wiosła i łódka szybko pomknęła rzeką. Henner długo patrzył za nią i znowu cieszył go widok silnych, elastycznych ruchów młodej dziewczyny.

Wcale nie robiła wrażenia chorowitej. Co też mogło jej dolegać? — zastanawiał się. Kiedy zniknęła z jego oczu, poszedł ku domowi. Zupełnie zapomniał, że zaczął rozmawiać z Rosemarie z zamiarem, aby swój los złączyć



z jej losem. Teraz czuł, jakby odzyskał dobrego przyjaciela, o którym omalże zapomniał.

W ciągu dnia jego myśli stale wracały do Rosemarie von Waldeck.

## Rozdział piąty

Następnego dnia około godziny piątej oczekiwano w zamku Waldeck pana Jobsta von Steinau. Rosemarie poprosiła ciotkę Hertę o pozwolenie wyjścia staremu panu naprzeciw. Często to robiła i pani von Ribnitz bez zastrzeżeń wyraziła zgodę.

— Tylko nie idź zbyt szybko, dziecko, słyszysz — wołała za Rosemarie z tarasu.

Z pewnością nie pozwoliłaby jej na to, gdyby wiedziała, że Rosemarie właśnie wróciła z wycieczki łodzią. Młoda dama skinęła głową na to upomnienie i poszła w kierunku bramy parkowej.

Po opuszczeniu parku szła drogą prowadzącą przez las do Steinau. Kiedy zobaczyła nadjeżdżający powóz pomachała parasolką stangretowi, żeby się zatrzymał:

— Dzień dobry, wujku Steinau — zawołała do starego pana, wygodnie opierającego się o miękkie obicie powozu.

Wyprostował się, uśmiechnął i zdjął kapelusz z siwizną przyprószonych włosów.

— Dzień dobry, Rosemarie! Czy znowu chcesz mi towarzyszyć przy uroczystym wjeździe?

— Tak, wujku Steinau.

— Pięknie! Pojedziesz ze mną?

— Nie — proszę wysiąść i przejdziemy się kawałek pieszo.

— Dobrze, Rosemarie — odparł stary pan i z trudem wysiadając z powozu, rzekł:

— Wiesz, lubię kiedy mogę trochę rozruszać swoje stare kości. No, daj mi łapkę! Bogu dzięki, wyglądasz kwitnąco! Ciągłe myślę o tym, że ciotka Herta swoim strachem o twoje zdrowie zapędziła nas w kozi róg!

— Fryderyku, proszę powoli jechać do Waldeck — zawołała Rosemarie do stangreta, a potem czule wzięła pod rękę pana von Steinau, którego dobroduszna twarz wzbudzała zaufanie.

— Wcale nie czuję się chora, wujku Steinau. Myślę, że gdybym nie musiała zawsze uważać na siebie, a mogłabym się wyhasać do woli, czułabym się jeszcze lepiej. Na przykład chętnie jeździłabym konno — ale oczywiście, ciotka Herta nie pozwala.

— Nie, o tym nie ma co marzyć. Kiedy ubiegłego lata na twoją prośbę napomknąłem jej o tym, potraktowała mnie tak, jak gdybym cię chciał

zamordować. Wiesz, że ciotka Herta jest stanowcza — ale wtedy była naprawdę bardzo zła. Nie możemy zwracać się do niej z tą prośbą

— odpowiedział Jobst von Steinau z humorystycznie smutną miną. Ani on ani Rosemarie nie wiedzieli, że pani von Ribnitz nie pozwalała siostrzenicy na konną jazdę, ponieważ obawiała się, że w ten sposób nie mogłaby jej stale nadzorować. Kto wie, jak daleko wyprawiłaby się i jakie mogłaby zawrzeć znajomości? Rosemarie westchnęła i przytaknęła głową:

— Tak, tak, wujku, wiem, ale nie o tym chciałam dzisiaj z tobą porozmawiać. Przyszłam z zupełnie innego powodu.

— Mów, co ci leży na sercu, kochanie!

Był przyzwyczajony, że Rosemarie, a często i Heinz von Ribnitz, zwracali się do niego z różnymi sprawami, o których nie mieli odwagi porozmawiać z panią Hertą. Pan von Steinau musiał wtedy pośredniczyć. Pani von Ribnitz — mimo wielkiej miłości do syna — była wobec niego bardzo sroga.

— Zaraz się dowiesz, wujku, ale najpierw muszę ci coś przekazać od Heinza, żebym nie zapomniała. Prosił, abys wtedy kiedy będziesz się żegnał z nami w Waldeck, powiedział żeby pojechał z tobą do Steinau. Chce ci się zwierzyć z pewnej sprawy, o której nie ma odwagi rozmawiać ze swoją matką.

Stary pan zaśmiał się:

— Och, dzieciaki! Jak to dobrze, że możecie przychodzić do mnie ze swoimi zmartwieniami! Jestem przecież zręcznym dyplomata, który wie, jak cioci Hercie przekazać to, czego wy nie umiecie jej powiedzieć. Dobrze, będę pamiętał i zabiorę Heinza kiedy będę wychodził. A teraz mów, co cię gnębi?

Rosemarie patrzyła dużymi oczami, w których było błaganie.

— Wujku Steinau — musisz pomóc Hennerowi von Teklenburg. Spojrzał na nią zdziwiony:

— Rosemarie — co się stało, że nagle mówisz o Hennerze? Westchnęła głęboko:

— Widziałam go — i rozmawiałam z nim — powiedziała speszona, drżącym głosem.

— Do licha! Czy was odwiedził? Czy widziałas go w Waldek — zawołał zaskoczony.

— Nie, nie w Waldeck. Zaciekawiony rzekł:

— A więc opowiadaj, dzieciно! Skinęła głową i zaczerpnęła powietrza:

— Dobrze wujku — ale najpierw muszę ci powierzyć tajemnicę, a ty musisz mi przyrzec, że to co ci powiem, zostanie między nami.

— Hm! To brzmi jak prawdziwy spisek — zaśmiał się stary pan — ale, dobrze, masz moje słowo! Będę milczał jak grób.

— A więc słuchaj, wujku Steinau. Nie mogłam już znieść tego wiecznego uważania na swoje zdrowie, bezczynności i leżenia. Opanowała mnie nieodparta chęć, aby pohasać na świeżym powietrzu i rozruszać się. Zaczęłam wiosłować — nikt tego nie zauważył i nadal to robię już od roku. Kiedy ciotka Herta myśli, że jestem u siebie w pokoju, wymykam się z domu, biegnę nad rzekę, wsiadam do łódki i wiosłuję — wspaniale się zawsze czuję po takiej wycieczce!

Jobst von Steinau wyglądał jak człowiek, który nie wie co ma począć. W końcu odezwał się:

— No wiesz — z mojego punktu widzenia nie może ci to zaszkodzić, o ile nie będziesz przesadzać. Ale, że robisz to w tajemnicy przed ciotką! No, dobrze, dobrze, wiem, że nie możesz inaczej. A ponieważ to ci służy — stwierdzam, że naprawdę wyglądasz bardzo dobrze — niech ci będzie! Zamykam oczy i nie wiem o niczym! Jesteś zadowolona?

Z wdzięcznością uściśnęła jego ramię:

— Jesteś bardzo dobry, wujaszku. Słuchaj dalej!

Rosemarie opowiedziała o swoich dwóch spotkaniach z Hennerem von Teklenburg podczas wycieczek łódką. Oczywiście, nie wspomniała, że często go obserwowała ze swojego ukrycia, kiedy przejeżdżał konno obok muru parkowego. Bez względu na to, pan von Steinau z jej opowiadania wywnioskował wiele z tego, czego nie chciała zdradzić.

Kiedy skończyła zapytał:

— Hm! A więc kiedy go spotkałaś po raz drugi wydawał ci się bardziej rozsądny?

— Tak! Nie był już taki ponury i uparty. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę dawnego Hennera. Ale szybko popada w zły nastrój i jest ironiczny. Niemniej obiecał, że przyjedzie do mnie. Musisz mu pomóc, kochany wujaszku, musisz z nim porozmawiać i doradzić, co ma robić. Ty musisz go przyprowadzić do Waldeck, aby go ciotka Herta nie odprawiła. Mogłoby to ponownie wywołać jego gniew i upór. Wiesz, co ciotka o nim myśli i że w ogóle nie chce przyjmować gości ponieważ sądzi, że mnie męczą spotkania z ludźmi. A naprawdę jest wręcz przeciwnie: bardzo się cieszę, jeżeli nas ktoś odwiedzi.

— No tak, Rosemarie — mogę się wczuć w twoją sytuację. Przecież żyjesz jak w klasztorze i nie widzisz nikogo poza starym wujkiem i jego dwoma córkami — wliczając w to jeszcze mojego zięcia. A Lena jest stale zajęta, ponieważ od lat zastępuje panią domu w Steinau i matkę młodszej siostrze, Hildzie, która ma czternaście lat i też nie jest dla ciebie odpowiednim

towarzystwem — jest zbyt młoda. Woli szaleć z Heinzem, wspinać się na drzewa i przeskakiwać płoty. No, wiesz, wątpię jednak czy właśnie Henner von Teklenburg jest odpowiednim i interesującym człowiekiem.

— Och, wujku! Tak miło mi się rozmawiało z nim dzisiaj nad rzeką. Zupełnie inaczej niż z innymi ludźmi — choć nie był szczególnie uprzejmy. Bardzo bym się cieszyła, gdyby — jak dawniej — często bywał w Waldeck.

Pan von Steinau uważnie patrzył na dziewczynę. Po raz pierwszy zwrócił uwagę na fakt, że Rosemarie była ładna, kiedy się ożywiła i była czymś przejęta.

— A więc dobrze, Rosemarie, przyprowadzę go do Waldeck — jeżeli będę mógł z nim porozmawiać. Nie będę szczędził dobrych rad. Żał mi tego człowieka, lecz czy będę mógł mu pomóc — to jest trudne pytanie. Wiesz, dziewczyno, jeżeli nawet nabrał rozumu i zaniechał rozrzutnego życia jakie prowadził — nie będzie łatwo mu pomóc. Wydał wszystko co miał do ostatniego grosza, a jego pusty zamek nie daje dochodu — co więcej wymaga pieniędzy, żeby go utrzymać. Aby zamek doprowadzić do dawnej świetności trzeba dużo pieniędzy. Nie dysponuję takim kapitałem, nawet gdybym chciał zaryzykować. Mam dosyć problemów z moim majątkiem, aby go utrzymać na poziomie — poza tym mam dwie córki, o które muszę się troszczyć. A takiej okrągłej sumy miliona marek w gotówce, jaką dysponuje majątek Waldeck — niestety nie mam.

Rosemarie spojrzała na pana von Steinau uważnie.

— Wujku, czy ja jestem bogata? Zaśmiał się głośno i odparł:

— No myślę, że niczego nie musisz sobie odmawiać — możesz spełnić każde swoje życzenie. Już sam dumny zamek Waldeck czyni z ciebie bardzo bogatą dziewczynę, nie mówiąc o milionie marek w gotówce, która daje rocznie ładne odsetki. Ty nie wydajesz na siebie wiele, więc dochody z majątku nigdy nie są w całości wykorzystywane.

— A czy mogę — od dnia kiedy osiągnęłam pełnoletność — rozporządzać pieniędzmi według własnej woli?

Stary pan patrzył na nią badawczo.

— Oczywiście, możesz.

— A więc mogłabym pomóc Hennerowi von Teklenburg? Pan von Steinau zatrzymał się i zapytał:

— Rosemarie, chyba nie masz zamiaru tego zrobić? Zarumieniła się:

— Och, zrobiłabym to natychmiast, ale przecież on nie weźmie ode mnie pieniędzy — jestem tego pewna. Nie jestem mężczyzną. Jakim prawem

miałabym mu ofiarować pomoc? Och, wujku Steinau, po co mi tyle pieniędzy? Tak bardzo chciałabym mu pomóc, gdyby to było możliwe.

Pan von Steinau westchnął:

— Mój Boże, dziecino, sądzę, że ciotka Herta sprzeciwiałaby się bardzo energicznie.

Rosemarie zacisnęła usta, a po chwili zapytała:

— Czy ciotka Herta miałaby prawo zabronić mi tego?

Jobst von Steinau zdjął kapelusz, otarł pot z czoła i po chwili odparł:

— Do stu piorunów, Rosemarie — zrobiło mi się gorąco. Zadajesz mi dzisiaj pytania, które wyprowadzają mnie z równowagi. A poza tym — co się z tobą dzieje? Wydajesz mi się taka — no, taka buntownicza.

Rosemarie nie dała się zbić z tropu:

— Proszę, odpowiedz mi: czy ciotka Herta mogłaby mi prawnie tego zabronić?

Pan von Steinau cicho zagwizdał i rzekł z uśmiechem:

— No, więc — nie. Żaden człowiek nie ma już prawa zabraniać ci czegokolwiek. Możesz robić co chcesz i postępować jak chcesz, i nikt nie ma prawa sprzeciwić się temu. Od dnia kiedy stałaś się pełnoletnia jesteś wyłączną panią zamku Waldeck i możesz rozporządzać całym swoim majątkiem.

Rosemarie skinęła głową zadowolona.

— Tylko to chciałam usłyszeć, wujku Steinau — odpowiedziała spokojnie.

Stary pan zaśmiał się:

— Opanowała cię chęć rządzenia — chciałabyś odgrywać rolę dziedziczki?

— Och nie, rządzić potrafi ciotka Herta o wiele lepiej ode mnie.

— Tak, tak, masz rację. Ciotka Herta nigdy nie wypuści steru z rąk. Za bardzo jest przywiązana do Waldeck i trzeba to przyznać trzymając ją w zadziwiającym porządku.

Rosemarie obojętnie skinęła głową:

— Tak, i zawsze już tak zostanie. Mnie to odpowiada. Chciałam od ciebie usłyszeć, jak dalece jestem jeszcze zależna od ciotki. Przecież kiedyś może się zdarzyć, że zechcę dysponować według własnej woli jakąś sumą. A więc mam do tego prawo?

— Tak, myszko, masz do tego pełne prawo. Rosemarie głęboko westchnęła:

— Wróćmy do Hennera Teklenburga, wujaszku! Obiecuj mi, że mu pomożesz, że będziesz mu służył radą. A jeżeli znajdziesz sposób, aby przyjął od ciebie pieniądze — proszę, daj mu. On nie może wiedzieć, że te pieniądze pochodzą ode mnie. Musimy mu pomóc. On musi znowu zacząć normalnie żyć.

Jobst von Steinau nie był znawcą kobiet. Z rozbijającą szczerością mówił o sobie, że nie jest wyjątkowo bystry. Niemniej był doświadczonym człowiekiem i zauważył, że zazwyczaj cicha i apatyczna Rosemarie bardzo żywo interesowała się Hennerem Teklenburgiem. Czyżby jej serduszko zwróciło się ku niemu? Stary pan zamyślił się. Nie sądził, że Rosemarie jest tak bardzo chora, żeby nie móc wyjść za mąż. Wręcz przeciwnie — sądził, że pani von Ribnitz przesadza i że stan zdrowia Rosemarie wcale nie wzbudza niepokoju.

Po dłuższej chwili odezwał się gładząc brodę:

— A więc dobrze — przyjrę się Hennerowi i bądź spokojna, że to co należy zrobić, będzie zrobione. Może przyjdzie kolej na ciebie, abyś poniosła ofiarę. Jeżeli on na to zasługuje — w co wierzę — będę to popierał. Widzę, że się rwiesz do tego, aby zrobić coś dobrego, hm?

Rosemarie spojrzała na niego rozpromieniona.

— Tak, wujku Steinau. Po co mi majątek, jeżeli nie mogę pomóc ludziom, których kochali moi rodzice?

— Tak, tak, ty przecież też bardzo lubisz Hennera, czyż nie? Jobst von Steinau myślał, że postępuje niezwykle dyplomatycznie pytając o to z niewinną miną.

Rosemarie wcale nie miała zamiaru udawać przed dobrym starym wujaszkiem.

— Tak — bardzo go lubię. W ostatnich latach życia mojego biednego ojca wniósł do naszego domu tyle pogody. Ojciec cieszył się, kiedy Henner przyjeżdżał. Bardzo go kochał.

Jobst von Steinau znowu się zamyślił. Przypomniawszy sobie, jak Ernst von Waldeck niedługo przed śmiercią powiedział: Henner potrzebuje bogatej żony. Jaka szkoda, że nasze córki są jeszcze takie młode. Ale Henner powinien kiedyś zostać twoim albo moim zięciem. Jest wspaniałym człowiekiem i będzie dobrym mężem, ponieważ ma serce na dłoni.

Zastanawiał się więc stary pan nad tymi słowami i wydawało mu się, że Rosemarie wcale nie miałyby nic przeciwko temu, aby zostać żoną Hennera.

Dobry wujaszek Steinau nie miał pojęcia, że pani von Ribnitz wmawiała Rosemarie, iż nie wolno jej wyjść za mąż ponieważ to, oznaczałoby dla niej rychłą śmierć.

Po dłuższej chwili pan von Steinau odezwał się:

— No więc wyjaśniliśmy sobie, że Hennerowi trzeba pomóc, zakładając, że naprawdę się opamiętał. Bądź spokojna i zostaw wszystko mnie. Porozmawiam z nim kiedy uda mi się go spotkać.

— A jeżeli on nie przyjdzie do ciebie, to ty pójdiesz do niego, dobrze? — nalegała Rosemarie.

— Tak, pójdę i tym razem nie dam się odprawić od drzwi. Czy to wszystko co miałaś mi powiedzieć? Oto i brama parkowa.

— Wujaszku, kamień spadł mi z serca. Ty mnie zawsze rozumiesz: Tak bardzo się cieszę, że przyjechałeś!

Weszli do parku tuż za jadącym przed nimi powozem.

Herta von Ribnitz powitała Jobsta von Steinau na tarasie, a Heinz wziął go pod rękę. Podeszli do stołu nakrytego do herbaty i usiedli. Na znak matki, Heinz okrył Rosemarie jedwabnym szalem.

— Ależ Heinz, jest mi bardzo ciepło — odezwała się zniecierpliwiona młoda dama.

— Moje dziecko, jesteś zgrzana, musisz uważać — ostrzegła ją pani Herta.

Rosemarie milczała, ale kiedy szal zsunął się jej z ramion nie podniosła go.

Pani von Ribnitz była wyjątkowo uprzejma wobec pana von Steinau i prowadziła ożywioną rozmowę. Bystry obserwator zauważyłby jednak, że wiedziała iż przewyższa go inteligencją — i tak było w rzeczywistości. Stary pan był prostolinijnym szlachcicem, dobrym gospodarzem i czułym ojcem. Był jednak zbyt dobroduszny, aby przejrzeć skomplikowaną duszę kobiety — na dodatek kobiety, która doskonale umiała się maskować.

Najpierw rozmawiano o wnuku pana Steinau. Jego starsza córka Lena, wyszła za mąż za barona von Haller i razem z mężem mieszkała u ojca — zięć zarządzał majątkiem teścia.

Młoda baronowa od śmierci matki prowadziła dom i wychowywała młodszą siostrę Hildę, która bywała tak często w Waldeck, jak Heinz w Steinau, ponieważ młodzi ludzie mieli sobie zawsze mnóstwo do powiedzenia.

Kiedy szczęśliwy dziadek skończył opowiadać o bohaterskich wyczynach wnuka, Heinz zapytał:

— A gdzie jest Hilda, wujku Steinau — dlaczego nie przyjechała? Stary pan trochę się speszył, ale w końcu rzekł:

— Mój drogi Heinz, Hilda znowu była nieposłuszna i ma areszt domowy — tak zadecydowała Lena.

— Cóż takiego nabroiła? — zaśmiał się Heinz.

— Chciała mieć wakacje i chciała się zwolnić u mademoiselle — twierdzi, że ty też masz wakacje. Francuzka mówi, że robi słabe postępy i nie chce słyszeć o wakacjach, I wiesz co zrobiła ta mała mysz? Rozlała klej na książki. Wszystko się posklejało i jest do wyrzucenia. Zamówiliśmy nowe podręczniki i dopóki nie nadejdą, nauka nie może się odbywać. Mademoiselle poskarżyła się



Lenie, a ona zarządziła areszt domowy. Na pytanie dlaczego to zrobiła Hilda odpowiedziała, że chce jechać do Waldeck i mieć wakacje jak Heinz.

Młody człowiek niespokojnie wiercił się na krześle:

— Och, wujku, dlaczego nie wstawiłeś się za Hildą?

— Nie, chłopcze, od czasu do czasu musi zostać ukarana — stawia nanj cały dom na głowie. Nie mogę się sprzeciwiać Lenie — utrudniłbym jej wychowywanie tego urwisa. Tak, dziewczyna ma energię dziesięciu mężczyzn — zaśmiał się pan von Steinau, ale widać było, że jest dumny z córki.

Kiedy się żegnał zwrócił się do Heinza:

— Posłuchaj no chłopcze — mógłbyś pojechać ze mną do Steinau? Może uda ci się uwolnić Hildę z aresztu domowego. Łaskawa pani wyraża zgodę, czyż nie?

Herta von Ribnitz uśmiechnęła się:

— Właściwie powinnam powiedzieć „nie”. Hildzie dobrze robi jeden dzień aresztu. Widzę jednak, że Heinz ma wielką ochotę, aby z panem pojechać i kruszyć kopie o wolność swojej małej przyjaciółki. Proszę go więc zabrać.

— Dziękuję łaskawej pani. A kiedy znowu zobaczymy u nas panią i Rosemarie.

— Wkrótce, drogi przyjacielu, może już jutro, jeżeli czas pozwoli. Proszę pozdrowić pańską córkę i barona Hallera.

Stary pan żegnając się uściśnął dłoń Rosemarie i wymienił z nią porozumiewawcze spojrzenie.

Tymczasem Heinz ubrał się szybko. Zajechał powóz i panie rozmawiając odprowadziły gościa do schodów tarasu.

Jobst von Steinau i Heinz jechali chwilę w milczeniu. Dopiero kiedy byli na szosie stary pan odezwał się dobrodusznie:

— No, chłopcze, czyż nie uprowadziłem cię w dyplomatyczny sposób?

Heinz miał poważną minę:

— Tak, wujku Steinau — serdecznie ci dziękuję! Pan von Steinau spojrział na niego:

— Dlaczego jesteś tak piekielnie poważny, mój przyjacielu? Mów co cię trapi!

— Och, wuju Steinau — od dawna szukałem okazji, aby z tobą porozmawiać. Pilnie potrzebuję twojej pomocy.

— No, no, kawalerze — to brzmi bardzo uroczyście. Chyba nie zrobiłeś w szkole jakiegoś głupstwa?

— Nie, nie martw się! Chętnie się uczę i spełniam swoje obowiązki, żeby mamie zrobić przyjemność. Wiem, że mnie kocha i życzy mi jak najlepiej.

Właśnie dlatego byłoby mi bardzo trudno powiedzieć jej, co mi leży na sercu. A więc, wujku, mama chce, abym studiował agronomię — a ja wcale na to nie mam ochoty.

Stary pan mruknął:

— Hm! A więc o to chodzi! Nie chcesz studiować agronomii? A czym chciałbyś być?

— Oficerem, wujku Steinau — wykrztusił Heinz zdenerwowanym głosem.

— No, jeżeli nie chodzi o nic gorszego — uspokajał go stary pan — przecież to życzenie można urzeczywistnić. Twojej matce powinno być obojętne, czy będziesz żołnierzem czy rolnikiem. Jako rolnika bez ziemi i majątku też nie czeka cię świetna kariera. Nie rozumiem, dlaczego twoja matka upiera się, żebyś studiował agronomię. Myślałem, że to jest twoje życzenie.

— O nie, już przed dwoma laty powiedziałem mamie, że chcę zostać oficerem. Bardzo się zdenerwowała i oświadczyła, że stanowczo muszę studiować agronomię. Pod jej kierunkiem nauczyłbym się zarządzania majątkiem Waldeck i w przyszłości miałbym ją zastąpić.

Mama nie chce, aby Rosemarie była zależna od obcych ludzi. Bardzo kocham Rosemarie i wszystko chętnie dla niej zrobię, ale nie wierzę, żeby ona chciała mnie zmuszać do nauki zawodu, którego nienawidzę.

— Uchowaj Boże, Rosemarie nie jest taka. A co się stanie, jeżeli pewnego dnia wyjdzie za mąż? Wtedy musiałbyś szukać posady w innym majątku.

Heinz pokręcił głową:

— To się nigdy nie stanie. Rosemarie nigdy nie wyjdzie za mąż — rzekł stanowczo.

— To wcale nie jest takie pewne — zaprotestował Jobst von Steinau.

— To jest zupełnie pewne — Rosemarie nie może wyjść za mąż, ponieważ to spowodowałoby jej rychłą śmierć. Dlatego mama chce, żebym się zajął Rosemarie. Ale powiedz wujku, czy będzie miała korzyść z rządcy nienawidzącego swojego zawodu? Nie cierpię rolnictwa! Dlatego zwracam się do ciebie z moją troską. Proszę cię bardzo, porozmawiaj przy okazji z matką. Nie mam odwagi ponownie poruszać tego tematu, stale to odsuwam, ale czas nagli. Na Wielkanoc w przyszłym roku miałbym rozpocząć studia agronomiczne.

Pan von Steinau słuchał zamyślony, a po chwili rzekł:

— Dobrze, chłopcze, porozmawiam z twoją matką. Wiem, że niechętnie rezygnuje ze swoich postanowień, ale nie sądzę, żeby ci narzucała zawód, którego nie znosisz. Za bardzo cię kocha. A poza tym — jak już mówiłem — Rosemarie może wyjdzie za mąż.

— Niestety nie, wujku Steinau. Cieszyłbym się, gdyby wyszła za mąż i gdyby jej mąż zarządzał majątkiem Waldeck. Mama twierdzi jednak, że to pewne, ponieważ Rosemarie jest zbyt chorowita.

— Och, mój Boże! Twoja matka jest przewrażliwiona. Spójrz na Rosemarie — przecież ona wygląda kwitnąco i zdrowo!

— Tak — ale matka Rosemarie była chora.

— Nigdy nic o tym nie słyszałem. Była zawsze wesoła, uprawiała sporty i gdyby nie ten wypadek, na pewno żyłaby długo pomimo tego, że wyszła za mąż. Rosemarie zamażpójście też nie zaszkodzi.

Heinz westchnął:

— Stale mówię mamie, że Rosemarie wcale nie wygląda na chorą, chociaż jest cicha i poważna. Mama natomiast twierdzi, że będzie żyła tylko wtedy, jeżeli będzie bardzo uważać na swoje zdrowie.

— Przecież może tak postępować będąc mężatką — zobaczymy, jak się wszystko ułoży. Mam już pewien plan. Muszę postępować bardzo dyplomatycznie, rozumiesz? Muszę wykorzystać odpowiednią chwilę — najlepiej wtedy, kiedy ciebie nie będzie w domu. Mam nadzieję że latem, kiedy przyjedziesz na wakacje, wszystko będzie już załatwione. Zgadzasz się?

Heinz uściskał dłoń starego pana i ciężko westchnął:

— Tak, wujku Steinau — dziękuję z całego serca.

— Nie ma za co, kawalerze. A teraz rozchmurz się i bądź znowu wesoły. Wszystko dobrze się ułoży.

## Rozdział szósty

Dwór w Steinau był przestronnym budynkiem z prostą szarą fasadą; za nim rozciągał się ogromny sad. Na uboczu stały budynki gospodarskie. Przed wejściem do dworu był duży trawnik graniczący z parkiem. Ten park nie był w ogóle kultywowany — był po prostu ogrodzony kawał lasu i właśnie dlatego młodzież uważała, że jest wspaniały. Tutaj nie, trzeba było uważać na dokładnie skoszony angielski trawnik i pieczołowicie utrzymane żwirowe ścieżki, tak jak w Waldeck.

Dwór nie był okazały — wyglądałby nawet nieco ponuro, gdyby nie weranda otaczająca cały front i upiększająca go bujnymi kwiatami.

Z jednej strony werandy postawiono nowoczesne meble wiklinowe. Kiedy zajechał powóz stała tam ładna, jasnowłosa kobieta. Miała około dwudziestu pięciu lat. Na rękach trzymała małego chłopca, który wołał na cały głos: dada, dada. Szczęśliwy dziadek szybko wysiadł z powozu. Nie zwracając uwagi na swojego młodego gościa, wziął malca w ramiona i uniósł go wysoko w powietrze. W tym czasie baronowa Haller powitała Heinza i uśmiechając się rzekła:

— Dzień dobry, drogi Heinz! Jak pan widzi, papa zapomina o obowiązkach gościnnego gospodarza — cieszę się, że pana widzę. Od paru dni nie było pana w Steinau.

— Czyż nie byłem tutaj przedwczoraj, pani baronowo? — zapytał całując ją w rękę.

— No tak — : ale tylko pięć minut, kiedy pan odprowadzał Hildę, a to nie liczy się jako wizyta. Gdyby Hilda dzisiaj była w Waldeck, prawdopodobnie nie widzielibyśmy pana.

Heinz zaśmiał się:

— Może nie, ale przyznanie się łagodzi karę.

Pani Lena patrzyła na smukłą postać chłopca z serdecznością.

— Z Heinza i Hildy będzie kiedyś ładna para — powiedziała rano do męża.

Baron wyśmiał swoją żonę:

— Ależ Leno, tych dwoje dzieci łączy tylko myśl, jakby spłatać jakiegoś figla — odparł.

Lena uśmiechnęła się jak kobieta, która jest pewna, że ma słuszość.

— Zobaczymy! Przyszłość pokaże, czy mam rację.

Myślała teraz o tym i z macierzyńską czułością uśmiechnęła się do młodzieńca.

— W każdym razie miło mi, że papa przywiózł pana. Dzisiaj Hilda nie uprowadzi pana i będziemy mogli nacieszyć się pańskim towarzystwem. Pan z pewnością już słyszał, że Hilda ma areszt domowy?

Heinz wziął ją za rękę:

— Droga pani baronowo — właściwie przyjechałem, aby uwolnić Hildę.

— Nie, z tego nic nie będzie. Hilda jest niesforna — trudno już sobie z nią poradzić. Czy pan wie, co ona zrobiła?

— Tak, zrobiła sobie wakacje!

— I pan sądzi, że nie postąpiła nagannie?

— Nie, uważam że ma tupet i jest dziarska! Hilda jest geniuszem — zawsze umie wyjść z opresji!

— Dziękuję pięknie! Czy słyszy papa co mówi Heinz? Stary pan uśmiechnął się:

— A więc widzisz Leno, zdania są podzielone co do winy Hildy.

— Ty, oczywiście, przyłączasz się do Heinza — przekomarzała się z ojcem Lena.

— Wiem, że w głębi serca i ty podzielasz nasze zdanie. Ale nie powiem już ani słowa i nie wtrącam się do twoich decyzji — chociaż mi żal, że myszka musi siedzieć w dziurze — i to przy tak pięknej pogodzie.

— Właściwie Hilda już odsiedziała karę, pani baronowo, ponieważ nie pozwolono jej pojechać do Waldeck i siedzi tam w pokoju już całą wieczność. Proszę jej darować resztę kary — błagał Heinz.

Lena nie dała się namówić.

— Hilda powinna zostać ukarana tak jak postanowiono — do końca dnia nie opuści swojego pokoju.

Heinz podbiegł do małego Hansi, wziął go na ręce i rzekł:

— Hansi — powiedz: mama proszę puść Hildę, puść Hildę! Chłopaczek złożył rączki i powtarzał za Heinzem: Hildę puść, Hildę puść! Hansi bawić z Hildą! — Malec był bardzo przywiązany do młodej cici.

— Czy pani ma serce z kamienia, pani baronowo? Hilda już została ukarana!

Mały człowieczek wszystko co się działo traktował jak zabawę i zaśmiewając się powtarzał: Hildę puść! Hildę puść! Baronowa spojrzała na ojca:

— Co mam zrobić? Ci dwaj młodzi rycerze tak walczą o Hildę, że nie można się oprzeć ich prośbie. Czy okazemy łaskę, papo?

Pan von Steinau uśmiechnął się:

— Nie powiem ani słowa, Leno, nie chcę abyś mi wypominała, że jestem zbyt „słabym” ojcem.

Lena zaśmiała się:

— Dobrze, biorę odpowiedzialność na siebie — a także gniew mojego męża!

— Czy mogę pójść po Hildę, pani baronowo — niecierpliwił się Heinz.

— Gościowi nie wypada odmawiać. Proszę, oto klucz do jej pokoju — drzwi są zamknięte.

Uszczęśliwiony Heinz pobiegł do pokoju Hildy. Znał w tym domu każdy zakamarek. Szybko przeskakiwał schody. Pokój dziewczyny był na pierwszym piętrze, z oknem na sad.

Heinz najpierw odbębnił marsza na drzwiach pokoju, zanim włożył klucz do zamka.

— Hej, droga wolna — zawołał wesoło i wszedł. Wtem stanął jak wryty — pokój był pusty.

— Hildo! — zawołał przestraszony i podbiegł do szeroko otwartego okna.

Patrzył w dół i zastanawiał się: czyżby Hilda wyskoczyła przez okno? Nagle usłyszał głośny śmiech dochodzący z konarów jabłoni rosnącej tuż przy oknie. Spojrzał uważnie i dostrzegł wśród gałęzi jasnowłosą, roześmianą twarz i duże niebieskie oczy. Między konarami zwisały szczupłe nogi w czarnych pończochach i półbutach. Hilda beztrąsko wymachiwała nimi wołając:

— Heinz, nie patrz jak spłoszony zając!

— Hildo! Ależ Hildo! — mamrotał Heinz.

— Hej! — co ty tam robisz na dole — masz taką tragiczną minę!

— Myślałem, że wyskoczyłaś przez okno!

— Co ty sobie myślisz? Takiego głupstwa nie popełniłabym, przecież nie mam zamiaru połamać sobie rąk i nóg. Czego nie można, tego nie można! Nie podejmuję się rzeczy, których nie da się wykonać.

— No dobrze, ale jak dostałaś się na tę jabłoń? Przecież nie mogłaś z okna przelecieć na drzewo. Te cienkie gałęzie, które sięgają okna nie mogły cię przecież utrzymać.

Hilda zaśmiała się na całe gardło.

— Oczywiście, że nie, przecież nie jestem lekka jak piórko — chociażomalże już nie umarłam z głodu w tym mamrze. Zaraz ci zademonstruję, jak się tutaj dostałam. Najpierw przysięgnij, że zachowasz tajemnicę. Nikt nie może się dowiedzieć, gdzie mnie zastałeś. Ta droga będzie mi jeszcze nieraz potrzebna. Przy takiej pięknej pogodzie po prostu nie wytrzymuję w pokoju! A więc przysięgnij!

— Przysięgam — zapewnił solennie Heinz, uśmiechając się. Właściwie przyszedłem, aby cię uwolnić.

— Hm! A więc Lena w końcu doszła do wniosku, że niesłusznie wsadziła mnie do mamra?

— Nie, ale Hañsi i ja ubłagaliśmy ją, aby ci darowała resztę kary.

— Och, moje kochane złotko! Gdy go dorwę, ucałuję go!

— No, a ja? Zapominasz, że i ja błagałem o twoje uwolnienie. A mnie nie nazywasz „kochanym złotkiem” — odezwał się nadąsany Heinz.

— Po pierwsze byłoby śmieszne, gdybym cię tak nazywała, bo to pasuje wyłącznie do maluchów. Poza tym masz pod nosem jakiś ślad wąsika — a może się po prostu nie myłęś, aby mi zaimponować?

Heinz odruchowo pogładził się po wyśmianym zarostcie.

— Słuchaj, jeszcze jedno słowo, a zamknę cię z powrotem w pokoju.

— Proszę bardzo! Mam to w nosie — ześliznę się po pniu! Ale nie dajesz mi dojść do słowa. A więc po drugie, było twoim obowiązkiem, aby mnie wyciągnąć z mamra, bo jesteśmy druhami. Ale słuchaj — żebyś ty widział twarz mademoiselle, kiedy zobaczyła posklejane książki! Mówię ci: dramat w pięciu aktach! Zużyła całą butelkę wody kolońskiej, aby dojść do siebie. Mam jednak wakacje przynajmniej trzy dni — chyba tyle czasu trzeba, by nadeszły nowe książki. Ostatecznie używała je dawniej Lena i wcale nie były już ładne. Czy to nie był wspaniały pomysł?

— Klawo to zrobiłaś!

— I za taki genialny pomysł w Steinau dostaje się człowiek do mamra.

— Tak, to jest niesłychane — ale zejdziesz wreszcie z tego drzewa!

— Dobrze, tylko cofnij się trochę, żebym cię nie potraćiła — rzekła Hilda i wysunęła powoli z gałęzi jabłoni długą deskę w kierunku okna. Była to stara deska do prasowania, którą Hilda już dawno po kryjomu przyniosła i schowała w swoim pokoju. Teraz oparła ją o konary, a po drugiej stronie o parapet okna i w ten sposób miała pomost. Zręcznie przebalansowała po desce i wskoczyła do pokoju.

— Jak widzisz, to jest most zwodzony. Kiedy siedzę na drzewie, pociągam deskę za sobą i opieram o konary — mostu nie ma i nikt nie domyśla się, jak weszłam na tę jabłoń. A teraz patrz, wsuwam deskę za szafę i stoi tam, aż ją będę znowu potrzebowała. Takie przydatne rzeczy trzeba zawsze mieć pod ręką. Mam też stary sznur do suszenia bielizny. Kiedy jeszcze nie miałam deski, spuszczałam się po nim — ale to strasznie ociera dłonie i boli.

— A jeżeli spadniesz z deski? — pytał zatroskany Heinz.

— Bzdury — jestem ostrożna i zawsze trzymam się gałęzi. Najpierw muszę wycalować moje małe złotko, a potem pójdę do spiżarni, aby się najeść. Umieram z głodu, a do kolacji daleko! Potem trochę poszalejemy.

Hilda wykonała swój „plan”. Tymczasem wrócił do domu baron Haller. Widząc podlotka na werandzie zaśmiał się na cały głos i zawołał do żony:

— A nie mówiłem, Leno? Jeszcze nie nadszedł wieczór, a nasze źrebiątko jest już na wolności!

Hilda wzięła go pod rękę, mówiąc:

— Fritz, jeżeli będziesz Lenę podjudzał przeciwko mnie, przez cztery tygodnie nie odezwę się do ciebie ani słowem.

Baron Haller, przystojny wysoki mężczyzna, spojrział na nią z udanym przerażeniem:

— Na miłość boską, Hildo! Chyba nie masz zamiaru spełnić tej strasznej groźby?

— Żebyś wiedział, że zrobię to natychmiast, jeżeli nie pochwalisz Leny za to, że mnie zwolniła z aresztu!

Z przesadnym zapalem baron zaczął całować żonę, a po chwili zapytał:

— Jesteś zadowolona Hildo?

— Musisz jeszcze powiedzieć Lenie, za co otrzymała te całusy! — zażądał podlotek.

Baron szepnął żonie coś do ucha — Lena zarumieniła się.

— Szachrujesz, Fritz! Powiedziałeś Lenie coś zupełnie innego!

— No, już dobrze, Hildo, wszystko w porządku — wymijająco odpowiedziała Lena.

Baron wziął na ręce synka i powitał go w taki sam sposób, jak dziadek — podrzucał go, a dziecko piszcząc z radości. Lena uśmiechając się patrzyła na nich, a po chwili zwróciła się do męża:

— Fritz, nie zauważyłeś, że mamy gościa.

Baron posadził synka na ławce i zwrócił się do Heinza serdecznie:

— Proszę wybaczyć, drogi Heinz — ale zanim powitam całą rodzinę zajmuje to trochę czasu.

— Dzięki Heinzowi Hilda wyszła z aresztu — zauważyła Lena. Baron uściskał rękę młodzieńca:

— No, no, patrzcie państwo! Jestem panu wielce zobowiązany.

— Hej, Fritz! Czyżby tobie tak zależało na mojej wolności? — zapytała zdziwiona Hilda. Baron zaśmiał się:

— Bynajmniej, ty dzikusie! Kiedy jesteś pod kluczem, panuje w Steinau błogi spokój. Ale Lena i ojciec snują się po domu z tak smutnymi minami i Hansi bez przerwy pyta o ciebie, więc człowiek zaczyna tęsknić za tobą. Będę szczęśliwy, kiedy dobrowolnie zaniechasz wszelkich wybryków. Powinno być twoim punktem honoru, żeby stać się uosobieniem doskonałości.



Hilda śmiała się, ale po chwili spoważniała i zamyśliła się:

— Fritz — czyżbym miała podjąć dobre postanowienia?

— Hm! Bardzo byś mi tym zaimponowała — zapewnił ją baron. Znał słabą stronę Hildy i jego dyplomatyczne chwytły już nieraz dały dobre wyniki.

— No dobrze! A więc zaczekaj — zaraz coś zobaczysz! Właśnie nadchodzi mademoiselle; poszła na spacer, aby się uspokoić. Muszę z nią porozmawiać.

Hilda w podskokach podbiegła do swojej nauczycielki.

— A to co? Jesteś na wolności? Uciekłaś z aresztu — zapytała Francuzka.

— Nie, mademoiselle! Heinz i Hansi wyblągali mbję uwolnienie. Proszę, niech się pani już nie gniewa na mnie! Właściwie moje przestępstwo okazało się dobrym uczynkiem.

— Wcale nie dobrym, ale bardzo złym!

— Ach, mademoiselle — panią i tak bolała głowa i dobrze pani zrobi parę wolnych dni. Uczucie, że ktoś się na mnie gniewa jest straszne. Niech pani będzie człowiekiem, mademoiselle — dobrowolnie złożę przyrzeczenie.

— Co za przyrzeczenie?

— Od dzisiaj postanowiłam naprawdę pilnie się uczyć. Chcę wszystkim zaimponować! Nadrobię zaległości, żeby pani dobrowolnie dała mi wolne, kiedy Heinz przyjedzie na wakacje.

— Dotrzymasz swojego przyrzeczenia?

— Daję słowo honoru, a teraz proszę się uśmiechnąć!

I cóż miała począć mademoiselle? Musiała się uśmiechnąć i przebaczyć.

Hilda zadowolona zawołała Heinza. Poszli do stajni, do koni. Hilda kochała zwierzęta i często do nich zaglądała. Siadła na skraju żłobu i słuchała, jak Heinz opowiadał, że chce zostać oficerem. Zmartwiony dodał:

— Jeżeli mama nie będzie mi co miesiąc pomagała, nie będę mógł zostać oficerem. A ja nawet nie wiem, czy mama będzie w ogóle miała pieniądze na miesięczną pensję.

Hilda popukała go w czoło:

— Ależ Heinz — poprosisz o to Rosemarie — ona nie odmówi ci pomocy.

— Sądzisz, że nie odmówi?

— Oczywiście, nie! Ona jest nieludzko bogata — i jest bardzo dobrą dziewczyną.

— Tak, to prawda. Będzie mi jednak trudno prosić o to.

— Musisz spróbować. Najlepiej żebyś porozmawiał z Rosemarie zanim powiesz to mamie. Jeżeli jednak nie chcesz sam tego zrobić — ja pójdę i porozmawiam z nią. Ty mnie uwolniłeś z aresztu, a ja pomogę ci zdobyć pieniądze. Na wszelki wypadek musisz Rosemarie już teraz wtajemniczyć w

całą sprawę. Musisz ściągnąć posiłki ze wszystkich stron — to zdaje mi się — nazywa się strategia.

Heinz śmiał się:

— Jesteś wspaniałym druhem Hildo. Z tobą można o wszystkim porozmawiać — powiedział po chwili i spoważniał.

— Naturalnie; kto mnie poważnie traktuje do tego i ja podchodzę poważnie — mówiąc to Hilda zeskoczyła ze swojego żłobu.

— Muszę wracać do domu, inaczej nie zdążę na kolację, a nie chcę, aby mama się gniewała — rzekł Heinz.

— Tak, tak, masz rację. Odprowadzę cię do skrzyżowania.

Weszli do dworu — Heinz pożegnał się, mimo że zaproszono go, aby został na kolacji. Nie chciał również, aby go stangret odwiózł do Waldeck.

— Pójdę szybko na skróty przez las i będę w domu tak szybko, jakbym skorzystał z powozu — wyjaśnił.

Domownicy w Steinau pożegnali go bardzo serdecznie, a stary pan szepnął mu do ucha.

— Głowa do góry, kawalerze — wszystko będzie dobrze.

## Rozdział siódmy

Od rozmowy z Rosemarie Henner von Teklenburg był w dziwnym nastroju. Targały nim sprzeczne uczucia.

Raz był zdecydowany, że pójdzie do Jobsta von Steinau i zwierzy mu się. Innym razem z uporem wmawiał sobie, że lepiej wyemigrować do Ameryki, gdzie go nikt nie zna. Czasami żałował, że Kulitz przeszkodził mu w odebraniu sobie życia. Jednak nigdy już nie pomyślał o tym, aby tę próbę podjąć jeszcze raz.

Doszedł do wniosku, że jest tchórzostwem umierać od własnej ręki tylko dlatego, żeby uniknąć walki o byt.

Myślami wracał do rozmowy z Rosemarie. Jej spokojny, miękki głos, jej szczerłość i prostota działały na niego kojąco.

W rozterkach uspakajała go świadomość, że bez zastrzeżeń wierzyła w jego uczciwość, mimo że z pewnością słyszała o nim wiele złego. Nie chciał się przyznać sam przed sobą, że Rosemarie wywarła na nim głębokie, wrażenie i często myślał o tym, co mu powiedziała. Potem nadchodziły godziny kiedy się irytował, że do jej słów przywiązuje tak wielką wagę. Zaczynał wtedy kpić z „małej głupiutkiej dziewczynki”, która powtarza to, co przeczytała w jakimś romansie.

Jednak kiedy tak drwił z samego siebie, robiło mu się miło, jak gdyby wspominał kochanego dobrego przyjaciela.

Tej nocy bardzo źle spał i wstał wcześniej rano. Poszedł nad rzekę przez park, nad którym unosiła się lekka mgła.

Po kąpieli w rzece wrócił do domu. Powitał go zapach świeżo parzonej kawy. Zobaczył ładnie nakryty stół: obok masła i chleba były plasterki szynki i dwa świeże jajka ugotowane na miękko. Nie brakowało nawet śmietanki do kawy.

Po skończonym śniadaniu zawołał Kulitza i położył mu rękę na ramieniu.

— Wspaniały z was facet — istny czarodziej. Jeżeli mój los poprawi się wbrew moim oczekiwaniom, wtedy... — ale nie należy niczego obiecywać, skoro nie ma widoków na powodzenie — rzekł cicho.

— Jeżeli łaskawy pan jest zadowolony, to wszystko w porządku — odparł ordynans śmiejąc się.

Kiedy potem Kulitz pilnie pracował w ogrodzie, Henner nagle podszedł i zaczął mu pomagać. Zainteresował się tym co zrobił Kulitz i sam się sobie dziwił, że praca w ogrodzie sprawia mu taką przyjemność.

Okolo południa Henner wybrał się na konną przejażdżkę. Sam osiodłał konia — nie chciał odrywać Kulitza od pracy. Dzisiaj wybrał inną drogę i Rosemarie nadaremnie czekała na swojej lipie. Nie przejeżdżał obok parku.

Przejeżdżając nad tamą położoną pomiędzy Waldeck i Steinau nagle ujrzał Jobsta von Steinau na koniu. Odruchowo obaj zatrzymali wierzchowce, a potem stary pan szybko podjechał do Hennera jakby w obawie, że mu umknie.

Henner siedział nieruchomo na swoim koniu, którego stary pan złapał za uzdę wołając:

— A teraz niech pan próbuje uciec! Dzień dobry, drogi Hennerze!

— Dzień dobry, panie von Steinau. Nie mam zamiaru uciekać — może pan spokojnie puścić Sleipnera — odpowiedział nieco speszony młody mężczyzna.

— Wspaniale! Tym lepiej: dotychczas pan odjeżdżał widząc mnie z daleka, a pański koń jest szybszy od mojego. No, a pana ordynans po prostu wystawił mnie za drzwi, kiedy próbowałem się dostać do pańskiej lisiej nory.

— Lisia nora nie jest urządzona do przyjmowania gości, panie von Steinau. A Teklenburg w obecnym stanie nie jest więcej wart niż lisia nora.

— Hm! Tam gdzie pan mieszka z pewnością stary przyjaciel może spędzić godzinę. A zresztą mógł mnie pan odwiedzić w Steinau, aby mnie i mojej rodzinie powiedzieć „dzień dobry”.

Henner spochmurniał:

— Nie mogłem wiedzieć, czy zostanę tam przyjęty.

— A dlaczegoż by nie? Dawniej często bywał pan u nas.

— Tak, dawniej — ale wtedy wiele rzeczy wyglądało inaczej, panie von Steinau — rzekł Henner przygnębiony.

— Ach tak! Pan ma na myśli to, że pan trochę zbyt wesoło spędzał czas w ostatnich latach. Nie będę ukrywał — i do nas dotarło, iż nazywano pana „szalony Teklenburg”. Ale nawet najlepszym może się powinąć noga. Odnoszę jednak wrażenie, że pan się już opamiętał.

— Tak, panie von Steinau, ale jestem rozbitkiem — materialnie i psychicznie jestem zrujnowany i nie wiem, czy kiedykolwiek będę mógł mocno stanąć na nogach.

Jobst von Steinau patrzył na niego badawczo.

— Żeby tylko serce było zdrowe, drogi Hennerze. Chcę powiedzieć, honor — a ten przecież został nietknięty! Żaden człowiek rodu Teklenburgów nie zapomina, co jest winien sobie i swojemu nazwisku — rzekł z powagą stary pan.

— Straciłem wszystko z wyjątkiem honoru, panie von Steinau. Doszło do tego, że wstydzę się samego siebie, ale każdemu mogę spokojnie spojrzeć w oczy.

Stary pan uśmiechnął się:

— Wiedziałem, że tak jest. A teraz proszę mi podać rękę, drogi Hennerze — szaleństwa skończone i nie wrócą, czyż nie?

Henner uściśnął rękę starego pana:

— Panie von Steinau — szaleństwa mam za sobą. Gdybym nawet chciał, nie mógłbym już popełnić następnych, ponieważ jestem żebrakiem.

— No, no, jak na żebraka jest pan bardzo elegancki, a pański wierzchowiec jest trzy razy tyle wart, co mój koń — dobrodusznie powiedział Jobst von Steinau.

— Tak, to piękna reszta mojego majątku.

— Majątek Teklenburg nie był w najlepszym stanie kiedy go pan odziedziczył i gdyby pan był nawet bardzo oszczędny, nie mógłby pan wybrnąć z trudności finansowych. Chyba, że ożeniłby się pan bardzo bogato. Wiem, że dotykam bolesnego miejsca — proszę nie robić takiej ponurej miny, drogi Hennerze! Jestem człowiekiem niezręcznym.

Ale mój drogi chłopcze — dawniej mogłem pana tak nazywać jako syna mojego przyjaciela, a i teraz uzurpuję sobie to prawo — a więc drogi chłopcze, chciałem powiedzieć, że nie jest pan w gorszej sytuacji niż przed swoim okresem „burzy i naporu”. Pan mógłby utrzymać Teklenburg tylko przez zdobycie dużej sumy pieniędzy. Trochę pospieszył się pan z tym wszystkim — no, co się stało to się nie odstanie. Jak się dowiedziałem, żołnierzem też pan już nie jest.

— Nie, wystąpiłem z wojska — bez wsparcia finansowego nie mogę być oficerem.

— Oczywiście! A co teraz będzie? Czy pan już zastanowił się nad tym?

— Zastanawiałem się, ale nie doszedłem do żadnego rozsądnego wniosku. Kilka miesięcy — przy skromnych wymaganiach — mogę przeżyć w mojej lisiej norze. W tym czasie muszę wymyśleć, jak będę żył w przyszłości.

— Powinniśmy o tym spokojnie porozmawiać. Teraz muszę pojechać na pola — wypróbują nową żniwiarkę. Mój zięć już tam jest. Oczekuję, że pan przyjedzie do Steinau jutro! Proszę mi dać słowo, inaczej nie puszcę pana teraz.

Twarz Hennera drgnęła.

— Czy naprawdę mogę przyjechać?

— Co za niedorzeczne pytanie! Oczywiście, że pan może — będę czekał na pana — powiedzmy jutro około jedenastej przed południem. A moja Lena nie pozwoli, aby pan odjechał przed obiadem. Trochę się gniewa, że pan jeszcze nie przyjechał, aby się przywitać i podziwiać jej synka. Proszę się przygotować na wymówkę — ale Lena nigdy nie gniewa się długo.

— Spotkałem panią baronową przed kilkoma laty kiedy wracała z podróży poślubnej — poznałem wtedy pańskiego zięcia, barona Hallera.

— Tak, wiem, Lena mi opowiadała. A więc jutro — między jedenastą a dwunastą! Zgoda?

— Przyjdę, panie von Steinau i dziękuję, że pan pozwala mi bywać w swoim domu.

— Nonsens! Co znaczy „pozwala”. Na wsi człowiek cieszy się z odwiedzin każdego miłego gościa. A więc do zobaczenia!

— Do widzenia, panie von Steinau.

Podali sobie ręce i ruszyli w przeciwnych kierunkach.

Jobst von Steinau jechał na swoje pola, a Henner powoli skierował Sleipnera ku zamkowi Teklenburg. Od czasu do czasu wzdychał, jak gdyby zrzucił z siebie duży ciężar.

Następnego dnia, dokładnie o wpół do dwunastej, Henner przybył do Steinau. Przyszedł pieszo w eleganckim garniturze wizytowym — bardzo uważał, aby uniknąć kurzu na szosie, ponieważ chciał się dobrze zaprezentować przed paniami i uniknąć słów krytyki.

Pan von Steinau przyjął go w swoim gabinecie.

— Do stu piorunów! Drogi Hennerze, przychodzi pan w uroczystym stroju wizytowym! Powinienem być posłać po pana powóz. No, następnym razem proszę się nie krępować i przyjść w stroju jeździeckim, tak jak to dawniej bywało.

Mówiąc to mocno uściśnął jego rękę. Henner był nieco speszony.

— Nie odważyłem się pierwszy raz wtargnąć tak bezceremonialnie.

— W przyszłości odrzucimy wszelkie ceregiele i wrócimy do naszych starych, miłych przyzwyczajęń. Dla nas — mieszkańców wsi — jest pan w stroju jeździeckim również eleganckim zjawiskiem. A teraz proszę siadać — najpierw wypalimy fajkę pokoju i porozmawiamy rozsądnie. Lena i Hilda są zajęte kąpielą małego Hansa. Tym wydarzeniem zawsze żyje całe Steinau. Zazwyczaj mój zięć i ja też bierzemy w tym udział, ale dzisiaj musi się to odbyć bez nas. Zięć pojechał do miasta, wróci dopiero na obiad. Jesteśmy więc sami. Hilda przyjdzie powiedzieć, kiedy mały Hansi zaśnie i kiedy będziemy mogli porozmawiać z Leną.

Jobst von Steinau zapalił cygaro, a Henner wziął papierosa. Był nerwowy, twarz drgała mu z ukrywanego wzburzenia.

Tutaj w Steinau było tak spokojnie — wyczuwało się dobrobyt i atmosferę przytulności. Henner wiedział od dawna, że rodzina Jobsta von Steinau żyła w miłości i harmonii. Miał wrażenie, że otacza go czar wspaniałego życia rodzinnego.

— No, mój drogi Hennerze, przystąpmy bez ogródek do sedna sprawy. Muszę na samym początku zdradzić, że Rosemarie von Waldeck — do niedawna byłem jej opiekunem — powiedziała mi o spotkaniu z panem, prosząc o dyskrecję. Wyliczyła co pan posiada, a więc jestem dokładnie poinformowany o pańskiej aktualnej sytuacji.

Rosemarie błagała mnie, abym panu pomógł — powiedział z dobroduszną szczerością pan von Steinau. Henner wyprostował się:

— Panna von Waldeck mówiła panu o naszej rozmowie?

— Tak! Dlaczego nie miałyby tego zrobić?

— O, myślałem — prosiła, abym o tym nikomu nie wspominał.

— Słusznie — w Waldeck nie powinien pan o tym mówić. Pani von Ribnitz nie może się dowiedzieć o wycieczkach Rosemarie. Dziecko było tak wzburzone, jak jeszcze nigdy. Błagała mnie, abym panu pomógł. Najchętniej zrobiłaby to sama, ale obawiała się, że takiej pieniężnej pomocy pan nie zechce przyjąć od niej jako kobiety.

Jobst von Steinau bacznie obserwował Hennera i zauważył, że tamten zaczerwienił się.

— Panna von Waldeck jest bardzo łaskawa — nie wiem czym sobie na to zasłużyłem.

Stary pan wzruszył ramionami:

— Sympatią obdarza się kogoś niezależnie od jego zasług. Przecież pan to wie. Rosemarie jest tak dobra, że nie znosi widoku cierpiącego zwierzęcia — a co dopiero człowieka! No, przecież słyszała — muszę dotknąć starej rany — że pan na skutek zdrady ukochanej kobiety i najlepszego przyjaciela popadł w niedobry tryb życia. W jej kobiecym sercu natychmiast obudziło się współczucie. Moja Lena też martwiła się o pana. Nic dziwnego, przecież przed laty był pan omalże członkiem rodziny w Waldeck. A więc mówiąc krótko i zwięźle — chcę panu pomóc — nie tylko dlatego, że Rosemarie prosiła mnie o to, ale i dlatego, że czuję iż jest to moim obowiązkiem. Proszę, niech pan będzie zupełnie szczery — tak jak gdybym był pańskim ojcem. Henner przetarł czoło dłonią i odłożył papierosa:

— Panie von Steinau — okazuje mi pan tyle dobroci, że nie wiem jak panu dziękować. Tak jak mówiłem wczoraj, mogę przeżyć kilka miesięcy i to głównie dzięki zaradności i wierności mojego ordynansa. Niezmordowanie pracuje od rana do nocy, aby mi zapewnić znośny byt i gospodaruje resztkami mojej gotówki jak najdoskonalsza i najoszczędniejsza gospodyni. Jak on to robi, aby wyżywić siebie, mnie i na dodatek mojego konia — naprawdę nie wiem. Wiem tylko, że mam zapewnione kilka miesięcy spokojnego życia, aby coś przedsięwziąć. Panie von Steinau — byłem bliski strzelenia sobie w łeb, ale tego nie zrobiłem — mniejsza o to, dlaczego — nie chcę o tym mówić. Postanowiłem rozpocząć nowe życie i to bardzo pracowite. Chcę podjąć walkę o byt. Nie mam dużego wyboru: mógłbym wyemigrować do Ameryki, ale jakoś nie mam na to ochoty. Czuję się związany z rodzinną ziemią bardziej niż kiedykolwiek przypuszczałem. Mogę być tylko żołnierzem albo rolnikiem. Jako żołnierz jestem załatwiony! Pozostaje więc rolnictwo. Ale musiałbym się jeszcze wiele nauczyć. Gdybym mógł w jakimś majątku pracować jako praktykant, w niedługim czasie zdobyłbym potrzebną wiedzę. Może znalazłbym posadę rządcy, najchętniej w dużym majątku ze stadniną. Czy myśli pan, że dałbym radę?

Jobst von Steinau słuchał uważnie, a potem spojrzał na Hennera z ojcowską czułością:

— Cieszę się, mój chłopcze, że mówi pan tak rozsądnie. Wierzę, że i zdrowy mężczyzna z silną wolą wiele może zdziałać. A rolnictwo ma pan właściwie we krwi — od dziecka przecież przebywał pan w majątku i zamięłowanie do ziemi wyssał pan z mlekiem matki. Potrzebuje pan trochę praktyki, aby nabrać pewności siebie. A to nie trudno osiągnąć, jeżeli się ma dobre chęci. No, no, Hennerze — bardzo mnie cieszy, że ma pan tak poważne zamiary. Niejeden na pańskim miejscu najpierw zacząłby się rozglądać za bogatą żoną! Henner potrząsnął głową.

— A co mógłbym zaofiarować bogatej żonie jako równowartość jej majątku? Dawniej miałem przynajmniej jako tako utrzymany zamek. A teraz? Nie, nie! Poza tym, nie mógłbym się ożenić z kobietą, która by nie była mi przynajmniej bardzo sympatyczna. Nie ma wiele bogatych panien, które by mi się podobały, a one z pewnością nie czekają na to, aby oddać rękę zrujnowanemu szlachcicowi, który nie może ofiarować im nic poza walącym się zamkiem i zmarnowanym życiem.

No, no — zapomniał pan o człowieku, który jest zdrowy, silny, opamiętał się i ma zamiar rozpocząć nowe życie! Henner uśmiechnął się gorzko i zapytał ironicznie:



— Czy pan mając córkę na wydaniu zaakceptowałby mnie jako zięcia?

— Hm! To zależy — odparł stary pan gładząc brodę. Gdybym był tak bogaty, żeby sobie móc pozwolić na biednego zięcia i gdyby moja córka kochała pana i chciała za pana wyjść — nie sprzeciwiłbym się temu.

— Naprawdę nie? Mimo to, że pan wie jakie szalone życie prowadziłem przez ostatnie lata?

— Mimo to! Przecież pan ma tę chorobę za sobą i znowu pan myśli trzeźwo i poważnie. Najlepsze są wina po długiej fermentacji.

Henner zaśmiał się:

— Dobrze, że nie mogę pana trzymać za słowo, panie von Steinau.

— Nie złamałbym słowa. Jeżeli pan znajdzie odpowiednią żonę, z pewnością będzie pan dobrym mężem. Przyszła mi do głowy pewna myśl i ciągle mnie prześladowuje:

— Jak podoba się panu Rosemarie von Waldeck?

Henner speszył się. Pod badawczym spojrzeniem starego pana mocno poczerwieniał.

— Rosemarie von Waldeck? — zapytał wahając się.

— Tak! Czy ona wydaje się panu sympatyczna?

— Oczywiście! Kiedy była jeszcze dzieckiem bardzo ją lubiłem, a teraz kiedy ją zobaczyłem i rozmawiałem z nią sędzę, że stała się miłym i wartościowym człowiekiem.

Stary pan przytaknął głową:

— Tak, taka jest Rosemarie — ma czułe serce, jest dobra i skromna

— nie ma w niej nic z bogatej dziedziczki.

— Wydaje mi się, że nie jest szczęśliwa i nazwała siebie biedną pomimo bogactwa. Wspominała też, że jest chorowita, ale tego przecież po niej nie widać. Nie chciała o tym rozmawiać. Czy ona naprawdę jest chora?

Pan von Steinau wzruszył ramionami:

— Pani von Ribnitz wmawia sobie i temu dziecku, że musi bardzo dbać o jej zdrowie. Ta przesadna troska ciotki zatruwa Rosemarie całą młodość. Wszystko co w życiu młodej dziewczyny jest piękne, dla Rosemarie jest zakazane. Nikogo nie spotyka poza nami i żyje w Waldeck jak w klasztorze.

— Ale dlaczego? Panna von Waldeck wcale nie wygląda na osobę wymagającą szczególnej zdrowotnej opieki. Widziałem jak wiosłowała — robiła to tak, jak młodzi, zdrowi ludzie.

— Tak, tak ten sport uprawia w tajemnicy przed ciotką Hertą. Przed dwoma laty zawiozła ona Rosemarie do słynnego specjalisty do Berlina, który

stwierdził lekkie oznaki, że Rosemarie grozi dziedziczna choroba ze strony matki.

Henner patrzył na starego pana zdziwiony.

— O jakiej dziedzicznej chorobie pan mówj?

— Ach tak — pan przecież nie wie. A więc matka Rosemarie miała gruźlicę.

Henner wykrzyknął;

— To jest niemożliwe.

— Wszyscy tak twierdziliśmy, a ja stanowczo temu zaprzeczyłem. Ale pani von Ribnitz przekonała mnie. Matka Rosemarie była już chora kiedy wychodziła za mąż, ale to skrętnie ukrywała przed światem, tak twierdzi pani von Ribnitz. Tragiczny zgon matki Rosemarie uprzedził to, co i tak miało nastąpić — według słów ciotki Herty.

Henner kręcił głową z niedowierzaniem.

— Nie, nie, to niemożliwe. Pani von Waldeck i taka choroba? Nie mogę tego pojąć. Czy pan pamięta, panie von Steinau, ile witalności było w tej kobiecie, jak niestrudzenie uprawiała wszelkie sporty, jak tańczyła i jak wytrwale jeździła konno?

— Tak — wszystko to twierdziłem i powtarzałem do dnia, kiedy pani von Ribnitz pokazała mi orzeczenie lekarza, który leczył jej siostrę. Nasz wiejski lekarz, który badał Rosemarie twierdzi, że jest zdrowa, ale berliński profesor zalecił wielką ostrożność.

Henner nie mógł uwierzyć w to co słyszał:

— Przykro mi, panie von Steinau, ale nie wierzę — pomimo pańskiego zapewnienia — że pani von Waldeck była chora, tak jak nie wierzę, że Rosemarie jest chora.

— Rozumiem pana. Troska ciotki o zdrowie Rosemarie wydaje mi się mocno przesadzona. Dziewczyna powinna mieć więcej swobody — to dziecko nie zaznało radości dzieciństwa i młodości.

Henner nie wiedział co powiedzieć, ale obudził się w nim gniew.

— Rosemarie nie miała szczęśliwego dzieciństwa? — zapytał zamyślony.

— Nie. Ale zboczyliśmy z tematu. Młoda panna jest panu sympatyczna, drogi Hennerze, czyż nie? Jest bogatą dziedziczką — proszę, niech pan nie patrzy na mnie z takim zdziwieniem.

Henner zbladł ze zdenerwowania:

— Panie von Steinau — czy pan wie, że pańskie słowa mogą mieć dla mnie szczególne znaczenie?

— Tak mój chłopcze — chcę powiedzieć wyraźniej: kiedy mi pan mówił o swoich planach, pomyślałem: Waldeck potrzebowałby takiego rządcy, jak

Henner. Pani von Ribnitz starzeje się; niedługo nie da sobie rady i będzie tęskniła za odpoczynkiem. A poza tym — sędzę, że byłoby dobrze, gdyby Rosemarie wyszła za mąż.

— A dlaczego pani von Ribnitz nie życzy sobie tego? — zapytał Henner wzburzony.

— Ponieważ obawia się, że to przyspieszyłoby śmierć siostrzenicy.

W duszy Hennera znowu pojawiła się niechęć do pani von Ribnitz, która zaczęła przeradzać się w podejrzliwość. Henner wiedział, że Rosemarie nie ma krewnych poza ciotką Hertą i jej synem. A więc, jeżeli siostrzenica nie wyjdzie za mąż i nie zostawi potomków to...

Nie dokończył myśli. Przypomniawszy sobie jednak, co zauważył przed śmiercią Ernsta von Waldeck: Herta von Ribnitz usilnie starała się zostać następczynią swojej siostry. Niechcący był świadkiem sceny, która potwierdziła jego przypuszczenia. Wtedy nie przywiązywał do tego większej wagi, ale scena została mu w pamięci i już wtedy zaczął powątpiewać w bezinteresowność Herty von Ribnitz.

— Tak, tak — mówił dalej Jobst von Steinau — dlatego trzyma Rosemarie w zamku i nie pozwala jej z nikim zawierać znajomości, aby nie zakłócić spokoju serca młodej dziewczynie. Tak bardzo jest przejęta swoją rolą, że chce zmusić swojego syna, aby studiował agronomię, chociaż chłopak chce zostać oficerem. A to tylko dlatego, żeby w przyszłości zastąpił matkę i rządził majątkiem Waldeck.

— Może myśli o tym, że pewnego dnia jej syn stanie się właścicielem majątku Waldeck, gdyby Rosemarie nie miała dzieci.

— Może. Ale powiedziała mi, że chciałaby, aby Rosemarie miała przy sobie kogoś wiernego, kto jej nigdy nie opuści.

— Ale ona zmusza syna do zawodu, którego chłopak nienawidzi i to tylko po to, żeby kiedyś rządził majątkiem swojej kuzynki. Przecież to niesprawiedliwe wobec własnego dziecka.

— Tak, poza tym to nonsens — dodał pan von Steinau — bo nie jest wcale powiedziane, że Rosemarie nie wyjdzie za mąż. Wtedy jej mąż zająłby się majątkiem, a Heinz byłby zbyteczny. Dla niego byłoby najlepiej, gdyby Rosemarie wyszła za mąż. Wtedy matka nie sprzeciwiałaby się, żeby został oficerem, a Rosemarie dałaby mu odpowiednią sumę, zwłaszcza że pani von Ribnitz tak bezinteresownie i doskonale zarządzała majątkiem przez te wszystkie lata. A więc, drogi Hennerze, wracając do sedna sprawy pytam pana, czy nie miałby pan ochoty starać się o rękę Rosemarie?

Henner zaczerpnął głęboko powietrza i przetarł ręką czoło.

— Dlaczego mnie pan o to pyta? Czy sądzi pan, że jestem godny, aby zostać mężem panny Rosemarie von Waldeck? — zapytał wahając się.

— Gdybym uważał, że pan nie jest godny, nie zadałbym panu takiego pytania, drogi chłopcze. A sądzę, że mówię tak, jak sobie tego życzył mój przyjaciel Ernst von Waldeck. Nie mogę przewidzieć jak się sprawy ułożą. Może to wszystko stałoby się i bez mojego współudziału. Postąpiłem najlepiej jak umiałem, jeżeli nawet założymy, że zamążpójście skróci o kilka lat życie Rosemarie, to przynajmniej dziewczyna nacieszy się życiem i nie będzie w odosobnieniu wegetować w Waldeck. Hennerze proszę nie zwlekać i jak najszybciej poprosić ją o rękę! Nie sądzę, żeby pan dostał kosza. A gdyby wbrew oczekiwaniu nic nie wyszło z tych planów, wtedy porozmawiamy o pańskiej przyszłości — na pewno pomogę panu w inny sposób stanąć na nogi.

— Nie musi mi pan dać odpowiedzi dzisiaj. Proszę się spokojnie zastanowić nad tym, co panu powiedziałem. W każdym razie jutro koło jedenastej przyjadę po pana — pojedziemy razem do Waldeck. Wprowadzę tam pana i wtedy pani von Ribnitz nie będzie mogła nic zrobić — będzie musiała pana przyjąć i poprosić, aby pan bywał w Waldeck. Reszta będzie należała do pana. A więc — jutro koło jedenastej. Proszę nie zapomnieć o wizytowym garniturze — w Waldeck nie można inaczej.

Z ulgą odetchnął po zakończeniu długiego wywodu i z oczekiwaniem w oczach patrzył na Hennera, który podał mu rękę:

— Bez względu na to co postanowię i jak się zachowa Rosemarie von Waldeck, serdecznie dziękuję za okazane zaufanie, chociaż niczego nie zrobiłem, aby na nie zasłużyć.

Panowie rozmawiali jeszcze długo — nie widzieli się kilka lat. Nagle weszła Hilda, dygnęła przed Hennerem i śmiejąc się rzekła do ojca:

— Papo, proszę przyjdź do nas — my też chcielibyśmy się nacieszyć panem von Teklenburg. Hansi już zasnęła.

— Dobrze, Hildo, zaraz przyjdziemy. Ale podaj rękę panu Hennerowi, przecież znacie się od dawna.

Wszyscy troje poszli do salonu, gdzie pani Lena powitała ich i zaprosiła do stołu.

Hennera opanowało dziwne uczucie. Serdeczna atmosfera jaka panowała między domownikami Steinau — a nawet podlotek ze swoimi żartami — przypominały mu rodzinny dom. Poczul w sercu ból na myśl, że nie ma nikogo bliskiego. Owładnęła nim tęsknota za ludźmi, którzy mogliby należeć do niego. Nigdy jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, że w minionych latach był zupełnie osamotniony.

Po obiedzie przyniesiono wyspanego małego Hansi, który zaraz wdrapał się na kolana Hennera i zawarł z nim przyjaźń, kiedy ten pozwolił mu udawać jazdę na koniu. Kiedy Henner przytulił do siebie jasną główkę malca, zrobiło mu się dziwnie — rozczulił się i nie wiedział, kiedy łzy napłynęły mu do oczu.

Lena zauważyła jego wewnętrzne wzburzenie. Zabrała delikatnie dziecko i oddała je niani.

Niedługo potem Henner pożegnał się. Podziękował za powóz, który dano mu do dyspozycji. Pieszko tak jak przyszedł wracał do domu.

## Rozdział ósmy

Tego dnia po południu do Steinau przyjechała pani von Ribnitz z Rosemarie i Heinzem. Po herbacie pani von Ribnitz i baron Haller poszli do zabudowań gospodarskich obejrzeć nową żniwiarkę. Ledwo opuścili pokój, poproszono panią Lenę. Rosemarie i Jobst von Steinau zostali sami.

Stary pan nachylił się i zapytał z uśmiechem:

— Rosemarie, czy wiesz kto był dzisiaj naszym gościem przy obiedzie?

— Henner von Teklenburg? — zapytała bez tchu i spłoszowała.

— Tak, spotkałem go wczoraj i wymusiłem na nim obietnicę, że przyjdzie dzisiaj do Steinau.

— No i co? Rozmawiałeś z nim o jego sytuacji i czy zaproponowałeś mu pomoc?

— Oczywiście, że tak zrobiłem. Omówiliśmy różne sprawy. A najbardziej cieszy mnie to, że te jego szaleństwa, tam w świecie, wcale nie zepsuły jego serca. Jest tak jak oboje myśleliśmy — był chwilowo oszołomiony. Teraz chce zacząć życie od nowa i w uczciwej pracy szukać zapomnienia.

Rosemarie odetchnęła, rozpromieniła się i zawołała:

— Wujaszku! Jak mnie to cieszy!

— Mnie też. Teraz jest mu tylko potrzebna dobra, mądra żona, aby pomóc mu na nowo pokochać życie, które niedawno chciał porzucić — dyplomatycznie rzekł stary pan.

Rosemarie drgnęła i zbladła. Mimo woli przyłożyła rękę do serca — czuła tam silny ból, nie tylko dlatego, że Henner chciał sobie odebrać życie. Uświadomiła sobie, że jest poza nawiasem wszystkiego, co czyni życie wartościowym.

— Henner powinien mieć bogatą żonę, która mogłaby mu pomóc — odezwała się po chwili.

— Tak, Rosemarie, nie może się ożenić z biedną kobietą. Rozmawiałem o tym z Hennerem. Powiedział, że nie mógłby się ożenić z bogatą kobietą wyłącznie z powodu majątku — musiałyby być sympatyczna i musiałby ją lubić.

— Coś podobnego powiedział dawno temu mojemu ojcu.

— I ty to jeszcze pamiętasz?

— Tak, zapamiętałam to sobie.

— Hm! Wspomniałem, że powiedziałaś mi o naszym spotkaniu. Rosemarie z napięciem w oczach patrzyła na starego pana:

— Czy on mówił coś o mnie?

Jobst von Steinau zrobił zamyśloną minę:

— Hm! Niech no sobie przypomnę — co to on powiedział? Aha, już sobie przypomniałem. Powiedział, że bardzo cię lubił, kiedy byłaś jeszcze małą dziewczynką, a teraz jesteś bardzo wartościowym człowiekiem i poważnie patrzysz na świat, ale nie wyglądasz na szczęśliwą. Rozmawialiśmy też o twojej matce. Nie wierzy w to, że twoja matka była chora — zawsze była wesoła i pełna sił.

— Och, wujku, ja też czuję się silna, ale ciotka Herta na nic mi nie pozwala. To zmuszanie mnie do oszczędzania się staje się coraz bardziej nieznośne.

— Rosemarie, spróbuj się zbuntować! Potrząsnęła głową:

— Próbowałam, ale w końcu zawsze brak mi odwagi.

Przez chwilę stary pan patrzył na nią badawczo, a potem rzekł poważnie i z naciskiem.

— Musiałabyś wyjść za mąż — wtedy wszystko by się zmieniło. Rosemarie oblała się rumieńcem i opuściwszy głowę — odparła z rezygnacją.

— Przecież mnie nie wolno wyjść za mąż, wujku Steinau. Ciotka Herta powiedziała, że młodo umrę, jeżeli wyjdę za mąż.

Starszy pan patrzył przestraszony i wyjąkał z niedowierzaniem:

— To powiedziała ci ciotka Herta?

Rosemarie milcząc skinęła głową.

Pan von Steinau nie wiedział co zrobić z oburzenia. Jak mogła pani von Ribnitz powiedzieć tej młodej dziewczynie coś podobnego! To było nawet dla dobrodusznego i życzliwego pana za wiele! Wziął Rosemarie za rękę i czule uściskał.

— Twoja ciotka Herta jest — no wiesz muszę się tak wyrazić — nie bardzo mądra. Ze strachu o twoje zdrowie wpędzi ciebie i siebie w obłęd. Nie wierz w takie głupstwa!

— Ale przecież berliński profesor powiedział to samo ciotce Hercie t— westchnęła.

— A ja ci mówię, że to wszystko są bzdury. Albo ciotka źle zrozumiała profesora, albo profesor nie wyraził się dostatecznie jasno. Zapytaj naszego starego wiejskiego lekarza — on nie jest partaczem, chociaż nie jest wielkim profesorem ze znanym nazwiskiem. Twierdzi, że możesz spokojnie wyjść za mąż. Bóg mi świadkiem, że zacznę walczyć z czarnowidztwem ciotki Herty i nawoływać do buntu. Wiesz co, nie słuchaj poleceń ciotki i rób wszystko na co masz ochotę — ręczę ci, że niedługo będziemy tańczyć na twoim weselu.

Na twarzy Rosemarie pojawił się uśmiech:

— Kochany wujaszku, już dawno nie czułam się tak pełna nadziei. Sama myśl, że pewnego dnia będę mogła zrzucić z siebie ten wieczny przymus, cieszy mnie. Ale mówimy o mnie, a zapomnieliśmy o Hennerze. Czy rozmawiałeś z nim o tym, jakby mu pomóc?

— Tak, rozmawialiśmy o różnych sprawach. Chce zostać rolnikiem i objąć posadę rządcy.

— Och, czyż nie można by mu pomóc w inny sposób?

— To należy spokojnie rozważyć. Na razie zostaje w Teklenburgu. Nie spuszczę z niego oka. Żeby nie zapomniał — jutro przed południem przywiozę go do Waldeck. Tylko nic nie mów ciotce Hercie. Gotowa byłaby nas nie przyjąć. Będziemy około dwunastej. A teraz cicho, sza! Nadchodzą!

Szybko skierował rozmowę na zupełnie obojętny temat. Kiedy weszli pani von Ribnitz i baron i wciągnęli starego pana do dyskusji nad zaletami nowej żniwiarki, Rosemarie cicho wyszła z pokoju. Chciała być sama — jej sece było ciężkie i waliło tak głośno i mocno, jak gdyby domagało się swoich praw.

Następnego dnia Jobst von Steinau przyjechał, aby zabrać Hennera do Waldeck. Henner już czekał i kiedy właśnie chciał wsiąść do powozu, stary pan wysiadł mówiąc wesoło:

— Nie tak szybko, mój drogi chłopcze, przyjechałem kwadrans wcześniej, ponieważ chcę zobaczyć pańską „lisią norę”.

— Będzie pan bardzo rozczarowany, panie von Steinau. Ale skoro pan sobie tego życzy, cieszę się, że chce pan wejść.

Kulitz, opasany fartuchem stał na baczność przy drzwiach.

— Ach, jest i pański cerber, który chciał mnie wyrzucić za drzwi, kiedy niedawno tutaj byłem — rzekł śmiejąc się stary pan.

Ordynans miał kamienną twarz i patrzył tylko na swojego pana.

— Kulitz jest moim wiernym, oddanym służącym, panie von Steinau i bardzo go cenię.

— Przynosi to zaszczyt panu i służącemu. A więc Kulitz zaprowadzi mnie do mieszkania swojego pana. Dzisiaj wyraża na to zgodę — zażartował Steinau dobrodusznie się uśmiechając.

Kulitz postąpił jak mu polecono. Otwierał kolejno drzwi do każdego pokoju i dumnie wyjaśniał:

— Pokój jadalny! Pokój sypialny! Gabinet do pracy! Henner śmiał się i rzekł:

— Kulitz ma powód do dumy — urządził te pokoje właściwie z niczego. A teraz, Kulitz, pokażcie panu von Steinau jeszcze waszaj wspaniałą kuchnię, no i stajnię mojego wierzchowca!



Po obejrzeniu tych pomieszczeń stary pan spojrzał na Hennera] wzruszony.

— Pan jest bardzo skromny w swoich wymaganiach, drogi chłopcze.

Na twarzy Hennera pojawił się dziwny uśmiech:

— Potrzeba staje się cnotą, panie von Steinau.

— Tak, tak. Ale ten wspaniały stary zamek nie może zamienić się w ruinę. Trzeba szybko coś zrobić. Kiedy będę miał trochę więcej czasu, musimy obejrzeć cały budynek. Czy może ma pan jeszcze plany sporządzone wtedy, kiedy zamek miał być restaurowany?

— Tak, mam je, ale chwilowo nie wiem gdzie one są.

— Proszę o wybaczenie, łaskawy panie — są w tej starej skrzyni, która stoi w gabinecie — odezwał się Kulitz.

Henner skinął głową:

— Kulitz, wy orientujecie się we wszystkim lepiej ode mnie.

— Proszę te plany wyjąć — musimy je kiedyś razem obejrzeć. A teraz czas, abyśmy ruszyli w drogę do Waldeck.

Wsiedli do powozu i odjechali.

— Niech pan posłucha, Hennerze — odezwał się stary pan — co za czarnowidztwo uprawia pani von Ribnitz. Jest taka głupia, że powiedziała Rosemarie, że będzie musiała młodo umrzeć, jeżeli wyjdzie za mąż! Co za potworna bzdura! Jestem wściekły i przy pierwszej okazji powiem jej co o tym myślę.

Henner słuchał uważnie, a jego podejrzenia wobec pani Ribnitz pogłębiły się. Ta pozorną głupota tak mądrej kobiety wyraźnie wskazywała na pewien z góry ułożony plan.

— Skoro pani von Ribnitz już powiedziała tę przygnębiającą bzdurę — nic nie można zmienić. Tutaj nie pomogą żadne wymówki. Sądzę, że jest bardziej wskazane wpłynąć na młodą damą, aby nie przywiązywała wagi do słów ciotki. Trzeba jej dodać otuchy i starać się pomniejszyć znaczenie tych niewybaczalnych słów, i to wszelkimi możliwymi środkami.

— Ma pan rację! Wczoraj już zacząłem działać. Moim głównym zadaniem będzie przeciwdziałać wpływowi ciotki Herty. Zbyt długo biernie się przyglądałem i pozwalałem, aby rzeczy toczyły się tak, jak pani von Ribnitz sobie życzyła. Pan musi mi pomóc, Hennerze. Wiele obiecuję sobie po pańskich wizytach w Waldeck. Nawiasem mówiąc — Rosemarie wie, że przyjedziemy i bardzo się cieszy.

Powóz zatrzymał się przed bramą parkową, która była zawsze zamknięta przed nieproszonymi gośćmi. Stróż natychmiast poznał, konie pana von Steinau i pospiesznie otworzył bramę z kutego żelaza. Pod kołami skrzypiał

źwir, którym była wysypana aleja prowadząca do zamku. Kiedy powóz zatrzymał się, wybiegł lokaj i otworzył drzwiczki — wiedział, że pana von Steinau zawsze przyjmowano.

— Czy państwo są w domu? — zapytał stary pan. — Tak? Proszę powiedzieć łaskawej pani i łaskawej panience, że przyjechałem i przywiozłem ze sobą starego przyjaciela.

Herta von Ribnitz siedziała z Rosemarie i Heinzem w salonie.

Kiedy lokaj zameldował kto przyjechał, nie zwróciła uwagi na słowa „stary przyjaciel”. Gdyby miała pojęcie, że ten „stary przyjaciel” był młodym mężczyzną, a na dodatek Hennerem von Teklenburg, z pewnością nie odpowiedziałyby: „proszę panów poprosić do salonu”.

Rosemarie zarumieniała się. Słyszała jak zajechał powóz, na który czekała w dużym napięciu. W uszach jej szumiało i kurczowo trzymała się poręczy fotela, jak gdyby się bała, że zemdleje.

Panowie weszli. Aby ukryć pewne zakłopotanie, pan Jobst von Steinau z trochę przesadną uprzejmością przedstawił Hennera. Pani von Ribnitz patrzyła na niego groźnie mocno zaciskając usta. Stary pan i Henner zauważyli, że młody człowiek nie był mile widzianym gościem. Pani Herta nie zadawała sobie trudu, aby ukryć, że jego wizyta jest jej wręcz nieprzyjemna.

W innych okolicznościach to wystarczyłoby, aby Henner nigdy więcej nie przestąpił progu Waldeck. Ale po tym co słyszał od starego pana, zachowanie pani von Ribnitz umocniło w nim postanowienie, żeby jej się sprzeciwić.

Uklonił się uprzejmie i rzekł:

— Łaskawa pani, mam nadzieję, że moja wizyta nie jest pani niemiła. Nie wątpię w pani dobroć i mam nadzieję, że pozwoli mi pani częściej bywać w Waldeck, z którym łączy mnie tyle wspomnień.

Pani Herta podała mu koniuszki palców, które ucałował. Nie zwracając uwagi na jego słowa, chłodno powiedziała:

— Długo pana tutaj nie było i stał się pan dla nas obcym, panie von Teklenburg.

Henner zignorował jej uwagę i szybko podszedł do Rosemarie.

— Łaskawa pani, mam nadzieję, że dla pani nie stałem się obcym człowiekiem. Może pani przypomina sobie te dni, kiedy często bywałem w Waldeck?

Rosemarie trochę nieśmiało spojrzała na jego elegancką sylwetkę, ale impulsywnie podała mu rękę. Czuł, że lekko drżała. Mocno ją uściśnął.

— O, nie, panie von Teklenburg — pan nie jest mi obcy i nigdy nie będzie. Mój ojciec bardzo pana kochał. Cieszę się szczerze, że mogę pana znowu powitać w Waldeck.

Pani von Ribnitz rzuciła Rosemarie groźne spojrzenie, które mówiło: nie bądź zbyt uprzejma wobec tego podupadłego barona.

Ale Rosemarie zignorowała to spojrzenie, chociaż zrozumiała co ono oznaczało i odważnie mówiła dalej:

— Pan sobie z pewnością przypomina mojego kuzyna Heinza

— on pana nie zapomniał. Oboje dawniej podziwialiśmy pański wspaniały mundur.

Uśmiechając się, Henner zwrócił się do młodzieńca, który szczerze patrzył mu w oczy. Podał mu rękę mówiąc:

— Szkoda, że nie mogę już panu imponować jako oficer...

— Nie? Pan naprawdę nie jest już oficerem?

— Nie, panie von Ribnitz — już od dłuższego czasu.

— O, jaka szkoda!

— Proszę mnie nie karać za to, że stoję przed panem jako cywil

— zażartował Henner, ale jego oczy skierowane były na Rosemarie, która patrzyła na niego z nieukrywaną sympatią.

Herta von Ribnitz była poirytowana, że Rosemarie tak serdecznie rozmawia z Hennerem. Pokierowała rozmową tak, że Henner i Rosemarie nie mogli już zamienić słowa. Była zaniepokojona, a w jej oczach i na twarzy widoczna była niechęć.

Po upływie pół godziny panowie zaczęli się żegnać. Rosemarie z niepokojem czekała, aż ciotka zaprosi pana von Teklenburg, aby znowu przyjechał. To się jednak nie stało.

Wtedy Rosemarie zebrła całą swoją odwagę i pewnym głosem, starając się okazać spokój, rzekła:

— Pan będzie nas teraz często odwiedzał, czyż nie? — Rzadko miewamy gości, a dużych przyjęć w Waldeck się nie urządza, więc tym bardziej są mile odwiedziny dobrych przyjaciół, których mamy niewielu. Około piątej zawsze jesteśmy w domu — wtedy często bywają u nas państwo Steinau, a w poniedziałki i czwartki zawsze przyjeżdżają. Będziemy się cieszyć, jeżeli pan powiększy nasze grono. Ale naturalnie, będzie pan mile widziany o każdej innej porze — czyż nie ciociu Herto?

Pani von Ribnitz z niedowierzaniem, rozzłoszczona patrzyła na siostrzenicę. Z trudem panowała nad sobą i w końcu odezwała się chłodno:

— Oczywiście, jeżeli nie będzie się pan nudził w Waldeck, panie vor Teklenburg. Przecież pan jest przyzwyczajony do rozrywek zupełnie innego rodzaju.

Ostatnie zdanie miało do żywego dotknąć Hennera i było wypowiedziane z naciskiem. Henner zauważył to i wyczuł zamiar pani von Ribnitz ale postanowił, że nie da się niczym odstraszyć przed powtórными wizytami w Waldeck.

— Pozwolę sobie skorzystać z zaproszenia i bardzo za nie dziękuję! Żyję samotnie i jestem wdzięczny za każdą zmianę.

— O, jak widzę stał się pan bardzo skromny! — zadrwiła pani Herta. Chociaż pani Ribnitzomalże nie zastąpiła mu drogi, podszedł do

Rosemarie, wziął ją za rękę i patrząc jej w oczy powiedział ze szczególnym naciskiem:

— Łaskawa pani — serdecznie pani dziękuję!

Uśmiechnęła się speszona. Nie był to już smutny uśmiech, który niedawno widział na jej twarzy — ten wyrażał lekką nadzieję. Wzruszył się i w drodze powrotnej do domu stale o tym myślał.

Jechali i milczeli. W końcu odezwał się stary pan:

— No, co pan powie na sukces naszego niespodziewanego natarcia, Hennerze?

— Gdybym zwracał uwagę na życzenie pani von Ribnitz, byłbym dzisiaj po raz pierwszy i zarazem ostatni w Waldeck.

— Do diabła! Chyba pan nie pozwoli, aby pana zmusiła do ucieczki?

— Nie! Mimo, że pani von Ribnitz bardzo wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie będę mile widzianym gościem, jednak przyjmę szczere, serdeczne zaproszenie Rosemarie von Waldeck. Ponieważ jest wyłączną panią na zamku Waldeck, dla mnie jest miarodajne jej życzenie.

— Wspaniale! Tak należy postąpić! Cieszę się z powodu dziecka. Rosemarie była dzisiaj już zupełnie innym człowiekiem. Dotychczas zawsze siedziała, nic nie mówiła i była apatyczna. Dzisiaj była ożywiona i nawet przejęła inicjatywę w rozmowie. Mam nadzieję, że z czasem nabierze pewności siebie i będzie umiała postępować według własnej woli. A my dwaj będziemy jej w tym pomagali, nawet jeżeli to trochę popsuje humor pani von Ribnitz. Czyż nie, mój chłopcze?

— Tak! Z całą pewnością pomożemy! — energicznie rzekł Henner. Zastanawiał się, czy dobrodusznemu panu von Steinau nie zwierzyć się ze swoich podejrzeń, ale wolał na razie milczeć. Stary pan chwilowo nic nie mógłby zmienić.

— A co z pańskim postanowieniem, Hennerze? Czy będzie pan prosił Rosemarie o rękę? — zapytał pan von Steinau.

Henner spojrzał na niego poważnie i rzekł stanowczo:

— Tak, panie von Steinau, chcę spróbować zdobyć przychylność panny von Waldeck. Bóg mi świadkiem, że nie zrobię tego z czysto egoistycznych względów. Pragnę wydobyć Rosemarie von Waldeck z cienia i wprowadzić w słoneczne życie.

— A więc życzę szczęścia, drogi Hennerze. Wiem, że dla tego kochanego dziecka będzie pan wiernym towarzyszem i że zrobi pan wszystko, aby odzyskała radość życia.

— Będę się starał ze wszystkich sił. Jeżeli Rosemarie zechce zostać moją żoną, jej szczęście i spokój staną się celem mojego życia. Jestem to dłużny pamięci jej ojca.

Milcząc jechali ku Steinau.

## Rozdział dziewiąty

Kiedy panowie opuścili Waldeck, pani von Ribnitz zwróciła się do Rosemarie poirytowana:

— Nie rozumiem cię, dziecko, jak mogłaś zaprosić pana von Teklenburg, aby nas odwiedzał?

Rosemarie usiadła i usiłowała wyglądać na spokojną. Udało jej się to bez większego trudu i odpowiedziała obojętnie:

— Ponieważ ty ciociu tego nie zrobiłaś, ja musiałam tak postąpić.

— Celowo tego zaniechałam — czy tego nie pojęłaś?

— Nie — odparła młoda dama wahając się, ponieważ nie odpowiadało to prawdzie i doskonale rozumiała zachowanie ciotki — ale pan von Teklenburg jest starym przyjacielem naszego domu i miał prawo oczekiwać takiego zaproszenia.

Pani von Ribnitz zmarszczyła czoło i zrobiła ręką zniecierpliwony gest:

— To prawo lekkomyślnie utracił, moje drogie dziecko. Nie zdajesz sobie w swojej niewinności sprawy z tego, jakie życie prowadził pan von Teklenburg. On nie jest odpowiednim towarzystwem dla nas. Powinnaś była mnie zostawić decyzję, czy go zaprosić czy nie. Nie rozumiem pana von Steinau, jak mógł go przyprowadzić do naszego domu?

Jeżeli Herta von Ribnitz myślała, że Rosemarie teraz — tak jak zwykle bywało — ugnie się jej woli, myliła się. Młoda dama wyprostowała się i stanowczym głosem odpowiedziała:

— Właśnie to, że przyprowadził go wujek Steinau jest gwarancją dla pana von Teklenburg. Dowodzi to, że nie zrobił niczego, co czyniłoby go niegodnym naszego towarzystwa. W przeciwnym razie wujek Steinau nie przyjąłby go w swoim domu, ani nie przywiózł do Waldeck.

Sprzeciw siostrzenicy jeszcze bardziej zirytował Hertę von Ribnitz. Pogardliwie machnęła ręką:

— Drogie dziecko — nie ujmując niczego wujowi Steinau — on jest beztroski jak dziecko i nie zna się na ludziach. Dał się omamić i przyjął tego młodego człowieka nie zastanawiając się, że nie należy go przyprowadzać do młodych dam. Z takimi podupadłymi ludźmi w ogóle nie należy utrzymywać stosunków towarzyskich! Mężczyźni między sobą nie są tak wrażliwi, ale damy muszą unikać towarzystwa takich wątpliwych elementów.

Rosemarie zerwała się z krzesła:

— Mylisz się, ciociu Herto! Pan von Teklenburg jest wprawdzie biedny i prowadził rozrzutny tryb życia, ale na jego honorze nie ma najmniejszej plamy — ręczę za niego. Jest nieszczęśliwy ale nie jest złym człowiekiem.

Pani von Ribnitz przestraszyła się — nigdy jeszcze nie widziała Rosemarie tak wzburzonej. Zachowanie siostrzenicy zdradzało, że żywo interesuje się Hennerem von Teklenburg. Poczowała, że jej plan jest zagrożony. Zmuszając się do spokoju objęła Rosemarie i rzekła czule:

— Moje biedne, kochane dziecko, tak bardzo się zdenerwowałaś. Uspokój się — to ci szkodzi. Każda wizyta burzy twój spokój i szkodzi twojemu zdrowiu. Już samo to jest dostatecznym powodem, abym sobie nie życzyła dalszych wizyt pana von Teklenburg. Co mamy począć z człowiekiem, który prowadził takie hulaszcze życie i zatracił poczucie tego, co wypada a co nie wypada? W przeciwnym razie powinien był zrozumieć, że nie jest pożądanym gościem w Waldeck i nie jest odpowiednim towarzystwem dla samotnych dam. Heinz jest jeszcze zbyt młody, aby nas chronić.

Widzisz, że drzę ze strachu o ciebie, moje dziecko. Masz rozpalone policzki, a po twoich oczach widzę, że masz gorączkę. Nie, nie zgodzę się, żeby ten człowiek jeszcze kiedykolwiek zjawił się w Waldeck. Poproszę pana von Steinau, aby go zawiadomił, że nie życzymy sobie jego wizyt.

Również tym razem słowa pani Herty nie odniosły zamierzonego skutku. Rosemarie nie popadła — jak zwykle w apatię, lecz energicznie uwolniła się z objęć ciotki i zdecydowanie krzyknęła:

— Nie zrobisz tego, ciociu Herto! Nie zniosę, abyś tak upokorzyła pana von Teklenburg. Nie byłoby to zgodne z życzeniem mojego ojca, gdyby tak ubliżono panu von Teklenburg.

Herta von Ribnitz zbladła. Wiedziała, że nie może przeciągać struny, ale uważać i postępować z siostrzenicą dyplomatycznie.

— Moje kochane dziecko — twój ojciec podzieliliby moje zdanie, gdyby wiedział, jak pan Teklenburg się zmienił. Jesteś za młoda i zbyt niedoświadczona aby to zrozumieć. Na miłość boską, przecież ja nie chcę cię denerwować. Nie sprzeciwiam się, jeżeli koniecznie chcesz, aby przyjeżdżał do Waldeck. Ale muszę cię bardzo pilnować, żeby cię uchronić przed niebezpieczeństwem.

Rosemarie przetarła ręką czoło i zapytała:

— A w jaki sposób Henner von Teklenburg mógłby być dla mnie niebezpieczny, ciociu Herto?

— Moje dziecko! Widzę, że będzie lepiej, jeżeli otworzę ci oczy. Będziesz przynajmniej wiedziała co ci grozi i będziesz się pilnować. Wiem, co

sprowadza pana von Teklenburg do zamku Waldeck. Wie, że jesteś bardzo bogata i chce zdobyć twój majątek, aby móc dalej prowadzić hulaszcze życie. Z jego beznadziejnej sytuacji może go wyratować tylko bogata żona — to jest jasne. Musiałabym się bardzo mylić, jeżeli on nie przyjechał z zamiarem, aby złowić złotą rybkę. Na tobie wcale mu nie zależy — pragnie wyłącznie twojego majątku. Ale się rozczaruje — czyż nie, moja kochana? Dam mu do zrozumienia, że niczego nie złowi w zarzucone sieci. Nie pozwolę, abyś padła ofiarą łowcy posagu, który bez skrupułów chce się zakraść do Waldeck.

Na twarzy Rosemarie pojawił się wyraz bólu i rezygnacji:

— Ciociu, zapomniałaś chyba, że nie wolno mi wyjść za mąż — powiedziała zmęczonym głosem.

Pani von Ribnitz miała uczucie, że powiedziała za dużo — ale szybko się opanowała:

— Nie, Rosemarie, nie zapomniałam, ale pan von Teklenburg przecież nic o tym nie wie.

— No, więc powiedz mu! Możesz być spokojna, że on nie myśli o tym, aby się ubiegać o moją rękę. A jeżeli nawet pomyślałby o tym, to szybko zrezygnuje, kiedy się dowie, że po matce odziedziczyłam ciężką chorobę — odpowiedziała Rosemarie.

Pani von Ribnitz nachyliła się do Rosemarie i powiedziała twardym głosem, z dziwnym blaskiem w oczach:

— A może go właśnie to pociąga? Nie masz pojęcia, jacy źli są ludzie! Może właśnie marzy o tym, żeby szybko zostać wdowcem i przejąć twój majątek?

Rosemarie zapytała z wyrazem bólu na twarzy:

— Dlaczego tak źle myślisz o człowieku, który nie zrobił ci nic złego?

— Och, dziecko — w mojej trosce o ciebie wszędzie widzę niebezpieczeństwo. Ale nie muszę się martwić o ciebie — czyż nie? Nie zapomnisz przecież, jaki los cię czeka, jeżeli wyjdiesz za mąż?

— Nie, jak mogłabym zapomnieć o tym, co mi stale powtarzasz. Poza tym, bądź spokojna, nikt nie zechce tak brzydkiej i chorowitej dziewczyny jak ja — a już na pewno nie Henner von Teklenburg.

Herta von Ribnitz wzięła siostrzenicę za rękę.

— Nie martw się, kochanie! Wierz mi, małżeństwo jest dla nas, kobiet, pasmem udręk i bólu. A ty możesz wygodnie i spokojnie żyć w twoim pięknym zamku — powiedziała uspokojona słowami Rosemarie.

Młodą damę denerwowała przesadna troska ciotki Herty. Marzyła, aby być sama w swoim pokoju albo przejść się po parku. Szybko wstała.



— Boli mnie głowa — pozwól ciociu, że pójdę do siebie — mówiąc to opuściła pokój.

Na korytarzu spotkała Heinza.

— Wiesz, Rosemarie, pan von Teklenburg jest wspaniałym człowiekiem. Cieszę się, że będzie często przyjeżdżał do Waldeck. Czy ty go też lubisz?

— Tak, Heinz, bardzo go lubię.

— Jaka szkoda, że już nie jest oficerem!

— Heinz! Najważniejszą rzeczą jest człowiek!

— Oczywiście! Ale wspaniały człowiek we wspaniałym mundurze — to jest dopiero coś! Dokąd idziesz?

— Do swojego pokoju.

— Szkoda!

— Dlaczego?

— Chciałbym z tobą pójść do parku. Pragnę porozmawiać z tobą bez świadków o pewnej sprawie.

Rosemarie pogładziła go po włosach, uśmiechając się blado:

— To brzmi jak coś ważnego.

— To jest ważne!

— No dobrze, pójdę z tobą do parku, ale powiedz mamie gdzie będziesz, aby cię nie szukała.

— Dobrze, zaraz wracam.

Heinz szybko pobiegł do pokoju matki. Siedziała ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi ustami, patrząc przed siebie nieruchomo.

Kiedy Heinz wszedł rozchmurzyła się, objęła go i czule przytuliła. Powiedział, że idzie z Rosemarie do parku ze zdziwieniem patrząc na matkę, która rzadko okazywała mu miłość w taki jawny sposób.

— Moja droga, kochana mamó — szepnął przygnębiony świadomością, że w jego duszy kiełkują życzenia zupełnie sprzeczne z planami matki.

Jego matka szybko się opanowała.

— Idź, Heinz, staraj się rozweselić Rosemarie! Jest smutna!

— Co się z nią dzieje, mamó? — zapytał chłopak.

— Nic, nic — przecież wiesz, że często jest smutna. Musimy zrobić wszystko, aby jej umilić życie. Idź, nie pozwól aby czekała!

Powoli szli ku parkowi. Oboje milczeli i byli zamyśleni. Doszli do małej altanki w której stały "biało pomalowane meble. Usiedli. Wtedy Rosemarie rzekła:

— Heinz, chciałeś ze mną porozmawiać?

— Tak! Ale nie wiem czy mogę ci się naprzykrzać. Mama powiedziała, że muszę cię rozweselić, a to, co mam ci do powiedzenia jest bardzo, bardzo poważne.

Rosemarie słuchała z uwagą i zauważyła, że twarz chłopca nerwowo drży.

— Nie zwracaj na to uwagi, Heinz! Zrób mi przyjemność i przynajmniej ty nie przypominaj mi, że muszę na siebie uważać. To jest coś okropnego.

Heinz westchnął:

— Może jednak pomyślisz, że jestem bezwzględny, jeżeli ci wszystko opowiem.

— Mów szczerze — sędzę, że dobrze mi to zrobi.

— Proszę cię jednak, obiecaj, że nie powtórzysz mamie tego, co ci powiem w zaufaniu.

— Dobrze, obiecuję!

Heinz położył ręce na stole i głęboko westchnął:

— A więc słuchaj, Rosemarie, ja nie chcę studiować agronomii, jak postanowiła mama. Chcę zostać oficerem, tak jak pan von Teklenburg.

— Powiedz to mamie!

Heinz smutno potrząsnął głową i wyjaśnił wszystko, co już opowiedział panu von Steinau. Rosemarie słuchała uważnie. Kiedy skończył, zaniepokojony zapytał:

— Pomożesz mi przekonać mamę? Byłoby to bardzo szlachetnie z twojej strony, ponieważ w przyszłości jako oficer nie mógłbym ci pomagać w Waldeck.

Rosemarie uśmiechnęła się:

— Nie martw się, znajdzie się inny rządca. Nigdy nie mogłabym żądać od ciebie takiej ofiary.

Wziął ją za rękę:

— Tylko nie myśl, że z tego powodu będę cię mniej kochał i nie gniewaj się na mnie.

— Ależ ja się nie gniewam. Pomogę ci, ile będę mogła. Czy chcesz, abym porozmawiała z twoją matką?

— Tak, ale jeszcze nie teraz. Wujek Steinau porozmawia z mamą i powie, kiedy ty masz iść do niej.

— Dobrze, Heinz. Powiem twojej mamie, że zapewnię ci potrzebną pensję. Może mama dlatego nie chce spełnić twojego życzenia. Bez miesięcznej pensji nie możesz zostać oficerem. A więc nie martw się!

— Jesteś taka dobra, Rosemarie. Wiesz, Hilda zaraz powiedziała, że będziesz taka wspaniałomyślna. Nie miałem odwagi cię prosić, więc Hilda

obiecała, że ona z tobą porozmawia. Hilda jest wspaniałą dziewczyną, czyż nie?

— Tak, ale jeżeli chcesz zostać żołnierzem, nie wolno ci nigdy więcej powiedzieć „nie mam odwagi” — zażartowała Rosemarie.

Westchnął i odparł:

— Wiesz, to nie dotyczy takich spraw. Taka prośba wydawałaby mi się bezczelnością. Jesteś bardzo szlachetna, że sama to zaproponowałaś. Serdecznie ci dziękuję, Rosemarie.

Rosemarie skinęła głową:

— Nie masz za co dziękować. Cieszę się, kiedy mogę zrobić coś dobrego. Po co mi tyle pieniędzy? Nie martw się, wujek Steinau zajmie się tą sprawą, a ja też zrobię swoje.

Heinz zerwał się na nogi i ścisnął jej rękę w dłoniach.

— Kochana Rosemarie! Kiedy skończą się wakacje, wyjadę uspokojony, a jeszcze dzisiaj pojedę konno do Steinau, żeby opowiedzieć Hildzie jaka jesteś dobra.

Hilda opanowana chęcią działania pomagała przy sianokosach. Od jednej z dziewcząt dworskich pożyczyła kolorową bawełnianą chustkę i okryła nią głowę, aby uchronić się przed żarem słonecznym.

Zmęczona położyła się na kopie siana i odpoczywała, gdy nagle ujrzała Heinza przejeżdżającego obok na wierzchowcu. Zagwizdała w umówiony sposób, który był ich znakiem rozpoznawczym.

Heinz zatrzymał konia i zaczął się rozglądać — zobaczył tylko głowę i gdyby Hilda ponownie nie dała znaku, nie wiedziałby, że to ona. Po chustce na głowie sądził, że to jedna z dziewcząt dworskich, które jeszcze pracowały na łące.

Zeskoczył z wierzchowca, przywiązał wodze do śliwy, pobiegł do stogu i wdrapał się na górę.

— Hej, Hildo! Co ty tutaj robisz?

— Odpoczywam po ciężkiej pracy. Tak, tak, pomagałam i to z własnej nieprzymuszonej woli! Spójrz na tę kopę siana — sama ją zgarniałam. Oto pecherze na rękach — zobacz!

Heinz podziwiał ślady ciężkiej pracy i po chwili zawołał podskakując:

— Coś niebywałego! Taka kopa siana to wspaniałe legowisko!

— No wiesz, siano właściwie nie jest do tego przeznaczone — to grzech, że skaczesz po świeżym sianie. Usiądź spokojnie, wszystko porozrzucasz!

— Dziewczyno! Świeże siano należy rozrzucić, żeby się suszyło — rzekł Heinz z miną znawcy.

Hilda stuknęła go palcem w czoło:

— Przecież rozrzucę siano kiedy odpocznę. Zresztą dobrze że jesteś, możesz mi pomóc!

— Niestety, mam nie dużo czasu, muszę wracać do domu. Chciałem ci tylko powiedzieć coś bardzo ważnego.

Hilda usiadła i rzekła krótko!

— No, więc mów!

Kiedy Heinz opowiedział jej o swojej rozmowie z Rosemarie, Hilda klasnęła w dłoń.

— Nie mówiłam ci? Rosemarie to wspaniały druh!

— Tak, ale teraz naprawdę muszę już jechać. Czy nie mogłabyś przyjechać do Waldeck — Rosemarie zawsze się cieszy z twoich odwiedzin.

— Hm! Niech no pomyślę. Mademoiselle, Niestety, rozpakowuje książki, które dzisiaj nadeszły, a drugi raz nie wypada oblać ich klejem. Ale wiesz co — w ogóle nie pokażę się w domu i pojedę z tobą. Musisz mi przyprowadzić mojego kucyka?

Heinz zaśmiał się:

— Zakradnę się do stajni i przyprowadzę go. Ale czy możesz jechać konno w tej sukience? Nie masz czapki ani stroju jeździeckiego, a ta sukienka nie bardzo nadaje się do galopu.

Spojrzała na swoją lnianą białą sukienkę, która była zmięta i lekko przybrudzona, i wzruszyła ramionami:

— Mądrzy ludzie nie przejmują się takimi drobnostkami. Chustkę zostawię na głowie, a sukienka nie jest aż tak brudna. Wiem, że twoja sroga mama na pewno będzie kręcić nosem z powodu mojego stroju i stwierdzi, że jest „niesamowity”. Ale to nie ma znaczenia. Nie jest to po raz pierwszy — doprowadzę ją po prostu do śmiechu i wszystko będzie w porządku. A więc pospiesz się! Ciesz się na wspólną jazdę.

Po niedługim czasie Heinz wrócił na kucyku. Siedział w damskim siodle i wyglądał bardzo zabawnie. Hilda śmiała się na cały głos:

— Słuchaj, żebyś ty siebie zobaczył — jakie to zabawne, kiedy mężczyzna siedzi w damskim siodle. Czy udało ci się?

— Jasne! Żywa dusza mnie nie widziała poza stajennym Henrykiem, a jemu powiedziałem, co ma przekazać twojemu ojcu.

— W porządku! Henryk jest mi oddany i będzie wiedział, jak powiedzieć ojcu, że jestem za siedmioma górami.

Heinz pomógł dziewczynie dosiąść kucyka, sam wskoczył na konia i pogalopowali. Żartując i śmiejąc się dojechali do Waldeck.

Pani von Ribnitz była w gabinecie i jeszcze pracowała. Rosemarie siedziała na tarasie. W ręku trzymała książkę, ale nie czytała — marzyła i zamyślona patrzyła w dal.

Widząc nadjeżdżających wstała i zeszła po schodach tarasu.

— Witaj, trzpiocie! Jak ty wyglądasz? — zaśmiała się Rosemarie. Hilda zeskoczyła z siodła wołając:

— Okropnie, czyż nie? Wracam prosto z sianokosów — pomagałam i byłam bardzo pilna. Poza tym — mówiąc między nami — zwiłam z domu. Nie mów tego cioci Hercie — zaraz odesłałaby mnie pocztą odwrotną do domowego zacisza.

— Nie zdradzę twojej tajemnicy, Hildo — ale podziwiam twoją odwagę.

Hilda objęła Rosemarie, mówiąc:

— Ty też potrzebowałabyś trochę odwagi, moja kochana Rosemarie. Przyjechałam tylko po to, aby cię ucałować. Oto masz całusa!

Heinz uważał, że Hilda całuje wszystkich wokół, tylko nie jego, a przecież on powinien być pierwszy w kolejności do rozdawanych całusów.

— A za co dostałam całusa — zapytała Rosemarie.

— Heinz opowiedział mi, że obiecałeś mu pomoc. Jakie to miłe z twojej strony. Zresztą, z góry wiedziałam, że to zrobisz.

— Cieszę się, że masz o mnie dobre zdanie.

— Jesteś najlepszym człowiekiem jakiego znam. A gdzie jest ciocia?

— Jeszcze jest zajęta.

— Doskonale! — możemy więc trochę poszaleć zanim przyjdzie. Czy mogłabyś mi dać kawałek wstążki do włosów — zgubiłam swoją jadąc tutaj, a włosy rozplotły się. Popatrz — jeżeli mnie ciocia Herta zobaczy, zaraz będzie awantura.

— Och, naprawdę nie wyglądasz najlepiej. Chodźmy do mojego pokoju. Zaplotę ci warkocz i zawiążę wstążkę.

— Zawsze mówię, że jesteś morowym chłopem Rosemarie! A jest coś do jedzenia w kuchni? Jestem strasznie głodna. Proszę cię, niech do herbaty podadzą coś solidnego.

Rosemarie zwróciła się do kuzyna:

— Heinz, proszę cię, pójdź tymczasem do kuchni i zamów kanapki z szynką i ulubiony placek Hildy.

— Hm! Pycha! Heinz, tylko powiedz, żeby było dużo tego wszystkiego — zawołała za nim Hilda.

— Dobrze! Ale nie siedźcie tam na górze zbyt długo — rzekł Heinz.

— Pospieszmy się — odparła Hilda.

Dziesięć minut później Hilda z Rosemarie i Heinzem siedzieli na tarasie. Włosy Hildy były zaplecione i związane piękną wstążką. Hilda bawiła małe towarzystwo, a kiedy po pół godzinie przysłała pani Herta, zastała całą trójkę wesoło śmiejącą się.

— Zaraz pomyślałam, że przyjechała mała dzikuska ze Steinau. Dzień dobry, Hildo! Cóż ja widzę — włosy uczesane i warkocz zapleciony. To rzadkie zjawisko — żartowała zadowolona, że Rosemarie się rozpogodziła.

Hilda wstała i grzecznie dygnęła:

— Och, ciociu Herto, mówisz tak, jakby się to zdarzało raz na sto lat. Cieszę się, że przyszłaś — czekaliśmy na ciebie z herbatą.

— Co ty mówisz? Wiec zaraz każę podawać.

Hilda bez przerwy szczebiotała i była w swojej beztrosce tak zabawna, że nawet pani von Ribnitz się śmiała. Dziewczyna przy tym zajadała ze smakiem kanapki.

Heinz był bardziej poważny niż zwykle. Myślał o walkach jakie go czekają i o tym, co stało się na moście w Waldeck. Wydawało mu się, że jest potajemnie zaręczony i czuł się jak człowiek obciążony troskami, który musi poważnie myśleć o przyszłości.

## Rozdział dziesiąty

Od wizyty Hennera von Teklenburg w Waldeck Rosemarie była dziwnie niespokojna. Bezustannie myślała o nim i o tym, co jej powiedziała ciotka. Poczula przemożną chęć uwolnienia się za wszelką cenę od przymusu, jaki dotychczas narzuciła jej ciotka.

Zauważyła jej złość, że zaprosiła Hennera, aby odwiedzał Waldeck. Po raz pierwszy obudził się w niej upór: w końcu przecież to ja jestem panią w Waldeck i ja postanawiam, kogo chcę przyjmować w moim domu — pomyślała.

Dotychczas nigdy nie przyszło jej do głowy, aby dopominać się swoich praw. Pozwalała ciotce decydować i uważała ją za panią majątku. Ale teraz poczuła chęć rządzenia i była gotowa przeciwstawiać się ciotce.

Gdyby miała pojęcie, co się działo w duszy pani Herty po wizycie Hennera!

Wszystko w niej buntowało się przeciwko młodemu baronowi. Była również rozzłoszczona na pana von Steinau, który przywiózł tego „awanturnika” do Waldeck.

Dwa dni po wizycie Hennera pani von Ribnitz spotkała starego pana na polach. Dała upust swojej złości i zasypała go wyrzutami.

Jobst von Steinau spokojnie wszystkiego wysłuchał, a potem uniósł się.

— Och, szanowna przyjaciółko! Jest pani bezwzględna i niesprawiedliwa! Pan von Teklenburg jest człowiekiem honoru mimo, że w ostatnich latach trochę przesadzał w różnych zabawach. Wszyscy to robiliśmy — jedni wcześniej inni później. A kto czuje się bez wszelkiej winy, że mógłby rzucić w niego kamieniem? Wszyscy jesteśmy grzesznikami, a młody człowiek nie umie tak panować nad sobą jak ludzie starsi, dojrzałsi. Jeżeli pan von Teklenburg naprawdę — czego się pani tak boi — poprosi o rękę Rosemarie, nie będzie to przecież żadnym nieszczęściem.

Pani Herta von Ribnitz zbladła ze złości.

— Przecież pan wie, że Rosemarie nie wolno wyjść za mąż — wykrztusiła ochrypłym głosem.

— Co za bzdura! Przepraszam za mocne słowo, łaskawa pani, ale to jest bzdura! Pani tak przejęła się troską o zdrowie Rosemarie, że zatraciła pani swój spokój i rozsądek. Jestem tak jak wszyscy — z wyjątkiem pani — przekonany, że Rosemarie może wyjść za mąż, jeżeli zechce. Czy pani nie rozumie, jak okrutnie pani postępuje zabraniając dziecku wszelkich radości życia? Nie mogę pani zaoszczędzić zarzutu, że pani przestraszyła Rosemarie i zakłóciła jej spokój mówiąc, że nie wolno jej wyjść za mąż, gdyż to spowoduje jej rychłą

śmierć. Przeraziłem się, kiedy Rosemarie zwierzyła mi się z tego zmartwienia. Czy pani nie nia serca, aby temu biednemu dziecku mówić takie okrutne rzeczy? Nie rozumiem pani — musiałem pani to wszystko powiedzieć!

Pan von Steinau był rozzłoszczony do skrajnych granic.

Herta von Ribnitz zacisnęła usta. Przestraszyła się gwałtowności sąsiada — zazwyczaj tak spokojnego i pogodnego — ale była zła i z trudem panowała nad sobą.

— Rosemarie musiała się o tym dowiedzieć! Było moim obowiązkiem ostrzec ją przed niebezpieczeństwem. Lepiej żeby o tym wiedziała. Będzie mogła uważać na siebie bo wie, co ją czeka — mimo zdenerwowania powiedziała to stanowczym głosem.

— Ach tak! Pani myśli, że w takim przypadku serce pyta czy wolno mu kochać? Ale my oboje wiemy — na miłość nie ma lekarstwa!

— Co pan wie o mojej obawie o zdrowie Rosemarie? Właśnie dlatego, aby jej zaoszczędzić rozczarowań, jestem ostrożna w wyborze znajomych i gości, i chronię ją przed wszystkim, co mogłoby jej zaszkodzić. Teraz pan chyba przyzna, że popełnił pan głupstwo przywożąc do Waldeck Hennera von Teklenburg. Jest przystojnym i interesującym człowiekiem, a to co przeżył w oczach niedoświadczonej dziewczyny dodaje mu uroku. Nie wiadomo do czego mogą doprowadzić wizyty tego pana i jestem tym bardzo zaniepokojona. Usilnie proszę, aby pan wytłumaczył temu młodemu mężczyźnie, że byłoby zbrodnią gdyby zakłócił spokój Rosemarie.

Pan von Steinau patrzył na rozzłoszczoną panią von Ribnitz. Pomyślał: gdyby wiedziała jaki jest mój stosunek do tej sprawy!

Doszedł jednak do wniosku, że nie ma sensu sprzeczać się z ciotką Rosemarie — ta kobieta wbiła sobie do głowy, że małżeństwo oznacza dla jej siostrzenicy śmiertelne zagrożenie. Postanowił, że nie będzie z Rosemarie rozmawiał na ten temat. Zrobił już swoje — reszta jest w rękach Pana Boga.

W swojej dobroduszości próbował nawet pocieszać panią Hertę:

— Proszę się nie martwić na zapas! Niech pani pozwoli, aby dobry Bóg pokierował tą sprawą. Pan Bóg wie, co dla Rosemarie będzie najlepsze. Niepotrzebnie pani swoim strachem zatruwa życie sobie i dziecku.

Pani von Ribnitz zacisnęła usta, a potem odparła szorstko:

— Zostawmy ten temat. Widzę, że nie możemy się porozumieć. Dotychczas rozumieliśmy się, jeśli idzie o kochane dziecko. Ale ostatecznie nie mogę wymagać, aby pan kochał Rosemarie tak jak ja.

— Och! Nie pozwolę, aby pani posądzała mnie o obojętność wobec Rosemarie! Kocham dziewczynę jak własne dziecko i Bóg mi świadkiem, że



mówię prawdę! Różnica między panią a mną jest taka, że pani chce Rosemarie ochronić przed najmniejszym wzruszeniem — również przed miłością. A ja widzę właśnie w tym siłę leczniczą przyrody — o ile ta lecznicza siła w ogóle jest potrzebna! Oczywiście, pani mówi, że berliński profesor stwierdził początki groźnej choroby i uważa ewentualne małżeństwo Rosemarie za niebezpieczeństwo. Ale czyż lekarze nigdy się nie mylą? Przecież są tylko ludźmi!

Pani von Ribnitz zniecierpliwiona wzruszyła ramionami, a na jej ustach pojawił się pogardliwy uśmieszek:

— Pan mówi z punktu widzenia mężczyzny. Dla nas kobiet małżeństwo wcale nie jest takim szczęściem jakie nam obiecują. Wiem to z własnego doświadczenia!

Jobst von Steinau wiedział o nieudanym małżeństwie pani Herty, więc rzekł:

— No tak, szanowna przyjaciółko. Pani podchodzi do tego z innego punktu widzenia niż ja. Mam na ten temat odmienne zdanie. Moje, niestety zbyt krótkie, małżeństwo było bardzo szczęśliwe i takie samo szczęście codziennie widzę w oczach mojej córki. Pani miała przykre doświadczenia, ale to nie znaczy, że Rosemarie ma spotkać podobny los. Załóżmy, że zakocha się w panu von Teklenburg, który po wszystkich szaleństwach ustatkował się i robi wrażenie człowieka poważnego. Nie sądzę, aby stało się wielkie nieszczęście, gdyby się pobrali.

— Za to ja uważam, że byłoby to wielkie nieszczęście. Na pana spadłaby odpowiedzialność, gdyby pan popierał ten związek — krzyknęła głośno Herta von Ribnitz.

Jobst von Steinau uspakajającym ruchem podniósł rękę:

— No, no, proszę się nie martwić na zapas. Kto to wie, co się stanie? Pani postępuje kierując się swoim poczuciem obowiązku i to powinno panią zadowolić. Pomówmy o czymś innym. Niepotrzebnie się denerwujemy.

Westchnęła głęboko.

— Niestety, nasze zdania są podzielone. Dotychczas miałam w panu wiernego przyjaciela i pomocnika — powiedziała z naciskiem licząc na jego rycerskość.

Zaśmiał się dobrodusznie i rzekł:

— Będę nim również w przyszłości dla pani i dla Rosemarie, bez względu na to, że chciałem z pani barków :— wbrew jej woli — zdjąć trochę zmartwień. Mówiąc szczerze — chyba przydałoby się pani, żeby w niedługim czasie zaczął rządzić w Waldeck młody mężczyzna, który uwolniłby panią od tylu obowiązków?

Herta von Ribnitz zacisnęła usta. Najchętniej krzyknęłaby temu nic nie przeczuwającemu człowiekowi: „idioto!”. Pohamowała się jednak. Przecież nie wolno jej było zdradzić, że za żadną cenę nie oddałaby berła, które mocno trzymała w ręku, aby je zachować dla syna.

Henner często przyjeżdżał do Waldeck i do Steinau. W Steinau zawsze przyjmowano go serdecznie i ciepło. Baron Haller zaprzyjaźnił

się z nim, a pani Lena otoczyła go matczyną opieką. Hilda wdawała się z Hennerem w słowne pojedynki i po kryjomu trochę się w nim durzyła, chociaż pamiętała, że potajemnie „jest po słowie” z Heinzem. Jobst von Steinau zaliczał go do swoich przyjaciół i służył mu ojcowską radą.

Henner czuł się bardzo dziwnie. W Steinau znikął jego nastrój przygnębienia i goryczy. Poddawał się błogiemu uczuciu i tęsknocie za spokojnym szczęściem, jakie tutaj widział.

Czy Rosemarie von Waldeck mogłaby mu dać podobne szczęście? Często zadawał sobie takie pytanie. Nie kochał jej. Miał wrażenie, że takiej miłości jaką wzbudziła w nim Alice von Sternfeld nigdy więcej nie zazna. Rosemarie nie mogła wzbudzić w nim miłości, ponieważ nie była w jego typie, niemniej jej sposób bycia i jej dojrzały sposób myślenia były mu bardzo sympatyczne. Chętnie rozmawiałby z nią częściej, ale nie było ku temu okazji. Kiedy przychodził do Waldeck, pani von Ribnitz nie odstępowała Rosemarie, a wobec Hennera zachowywała się tak chłodno i nieprzyjemnie, że musiał zebrać cały swój upór, aby się nie dać wyprosić z zamku.

Od czasu do czasu spotykał Rosemarie u państwa Steinau. Wtedy mogli porozmawiać sam na sam. Henner zauważył, że była serdeczna i zawsze znalazła odpowiednie słowa, żeby go pocieszyć i rozweselić. Jej cicha rezygnacja wzbudzała w nim głębokie współczucie i chęć okazania pomocy. Rozmawiali jak dobrzy, wierni przyjaciele. Henner stwierdził, że w jego towarzystwie Rosemarie stawała się żywsza i weselsza niż zwykle.

Oczywiście, kiedy zbliżała się pani von Ribnitz Rosemarie stawała się poważna, a blask w jej pięknych szarych oczach gasł.

Kiedy pani Herta zauważyła, że państwo von Steinau cieszą się ze spotkań Rosemarie z Hennerem, zaczęła ograniczać wizyty i nie pozwoliła siostrzenicy samej odwiedzać sąsiadów. Jeździła z nią do Steinau o różnych porach dnia tak, że Henner nie mógł wiedzieć, kiedy tam może ich zastać. A w Waldeck nie mógł zamienić z młodą damą ani jednego słowa, którego nie słyszałaby pani von Ribnitz.

Henner widział, że pani von Ribnitz nie chce, aby kontaktował się z Rosemarie i właśnie to prowokowało go bardziej niż gdyby uprzejmie

reagowała na jego wizyty. Bardzo często pani von Ribnitz przyjmowała go sama i wcale nie informowała Rosemarie o tym, że ma gościa.

Kiedy jednak przypadkowo Rosemarie była obecna, ciotka zaczynała opowiadać, że siostrzenica czuje się źle, że wygląda mizernie i że musi się szanować. Zachowywała się tak nieuprzejmie, jakby chciała Hennerowi pokazać drzwi.

Przyśpieszyło to jego decyzję. Ponieważ nie miał możliwości, aby porozmawiać z Rosemarie na osobności postanowił, że formalnie poprosi panią von Ribnitz o rękę siostrzenicy, a potem zażąda rozmowy z Rosemarie.

Nie miał innego wyjścia. Nadaremnie codziennie wyczekiwał na Rosemarie nad rzeką. Nie przychodziła. Nie domyślał się, że celowo, go unikała.

Heinz von Ribnitz wrócił do gimnazjum. Jobst von Steinau nie rozmawiał jeszcze z jego matką o tym, że jej syn chce zostać oficerem. Sądził, że łatwiej będzie załatwić tę sprawę, kiedy Rosemarie zgodzi się wyjść za Hennera. Stary pan przekonał się nie raz, że Rosemarie jest zakochana w panu von Teklenburg. Zauważył też, że dziewczyna zaczęła się buntować i nie wątpił, że nie da Hennerowi kosza. Dlatego odkładał sprawę Heinza i na razie nie rozmawiał o tym z panią von Ribnitz.

Hilda jednak niecierpliwiła się i pewnego dnia zapytała ojca:

— Kiedy właściwie porozmawiasz z ciocią Hertą o tym, że Heinz chce zostać oficerem, kochany papo?

Spojrzał na nią zdziwiony.

— No, no, dzikusie — a co ty wiesz o tej męskiej sprawie? Hilda założyła ręce do tyłu i stanęła przed ojcem:

— Mój Boże, papo, czy jest coś, czego Heinz nie powiedziałby mi w zaufaniu? Rozumiemy się i wiem wszystko to co on.

— Czy to jest takie pewne?

— Hm! Mur, beton! Wiem też, że Rosemarie da mu pieniądze, kiedy zostanie oficerem.

— Widzę, że wiesz o tej sprawie więcej niż ja. Czy Heinz rozmawiał o tym z Rosemarie?

— Tak — za moją radą. Przecież musi mieć sojuszników. Sądzę, że będziecie mieli ciężką rozprawę z ciotką Hertą.

— Też jestem tego zdania, ale jeżeli mamy ciebie po naszej stronie, nie wątpię, że nam się powiedzie — żartował stary pan.

— Papo, nie mów do mnie takim tonem, jakbym była dzieckiem. Nikt oprócz Heinza nie traktuje mnie poważnie. A ja wiem, że potrafię być

roztropna i że mam czasem dobre pomysły. Kto traktuje mnie poważnie, może na mnie liczyć. Nie jestem już głupim dzieckiem.

Ojciec ukrył uśmiech.

— Czyżby? — zapytał z udaną powagą.

— Och, papo, gdybyś wiedział — westchnęła.

— O czym, Hildo? — zapytał, obserwując ją bacznie. Ponownie głęboko westchnęła.

— Wyśmiejesz mnie! Jak mam się zdobyć na odwagę, aby ci powiedzieć, że mam tajemnicę i bardzo chciałabym ci o niej powiedzieć? Ale jeżeli będziesz się ze mnie śmiał, nigdy ci już nie będę powierzała moich sekretów.

Jobst von Steinau usłyszał w głosie swojego dziecka ton, który go zaskoczył. Przytulił Hildę do siebie i gładził ją po jasnych włosach. Było w niej coś, co go rozczulało.

— Będę poważny, daję ci moje słowo, Hildo. Jeżeli masz mi do powiedzenia coś poważnego, przecież nie będę się śmiał! Możesz mi spokojnie powierzyć swoją tajemnicę.

Objęła go za szyję.

— Daj mi słowo honoru, że nikomu nie powiesz.

— Zgoda! Słowo honoru. Odetchnęła i rzekła:

— A więc — obiecałam Heinzowi, że będę jego żoną, kiedy zostanie oficerem.

Usta pana von Steinau zadrżały, ale zdołał się opanować. Powaga Hildy bardzo go rozczuliła.

— Ach, tak — obiecałaś mu to? — zapytał już bez żartów.

— Tak, papo.

— Kiedy?

— Dwa dni temu, przed jego odjazdem, kiedy zegnaliśmy się na moście w Waldeck.

— Dlaczego tak mu się spieszyło, aby otrzymać twoją obietnicę?

— Odjeżdżał zaniepokojony swoją przyszłością i musiał mieć przynajmniej jedno pocieszenie!

Usta starego pana znowu lekko zadrżały, gdy pomyślał: co za łobuz!

Nie zdradził jednak co czuje. Wiedział, że nie wolno stracić zaufania swojego dziecka. Może z tej dziecinady pewnego dnia wyłoni się coś poważnego? A takie młode serce łatwo można zranić i wtedy zejdzie na złą drogę. Ponieważ Hilda nie miała matki, musiał być szczególnie czuły i uważający.

— No tak, moja myszko — odezwał się poważnie — to wszystko ładnie i pięknie, ale czy nie związałaś się obietnicą trochę za wcześniej? A może zmienisz zdanie? Przecież to jeszcze trochę potrwa, zanim Heinz zostanie oficerem, a wtedy będziesz musiała spełnić daną obietnicę.

— Nic nie szkodzi, papo — nawet jeżeli to potrwa sto lat. Obiecałam, więc dotrzymam słowa. Powiedziałam Heinzowi, że nie będziemy o tym więcej rozmawiać, aż nadejdzie czas — i on dał mi słowo honoru. Sprawa jest załatwiona. Najpierw nie chciałam o tym nikomu mówić, a potem poczułam się bardzo nieszczęśliwa, że coś przed tobą ukrywam. Jestem zadowolona, że już wiesz. Prawda, że nie masz nic przeciwko temu, abym została żoną Heinza?

Jobst von Steinau pocałował swoje dziecko i patrząc w dziecinne oczy Hildy rzekł wzruszony:

— Jeżeli za pięć czy sześć lat nie zmienisz zdania, i Heinz też nie, z pewnością nie będę miał nic przeciwko temu.

Hilda pocałowała ojca:

— Och, papo, przecież nie jesteśmy chorągiewką na dachu! A teraz porozmawiasz z ciocią Hertą o Heinzu? Proszę cię!

— Porozmawiam kiedy nadejdzie pora. Nie ponagłaj mnie — pomogę Heinzowi.

Przytuliła się i szepnęła:

— Jesteś moim najlepszym i najukochańszym przyjacielem.

— Zawsze nim będę, moje dziecko. Bez obaw możesz mi zaufać we wszystkim.

— Oczywiście! A ja teraz dobrowolnie przyrzekam, że będę się uczyła bardzo pilnie — mademoiselle będzie ze mnie zadowolona.

— Cieszę się — a teraz zostaw mnie, muszę popracować.

— Jeszcze raz pocałowała ojca i wybiegła z pokoju. Zaraz potem zobaczył przez okno jak bawi się z małym Hansi. Uśmiechając się, przyglądał się jej przez chwilę, myśląc: jest jeszcze dzieckiem! Ale z dzieci wyrastają ludzie, a z młodym sercem należy postępować bardzo ostrożnie.

Nie zmartwiła go tajemnica Hildy. Minie niejeden rok, zanim podejmie decyzję w tej sprawie, a Heinz przyjeżdża do domu tylko na wakacje. Bogu dzięki, nie widać, aby Hildzie ta tajemnica zbyt ciężko ciążyła. W nadchodzących miesiącach miały mu to udowodnić liczne „kawały”, które robiła jego młodsza córka.

## Rozdział jedenasty

Był jasny, stosunkowo chłodny lipcowy dzień. W nocy przeszła silna burza, orzeźwiła powietrze i spowodowała spadek temperatury. Henner von Teklenburg siedział w swoim „gabiniecie”. Przed nim leżały plany sporządzone niegdyś przez architekta. Kulitz wyjął je ze starej skrzyni i położył na biurku.

Henner zagłębił się w mapach. Oczyma wyobraźni zobaczył zamek odrestaurowany i urządzony według tych planów.

Przed paroma dniami obszedł cały budynek sprawdził dach i ściany. Stwierdził, że wszędzie konieczne są nowe tapety, a w wielu miejscach trzeba było naprawić gzymsy. Piękne stare parkiety wymagały tylko rzetelnego oczyszczenia.

Westchnął i odsunął mapy. Zaczął marzyć o przyszłości, chociaż jeszcze wcale nie wiedział, czy Rosemarie przyjmie jego oświadczenia.

Był przekonany, że pani von Ribnitz zrobi wszystko, aby siostrzenicę nastawić do niego wrogo — ostatnio młoda dama była Cicha, powściągliwa i nie okazywała mu już tej serdeczności co dawniej. Mogło to być spowodowane i tym, że krępowała ją obecność ciotki — tak wyjaśniał to pan von Steinau. W każdym razie Henner wiedział, że czym dłużej będzie zwlekał, tym bardziej pani von Ribnitz będzie spiskować przeciwko niemu.

Henner nie należał do ludzi, którzy się wahają i zwlekają. Dzisiaj zniecierpliwienie opanowało go z podwójną siłą. Wstał i spojrzał na zegarek.

Kto może mu przeszkodzić jeszcze dzisiaj uzyskać pewność? Jeżeli zaraz przebierze się i wyruszy, w ciągu godziny może być w Waldeck. Zdaży, aby się tam zjawić w godzinie oficjalnych wizyt.

Kulitz szybko pomógł mu włożyć garnitur wizytowy. Ponieważ nie miał samochodu, polecił Kulitzowi, aby zawiózł go do Waldeck starą łódką.

Kiedy siedział w łodzi ubrany w elegancki garnitur, spojrzał na siebie z ironią: wspaniały środek lokomocji do jazdy z oświadczeniami! A on sam? Co za konkurent!

Ponuro, nieruchomo patrzył przed siebie. Ocknął się z zamyślenia kiedy ordynans wskazał mu kładkę przy parku Waldeck, pytając, czy stanąć.

Henner zaprzeczył: . — Wiosłujcie dalej, Kulitz, nie mam prawa tutaj wdzierać się do parku. Tam dalej jest główne wejście.

Kulitz wiosłował, aż Henner dał znak, aby przybił do brzegu na mieliźnie rzeki.

Ordynans patrzył na swojego pana zmartwiony — nie podobał mu się dzisiaj zawzięty wyraz jego twarzy.

— Czy mam zaczekać na łaskawego pana? — zapytał.

. — Nie, wracajcie do domu — rzekł krótko Henner, skinął głową i poszedł ku bramie parkowej.

Wyprostował się, a w jego szaroniebieskich oczach zaiskrzyło się niezłomne postanowienie: za pół godziny jego los będzie rozstrzygnięty; obojętnie jak, — ale będzie już miał pewność.

Otwarto mu bramę i poszedł szeroką aleją ku zamkowi. Nigdzie nie widział żywej duszy. Gdyby teraz spotkał Rosemarie, przyjąłby to za dobry znak. Porozmawiałby z nią i oświadczyłby się.

Nie spotkał jednak nikogo. Wszedł do obszernej zamkowej sieni, gdzie w kącie siedział lokaj i drzemał.

Wstał przestraszony kiedy Henner zapytał:

— Czy panie są w domu?

— Tak jest, łaskawy panie!

— Proszę mnie zameldować łaskawej pani i łaskawej panience.

— Służę łaskawemu panu!

Stary lokaj zniknął. Zaanonsował gościa tylko pani von Ribnitz, ponieważ służba ją uważała za panią zamku Waldeck i nic nie mogło się dziać bez jej zgody. Wydała wcześniej polecenie, że bez jej wiedzy panienka nie może przyjmować gości.

Kiedy lokaj wymienił nazwisko pana von Teklenburg pani Herta podniosła głowę znad księgi rachunkowej i rzekła:

— Proszę pana von Teklenburg zaprowadzić do małego błękitnego salonu. Gdzie jest panienka?

— W swoim pokoju. Pan von Teklenburg życzył sobie, abym go zameldował również łaskawej panience. Czy mam to zrobić?

— Nie. Panienka czuje się źle i nie wolno jej niepokoić. A więc do błękitnego salonu — zaraz tam przyjdę.

Herta von Ribnitz wolałaby odprawić młodego barona, ale nie odważyła się. Rosemarie mogłaby się o tym dowiedzieć, a była teraz taka pełna sprzeciwu.

Henner von Teklenburg ledwo przekroczył próg salonu, gdy otworzyły się drugie drzwi i weszła Herta von Ribnitz w eleganckiej czarnej jedwabnej sukni. Jak zwykle wyglądała dobrze — była dumna, ale nie pozbawiona kobiecego wdzięku.

Natychmiast zauważyła jego wizytowy garnitur i dziwny uroczysty sposób bycia, zwłaszcza kiedy się witał. Po paru słowach powitania dodała:

— Niestety, jestem dzisiaj bardzo zajęta, panie von Teklenburg, niemniej przyjąłam pana. Czemu zawdzięczam pańską wizytę?

To miało oznaczać: streszczaj się i znikaj stąd — pomyślał Henner.

Niemniej postanowił wykonać swój zamiar. Spokojnie popatrzył jej w oczy, mówiąc:

— Łaskawa pani, nie zajmę pani dużo czasu. Przyszedłem do panny von Waldeck i proszę mi pozwolić, abym z nią porozmawiał w sprawie dla mnie bardzo ważnej.

Pani von Ribnitz wstała, a w oczach jej pojawił się złowrogi błysk. Henner zauważył, że bardzo zbladła — wiedział, że będzie musiał z tą kobietą stoczyć walkę i był na to przygotowany.

— Żałuję, że nie mogę spełnić pańskiej prośby. Pan wie, że moja siostrzenica jest bardzo chorowita. Jest moim obowiązkiem chronić ją przed najmniejszym niepokojem. Jeżeli przychodzi pan do niej z bardzo ważną sprawą, proszę mnie powiedzieć o co chodzi, abym oceniła, czy mogę ją tym niepokoić — rzekła pani von Ribnitz, starając się nie okazywać strachu.

Jednak niepewny głos i wyraz oczu zdradzały, że nie mówi prawdy.

Henner nie spuszczał z niej wzroku.

— A czy nie byłoby możliwe, abym w pani obecności przedłożył pannie von Waldeck moją prośbę?

— Nie — muszę najpierw ocenić, czy to nie spowoduje szkodliwego dla niej wzburzenia.

Teraz i w oczach Hennera pojawił się błysk, świadczący o chęci do walki.

— A więc zawiadamiam panią, że przyszedłem prosić o rękę panny Waldeck — powiedział głośno, stanowczym tonem.

Pani von Ribnitz oczekiwała, że to usłyszy. Ale kiedy te słowa zostały wypowiedziane, zadrżała, zamykając na moment oczy, jak gdyby jej coś groziło.

Jednak szybko się opanowała. Zebrała wszystkie siły, a w jej oczach widać było niezłomne postanowienie. Wokół jej ust zarysowała się pogardliwa bruzda.

— Nie musi się pan fatygować, panie von Teklenburg. Za wszelką cenę chcę mojej siostrzenicy zaoszczędzić zdenerwowania, kiedy panu będzie dawała kosza. Moja siostrzenica jest bardzo wrażliwa i byłoby jej bardzo przykro, gdyby musiała powiedzieć zdecydowane „nie”. Mogę sobie wyobrazić, że bardzo chciałby pan zostać mężem bogatej dziedziczki majątku Waldeck. Może pan sobie przypomina, że nie raz dawałam panu do zrozumienia, iż moja siostrzenica nigdy nie wyjdzie za mąż, bo to oznaczałoby dla niej rychłą śmierć. Pan wie, że ona jest chora, ale pan o to nie pyta. Panu chodzi przecież o majątek, aby poprawić swoją egzystencję. Wiedziałam, że pan przyszedł do



Waldeck, aby wyciągnąć rękę po bogatą dziedziczkę. Staralam się dać panu wyraźnie do zrozumienia, że niczego pan nie osiągnie. Pan nie chciał mnie zrozumieć, a więc muszę bez ogródek powiedzieć, że nie przyjmuję pańskich oświadczeń.

Henner zupełnie spokojnie wysłuchał tego nieco dramatycznego przemówienia, a potem powiedział:

— Łaskawa pani zapomina, że nie chodzi tutaj o zdanie pani, lecz o zdanie panny Rosemarie von Waldeck, która — tutaj podniósł nieco głos — według mnie wcale nie jest chora. To zdanie podziela wiele innych osób. Jestem przekonany, że panna Rosemarie jest zupełnie zdrowa. W żadnym wypadku nie zaszkodzi jej, jeżeli osobiście się jej oświadczę i poproszę, aby została moją żoną.

Pani von Ribnitz zacisnęła ręce, żeby ukryć ich drżenie. Spłoszowała i odezwała się drwiąco:

— Pańskie przekonanie wynika z życzenia, aby moja siostrzenica była na tyle zdrowa, żeby mogła wyjść za mąż.

Widać było, że nie czuje się pewnie, co nie uszło uwadze Hennera.

— Przepraszam, łaskawa pani — sądzę, że tak życzą sobie wszyscy, którzy znają pannę von Waldeck — a pani chyba najbardziej.

Mówił ostrym tonem i badawczo patrzył na jej zaczerwienioną twarz.

— Oczywiście — dodała szybko — otaczam ją troskliwą opieką, aby uniknąć choroby, którą oddziedziczyła po swojej matce. Wiem, że szkodzą jej wszelkie wzruszenia i o małżeństwie nie może być mowy. Dlatego nie ma najmniejszego sensu, aby tą sprawą niepokoić moją siostrzenicę. Rosemarie robi to samo, co ja — da panu odmowną odpowiedź.

— Czy pani jest tego zupełnie pewna?

— Tak, jestem tego całkowicie pewna.

— Nie zgadza się pani pod żadnym warunkiem, abym porozmawiał z panną von Waldeck?

— Nie, nie wyrażam na to zgody — a teraz sądzę, że zakończyliśmy naszą rozmowę. Po tym wszystkim będzie dla pana jak i dla nas pożądane, aby pan nie bywał w Waldeck. Postaram się również, aby moja siostrzenica nie spotykała się z panem w żadnym innym miejscu.

Henner patrzył na nią z gniewem w oczach:

— Czy pani jest świadoma, że to co pani robi nazywa się gwałtem? Panna von Waldeck ma prawo dowiedzieć się, że prosiłem ją o rękę. A może zamierza pani to ukryć?

Zabrzmiało to jak groźba.

Herta von Ribnitz skuliła się lekko jak gdyby poczuła cios, ale szybko wyprostowała się i rzekła chłodno:

— Pan się zapomina, panie von Teklenburg — przypisuję to pańskiemu rozczarowaniu. Wiem, że to gorzkie stracić nadzieję na to, żeby przy pomocy mojej siostrzenicy zabezpieczyć sobie przyszłość i ratować swój zrujnowany zamek. Wcale nie mam zamiaru — jak pan to nazwał — „ukryć” pańskich oświadczyn, ale chcę powiadomić o tym siostrzenicę oględnie. A jeżeli pana to interesuje — moja siostrzenica, tak jak ja wiedziała, że pan ma zamiar prosić ją o rękę. Sama ją o tym uprzedziłam. Ona nie ma zamiaru wychodzić za mąż. Jeżeli panu to nie wystarcza, poproszę żeby do pana napisała, że nie przyjmuje pańskich oświadczyn. A teraz nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia.

Henner lekko zbladł. Nie miał powodu nie wierzyć w jej słowa i musiał założyć, że Rosemarie naprawdę nie zgodzi się zostać jego żoną. Słowa pani von Ribnitz brzmiały zbyt pewnie. Henner przecież nie mógł wiedzieć, że postawiła wszystko na jedną kartę i że wymieszała kłamstwo z prawdą, aby go unieszkodliwić.

Przez chwilę patrzył na nią badawczo. Wiedział, że urabiała Rosemarie przeciwko niemu. A co robi, jeżeli młoda dama pisemnie odrzuci jego oświadczyzny? Nie pozostanie wtedy nic innego, jak tylko poddać się.

— Będę czekał na pisemną odpowiedź panny von Waldeck — rzekł krótko, ukłonił się i wyszedł z pokoju.

Herta von Ribnitz stała wyprostowana i patrzyła za nim. Drżącą ręką otarła chusteczką pot z czoła i zaczęła się zastanawiać: czyż przez te wszystkie lata grałam tę nędzną komedię po to, aby teraz ten awanturnik zabrał to wszystko, co z upokorzeniem i wyrzeczeniem się dumy chcę zatrzymać dla syna? Nie, nie pozwolę sobie tego wyrwać z rąk, zachowam to dla Heinza — za każdą cenę.

Za każdą cenę?

Zadrżała na tę myśl i zacisnęła usta. Zaczęła szukać usprawiedliwienia dla samej siebie: lepiej, że tak się stało — nie zobaczy go więcej, a on na pewno opuści te okolice kiedy się przekona, że u Rosemarie nie miał szczęścia. Słusznie postąpiłam.

Czy aby naprawdę słusznie postąpiłam? Czy to nie przestępstwo, że kłamstwem i oszustwem zmieniam los człowieka, którego powierzono mojej pieczy? Czy nie zgrzeszyłam wobec Rosemarie?

Tak, postąpiłam źle, ale robię to dla mojego syna. Mnie też skrzywdzono. Mój syn nie będzie wegetował, podczas gdy inni będą żyć w dostatku. Lepiej niech cierpi Rosemarie niż miałby cierpieć mój syn!

Ale czy ona cierpi? Przecież ma wszystko czego zapragnie. Naprawdę wszystko? Czy nie zabrałam jej najcenniejszej, najlepszej rzeczy jaką posiada człowiek? Czy nie oszukałam jej i nie pozbawiłam beztrudnej młodości i radości życia? Biada tobie Herto von Ribnitz, pozwoliłaś, aby zawładnęło tobą zło i nie możesz się od tego uwolnić.

Takie myśli dręczyły duszę pani Herty, lecz nie poddała się i szybko się wyprostowała. Wyciągnęła przed siebie ręce, jakby w obronie, a w oczach jej pojawił się błysk:

— To co zrobiłam — zrobiłam dla mojego syna.

Rosemarie nie miała pojęcia, co się działo w salonie. W ogóle nie wiedziała, że przyjechał Henner von Teklenburg.

Właśnie wkładała do koperty list, który napisała do Heinza, gdy " weszła ciotka Herta.

Rosemarie położyła list na biurku i wstała:

— Skończyłaś pracę, ciociu Herto — zapytała.

Pani von Ribnitz usiadła i poprosiła, aby Rosemarie zajęła miejsce naprzeciw niej:

— Nie, Rosemarie, przeszkadzono mi i to w bardzo niemiły sposób. Nie mogłam dalej pracować — do tego muszę mieć spokój.

Młoda dama zdziwiona patrzyła na ciotkę. Wiedziała, że nie było łatwo wyprowadzić ją z równowagi lub przeszkodzić jej w pracy.

— Czy stało się coś złego? — zapytała.

— Tak, moje dziecko! Gdyby to dotyczyło tylko mnie, nie mówiłabym ci o tym. Ale to dotyczy przede wszystkim ciebie. Przykro mi, ije muszę cię niepokoić — wiesz, że staram się odsuwać od ciebie wszelkie zmartwienia.

Rosemarie zaczęła się denerwować.

— Proszę, powiedz wreszcie o co chodzi? Pani von Ribnitz westchnęła:

— Wyobraź sobie, stało się to, co przewidywałam i o czym mówiłam ci kilka tygodni temu, a w co nie chciałaś wierzyć: Henner von Teklenburg był dzisiaj u mnie i prosił o twoją rękę. Koniecznie chciał sam z tobą rozmawiać o tej przykrej sprawie.

Rosemarie zadrżała — zbladła, a jej duże szare oczy patrzyły przed siebie. Jednak szybko zebrała wszystkie siły i spokojnie zapytała:

— Henner von Teklenburg? On prosi o moją rękę?

— Tak, moja Rosemarie, tak jak ci przepowiadałam. Co powiesz na to?

Nie odpowiadając na pytanie Rosemarie ze zdziwienia przez chwilę oniemiała. Potem drżącym głosem cicho zapytała:

— Gdzie on jest?

— Oczywiście, odprawiłam go, moje dziecko. Przecież nie mogę pozwolić, aby cię męczył. Powiedziałam, że nie ma sensu, aby z tobą rozmawiał. Ale on nie był zadowolony. Oczywiście, jego egzystencja zależy od tego. Aby ci zaoszczędzić przykrego spotkania, którego się domagał, obiecałam mu, że pisemnie potwierdzisz, że nie przyjmujesz jego oświadczeń. Paroma uprzejmymi słowami podziękujesz mu za zaszczyt i sprawa będzie załatwiona, czyż nie?

Rosemarie nie zauważyła wyczekującego wzroku ciotki. Słuchała jej słów i wydawało jej się, że wszystko wokół niej wiruje. Kiedy ciotka przestała mówić, dziewczyna siedziała jeszcze przez chwilę jak sparaliżowana. Powoli zaczęło do niej docierać to co usłyszała. A kiedy to się stało i słowa ciotki znalazły drogę do jej duszy, poczuła w sobie burzę. Zerwała się na nogi i stanęła wyprostowana, blada i z płonącymi oczami.

— To wszystko postanowiłaś za moimi plecami? Nie uważałaś za stosowne, aby najpierw mnie zapytać o zdanie? — krzyknęła drżącym ze zdenerwowania głosem.

Pani von Ribnitz również poderwała się przestraszona wybuchem gniewu Rosemarie. Aby ukryć strach objęła siostrzenicę i zaczęła ją uspokajać:

— Och, moje biedne dziecko! Widzisz teraz, że wiedziałam jak bardzo się zdenerwujesz. Uspokój się, przecież wszystko załatwione. Chodź, usiądź przy mnie — drżysz cała. Ty chyba znowu masz gorączkę!

Rosemarie gwałtownym ruchem uwolniła się z jej objęć.

— Zostaw mnie, ciociu Herto! Jeszcze raz pytam się, dlaczego najpierw nie zapytałaś mnie, dlaczego mnie nie zawołałaś i dlaczego podjęłaś decyzję za moimi plecami?

Rosemarie wypowiedziała te słowa ostrym tonem. Pani von Ribnitz stwierdziła, że oświadczenia Hennera bardziej wzburzyły Rosemarie niż się tego spodziewała. Czyżby siostrzenica kochała pana von Teklenburg? Jeżeli tak, trzeba być szczególnie ostrożną.

Udając zdziwienie rzekła:

— Dlaczego? Ależ moje drogie dziecko, wiem, że nie masz zamiaru wychodzić za mąż i nie zniosę, aby ten człowiek, który jest tak wyrachowany, niepokoił cię swoimi bezczelnymi oświadczeniami.

Rosemarie zmuszała się do spokoju:

— Mimo tego nie miałaś prawa, aby mnie potraktować jak dziecko, które nie może decydować o własnym życiu. Ciociu Herto, muszę ci w końcu powiedzieć to, co od dawna leży mi na sercu: nie pozwolę i nie zgodzę się, abyś mnie traktowała jak małe dziecko i prowadziła za rączkę! Chcę

postępować według własnej woli i nie ugnę się już nigdy przed twoimi rozkazami. Przecież jaomalże nie mam prawa oddychać bez twojego pozwolenia! To co zrobiłaś dzisiaj poszło za daleko. Jest pewna granica, której ty nie miałaś prawa przekroczyć! Nie miałaś prawa, ani cienia prawa decydować o moim losie!

Speszona i przestraszona pani von Ribnitz patrzyła na dziewczynę, która wybuchnęła namiętym gniewem. Była tak przyzwyczajona do uległości i posłuszeństwa siostrzenicy, że nie mogła pojąć, iż Rosemarie ma własną wolę. Nie wiedziała co ma począć wobec jej sprzeciwu.

Przyłożyła chusteczkę do oczu mówiąc płaczliwym głosem:

— A więc to jest podziękowanie za moją miłość i opiekę. Latami martwiłam się o ciebie i troszczyłam się o twoje zdrowie! Och, Boże, nigdy nie spodziewałam się, że potraktujesz mnie w ten sposób. O, moje dziecko — bardzo mnie to boli, bardzo!

Rosemarie przycisnęła ręce do skroni, a na jej bladej twarzy pojawił się wyraz cierpienia:

— Wybacz, ciociu Herto! Wiem, że miałaś dobre zamiary — nie pomyślałam o tym. Zdenerwowałam się, ale nie postąpiłaś właściwie — postąpiłaś źle! W tej sprawie powinnaś była decyzję pozostawić mnie!

— No tak, przecież nikt ci tego prawa nie odmawia. Kiedy się uspokoisz, napiszesz do pana von Teklenburg parę uprzejmych słów. Poślę list przez posłańca i sprawa będzie załatwiona.

Rosemarie chciała jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymała i zacisnęła usta. Pragnęła być sama, aby zebrać myśli i zastanowić się nad tym, co przepelniało jej duszę. Miała wrażenie, że czuje przyływ nowych, dotychczas nieznanych sił.

Musi być sama ze swoimi myślami. Przetarła ręką czoło i powiedziała:

— Ciociu Herto, muszę się uspokoić, zanim znowu będę mogła porozmawiać z tobą o tym wszystkim. Nie gniewaj się, że chcę zostać sama. Tak będzie lepiej. Nie chciałabym być niesprawiedliwa wobec ciebie, a jestem zdenerwowana. Porozmawiamy później — również o liście, który mam napisać do pana von Teklenburg.

Pani von Ribnitz otarła oczy i po kryjomu odetchnęła:

— Dobrze, moje dziecko, już idę. Uspokój się. Kiedy nad wszystkim się zastanowisz, będziesz mi wdzięczna za to, że zaoszczędziłam ci przykrości. Połóż się i odpocznij. Pamiętaj — pragnę wyłącznie twojego dobra.

Pocałowała w czoło stojącą nieruchomo i pozornie obojętnie Rosemarie i opuściła pokój.

W sieni poleciała lokajowi, aby ją natychmiast zawiadomił, gdyby panienska chciała wyjechać. Obawiała się, że Rosemarie mogłaby pojechać do Steinau. A gdyby tam spotkała Hennera von Teklenburg? Zniweczyłoby to wszelkie jej plany. Nie ulegało wątpliwości, że Rosemarie darzy tego mężczyznę uczuciem, a więc jeżeli siostrzenica zechce pojechać do Steinau, ona musi jej towarzyszyć.

Wszystko przemawiało za tym, że państwo von Steinau popierali związek Rosemarie z Hennerem von Teklenburg. Musi więc wykorzystać cały swój wpływ, aby siostrzenica znowu stała się posłuszna i ugięła się przed jej wolą. Podejmie się nawet najtrudniejszej walki. Teraz nie ma odwrotu.

Kiedy pani von Ribnitz opuściła pokój. Rosemarie szybko podbiegła do drzwi i zamknęła je na klucz, jak gdyby się obawiała, że ciotka mogłaby wrócić.

Co z tego, że Henner jej nie kochał. Najważniejszą rzeczą jest to, że może mu pomóc! Ponieważ oświadczył się, musi mu być na tyle sympatyczna, że może myśleć o wspólnym życiu z nią. W przeciwnym razie przecież by tego nie zrobił, była tego pewna. Znała go już dobrze, ponieważ jej miłość do niego pomogła jej wszystko zrozumieć.

Drżała na całym ciele.

Czyż to nie byłoby cudowne? Byłaby potrzebna przynajmniej jednemu człowiekowi. A tym człowiekiem jest Henner von Teklenburg, którego kochała całym swoim niewinnym, młodym sercem.

A ciotka Herta nie przyjęła jego oświadczyn! Wrócił więc do domu rozczarowany i zawiedziony. Siedzi sam w swoim pustym zamku, gdzie nie usłyszy pocieszającego słowa.

W wyobraźni dziewczyny pojawiła się straszna wizja. Zobaczyła Hennera bladego, z przestreloną skronią.

Zerwała się na równe nogi i krzyknęła cicho:

— Nie, nie, do tego nie wolno dopuścić!

Strach o ukochanego zrodził myśl: musi go zobaczyć — teraz, zaraz, za każdą cenę! Musi mu powiedzieć... — ale co? Och, nieważne, już coś wymyśli, ale teraz musi go zobaczyć, musi się przekonać, że żyje, musi mu pomóc!

Ale jak ma się dostać do niego? Wiedziała, że jest pilnowana i że nie może pojechać do Teklenburga.

Nagle przyszła jej do głowy zbawienna myśl: rzeka, łódź — tą drogą mogłaby niezauważona popłynąć do Teklenburga. To była najkrótsza i najszybsza droga. Zatrzyma łódź przy kładce, gdzie Henner trzymał swoją łódkę i szybko pobiegnie przez park do zamku.

Nie zastanawiała się długo. Włożyła szeroki kapelusz, który zawsze nosiła spacerując po parku i okryła się szalem, który ciotka kazała jej ze sobą zabierać.

Wyszła i spacerowała powoli, coraz bardziej oddalając się od zamku. Kilka razy ostrożnie rozglądała się, czy nie jest śledzona, i czym bliżej była rzeki, tym szła szybciej. W końcu zaczęła biec, póki nie dosięgnęła kładki. Jeszcze raz obejrzała się — nikogo nie było widać.

Weszła do łódki, odwiązała ją i z całej siły zaczęła wiosłować. Teraz dopiero poczuła się bezpieczna — do ostatniej chwili obawiała się, że nie będzie mogła wykonać swojego postanowienia.

Droga do Teklenburga wydawała jej się dzisiaj niezwykle długa. Wreszcie ujrzała zamek. Słońce odbijało się w szybach opustoszałego gmachu. Niedługo potem podpłynęła do kładki, przywiązała łódkę i pobiegła w kierunku zamku.

Kiedy zbliżała się do celu, rosła jej obawa o Hennera. A może przyszła za późno? Ale nie, nie, to nie może być — przecież Henner powiedział ciotce, że będzie czekał na list. A jednak, czy ciotka nie pozbawiła go wszelkiej nadziei?

Wreszcie dobiegła do zamku. Wyglądał na opuszczony. Niepewnie rozglądała się dokąd pójść. W której części zamku mieszkał Henner? Patrzyła na rzędy pustych okien, aż zobaczyła kilka błyszczących czystością szyb, za którymi były widoczne firanki. Tutaj z całą pewnością zamieszkał Henner.

Kiedy zbliżała się do bocznego wejścia nagle stanął przed nią Kulitz z koszem na ramieniu i zaskoczony patrzył na młodą damę.

Rosemarie spieszyła się, ale wnet odzyskała pewność siebie i podeszła do ordynansa. Widziała go kiedyś w Steinau, kiedy był tam z Hennerem i wiedziała, że jest jego wiernym służącym.

Ani przez chwilę nie pomyślała, że służący mógłby się dziwić wizycie młodej damy u jego pana, albo że ta wizyta jest niestosowna dla młodej panienki.

— Czy pan von Teklenburg jest w domu? — zapytała drżącym głosem.

Kulitz postawił kosz obok siebie i stanął na baczność. Znał Rosemarie von Waldeck:

— Tak jest, łaskawa panienko! Łaskawy pan jest w gabinecie. — Proszę mnie zaprowadzić do niego!

Kulitz zawahał się. Nie był pewien, czy jego pan zechce przyjąć młodą damę. Widział, że wrócił do domu przygnębiony, przebrał się i poszedł do swojego pokoju. Obiadu nie tknął, a plany rzucił w kąt pokoju. Siedział już od dłuższego czasu przy biurku i nic nie mówiąc patrzył przed siebie — tak jak w

pierwszych dniach po przyjeździe do Teklenburga. Czy ma panienkę wpuścić czy też nie?

Rosemarie zauważyła jego wahanie.

— Muszę natychmiast porozmawiać z panem von Teklenburg w bardzo ważnej sprawie. Proszę mnie do niego zaprowadzić — poprosiła. W jej oczach było przerażenie, że w każdej chwili może się stać coś najgorszego — to, czego się obawiała.

Wyraz oczu Rosemarie spowodował, że Kulitz nie zastanawiając się dłużej rzekł:

— Proszę wejść, łaskawa panienko!

Ponieważ w Teklenburgu nie było salonu do przyjmowania gości, Kulitz postanowił zaprowadzić pannę von Waldeck prosto do gabinetu swojego pana.

Zapukał do drzwi. Henner pozwolił mu wejść, a kiedy drzwi otworzyły się, siedział zniechęcony i zastanawiał się nad swoją przyszłością.

— Łaskawy panie! Panna von Waldeck chce z panem rozmawiać! .

— Kto? — krzyknął Henner i skoczył na równe nogi. Z niedowierzaniem patrzył na drzwi — na progu stała Rosemarie, blada i z płonącymi oczami.

Kulitz cicho wyszedł. Rosemarie bezsilna i drżąca oparła się o drzwi. Teraz, kiedy zobaczyła Hennera zdrowego i żywego, patrzącego na nią ze zdziwieniem, uświadomiła sobie dopiero co zrobiła. Silny rumieniec oblał jej twarz.

— Rosemarie! — przepraszam, łaskawa pani — pani tutaj, u mnie? Co się stało — zapytał przestraszony.

Zacisnęła dłonie i szukała odpowiednich słów. Najchętniej uciekłaby tak szybko, jak tylko można. Wreszcie wykrztusiła cicho:

— Dzięki Bogu, że pana zastałam. Tak bardzo się bałam, że mógłby pan popełnić jakieś głupstwo! Przecież wiem, jak wielkie zmartwienia pana gnębią. Ja — ja...

Speszona gładziła sukienkę.

Henner widział, że Rosemarie walczy ze sobą. Podsunął jej krzesło mówiąc:

— Proszę usiąść, pani jest zdenerwowana. Jak pani dostała się do Teklenburga? Nie słyszałem, aby zajechał powóz.

Opadła na krzesło:

— Łodzią — nie mogłam inaczej opuścić Waldeck niezauważona przez nikogo. Ciotka Herta nie wypuściłaby mnie.

— Pani jest tutaj sama? — przestraszył się Henner. Skinęła głową i patrzyła na niego bezradnie.

— Przypląnęłam sama — nikt nie wie, że tutaj jestem.



— Nikt pani nie widział? — zapytał Henner zatroskany ojej dobre imię.

— Nie, tylko pański służący — odparła cicho i nagle uświadomiła sobie, że postąpiła pochopnie i nierozważnie.

Henner odetchnął:

— Dzięki Bogu! Mój służący jest mi wierny i dyskretny — nie musi się pani niczego obawiać.

Rosemarie lekko się uśmiechnęła.

— To jest niezwykle — może nawet niedozwolone, że przyszłam sama. Ale nie myślałam o tym wcześniej — tak bardzo martwiłam się o pana.

Wziął ją za rękę i pocałował głęboko wzruszony.

— Łaskawa pani mnie zawstydzła — wyszeptał.

Rosemarie powoli opanowała się i odzyskała pewność siebie. Znowu mogła spokojnie mówić. Spojrzała dużymi pięknymi oczami i rzekła poważnie, stanowczym głosem:

— Panie von Teklenburg, ciotka Herta powiedziała mi w jakiej sprawie przyjechał pan dzisiaj przed południem do Waldeck. Powiedziała mi, że odrzuciła pańskie oświadczyzny o moją rękę i że ja pisemnie to potwierdzę.

— Tak było, łaskawa pani.

Rosemarie przetarła czoło ręką. Przez chwilę wahała się, a potem odezwała się stanowczym głosem:

— Moja ciotka nie miała prawa odrzucać pańskich oświadczyzn o moją rękę. Nie postąpiła tak, jakbym tego chciała. Przyszłam, aby panu powiedzieć, że przyjmuję pańskie oświadczyzny, jeżeli pan jeszcze chce, abym została pańską żoną.

Wysoki, szczupły mężczyzna jakby się lekko zachwiał. Na jego twarzy pojawił się silny rumieniec. Był widocznie poruszony, walczył ze sobą, kiedy tak stał naprzeciw niej oparty o biurko. Patrzył na nią, a po chwili zaczął mówić:

Gdyby pani wiedziała, co czuję w tej chwili. Gdyby pani miała pojęcie, jakie uczucia wzbudziły w mojej duszy pani słowa. Czuję się bardzo zawstydzony pani wspaniałomyślnością i pani dobrocią. Gdyby mi pani dała taką odpowiedź w Waldeck, przyjąłbym ją bez zastrzeżeń. Ale to co pani zrobiła dla mnie teraz jest ofiarą, którą mogę przyjąć tylko pod warunkiem, że będę bezgranicznie szczery i uczciwy. Kiedy pani ciotka nie przyjęła moich oświadczyzn o pani rękę, powiedziała, że robi to dlatego, że mnie chodzi głównie o bogatą dziedziczkę. Muszę się przyznać, że pani ciotka miała rację. Przed wszystkim chodziło mi o to, aby znowu zacząć normalnie żyć, niemniej miałem niezłomne postanowienie, że będę uczciwie i niezmordowanie zarządzał pani majątkiem.

To co mnie przyciąga do pani, to serdeczna sympatia i przyjaźń, a może też i chęć, żeby zmienić pani smutne życie i z cienia wyprowadzić panią w słoneczny, radosny świat. Pragnąłem opiekować się panią i chciałem, aby pani miała we mnie ostoję. Ale nie kocham pani tak, jak mężczyzna powinien kochać kobietę. Do takiej miłości już nie jestem zdolny, ta struna w moim życiu uczuciowym pękła. Obdarzyłem swoją miłością kobietę, która podeptała to głębokie uczucie. Aby o tym zapomnieć, zacząłem prowadzić hulaszczy tryb życia, dziki i bez sensu. Kiedy się opamiętałem, poczułem wstręt do samego siebie i nie kryję przed panią, że wróciłem do Teklenburga, aby tutaj umrzeć.

Rosemarie zacisnęła dłonie, ale nie mogła wymówić ani słowa. Henner opowiadał dalej:

— Niczego przed panią nie ukryję w takiej chwili. Musi mnie pani znać i wiedzieć o mnie wszystko. Przyłożyłem pistolet do skroni, nacisnąłem na spust — ale pistolet nie był naładowany. Mój wierny ordynans Kulitz rozładował pistolet w obawie o moje życie — domyślał się, co postanowiłem. Na biurku zostawiłem swój testament. Kiedy później wróciłem do pokoju zobaczyłem, że Kulitz dopisał parę wierszy pod moim podpisem.

— Proszę to przeczytać — mówiąc to Henner podał Rosemarie arkusz papieru.

Młodą damę wzruszyły proste słowa wiernego służącego. Poczula łzy w oczach — chętnie uściśnęłaby Kulitzowi rękę. Kiedy zwracała mu papier jej ręka drżała.

— Co za szczęście, że wierny sługa przeszkodził panu w wykonaniu tego smutnego postanowienia — szepnęła.

Henner spochmurniał i wyglądał tak jak wtedy, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy na rzece.

— Nie wiem czy to szczęście, łaskawa pani. Spowiadam się przed panią, aby pani poznała mnie w całej mojej moralnej nędzy. Byłem takim tchórzem, że chciałem odebrać sobie życie, aby nie walczyć o byt. Dopiero słowa mojego służącego uświadomiły mi, jak haniebne jest takie tchórzostwo. Wstydzę się przed samym sobą.

Stało się to tego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkałem panią na rzece. Pani słowa były balsamem na świeżą ranę, były zapewnieniem, że mogę życie zacząć od nowa. Tak jak pani poradziła, poszedłem do pana von Steinau, gdzie mnie przyjęto bardzo serdecznie — myślę, że dlatego, iż pani wstawiła się za mną. W ciepłej, serdecznej rodzinnej atmosferze obudziła się we mnie tęsknota za ogniskiem domowym. Wtedy postanowiłem, że oświadczę się pani. Bardzo mnie wzruszył i bardzo mi się spodobał pani spokojny, szczery sposób bycia.

Myślałem też o pani bogactwie, ale bez serdecznej sympatii nigdy nie prosiłbym pani o rękę. Niemniej miłości nie mogę pani ofiarować — nie chcę pani okłamywać. Powinna pani to wszystko wiedzieć zanim pani zdecyduje się, czy zostać moją żoną czy nie.

Starał się mówić możliwie spokojnie. Skończył i milczał.

Na twarzy Rosemarie pojawił się uśmiech pełen rezygnacji.

— Wiedziałam już dawniej, że pan mnie nie kocha, panie von Teklenburg, że pan mnie nie może kochać. Wiem, że jestem chora i brzydka — powiedziała skromnie, jak gdyby to było coś nieodwracalnego.

Henner spojrzał na nią badawczo:

— Brzydka? O nie, Rosemarie, pani nie jest brzydka. Kto to pani powiedział?

— Ciocia Herta. Poza tym, sama o tym wiem. Kto jest chory, jest też brzydki. Pogodziłam się z tym już od dawna. Wyprostował się i rzekł:

— Gdybym mógł udowodnić, że pani jest w błędzie! Pani nie jest ani chora, ani brzydka — to jest moje przekonanie. Ale nawet najpiękniejsza kobieta byłaby brzydka, jeżeli ubrałaby się tak niemodnie jak pani? Dlaczego nosi pani te stare, workowate suknie, które nadają pani niezgrabny wygląd? Dlaczego pani ma takie dziwne uczesanie zniekształcające pani głowę? Nieraz zadawałem sobie to pytanie.

Rosemarie zarumieniała się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Ciotka decyduje o moich strojach i uczesaniu — twierdzi, że to najwygodniejsze. Nie myślałam nigdy o tym, przecież to obojętne, co noszę.

Henner zrobił ręką przeczący gest.

— Ależ nie! To wcale nie jest obojętne! Każdy człowiek ma prawo i wręcz obowiązek uwypuklać swoje zalety, którymi Pan Bóg go obdarzył.

Potrząsnęła głową uśmiechając się z rezygnacją:

— A jeżeli człowiek nie ma zalet?

Patrzył na nią wzruszony. Rozczuliły go te słowa wypowiedziane z takim szczerym przekonaniem. .

— Czy pani nigdy nie patrzy do lustra? — zapytał. Spojrzała na niego poważnie:

— Rzadko i niechętnie. Nie podobam się sobie.

— Nic dziwnego, skoro pani pozwala się tak oszpecać. Czy pani nie ma pokojówki, która powiedziałaby pani, jakie nietwarzowe suknie pani nosi?

— Nie, nie mam pokojówki — nie potrzebuję jej.

Ależ tak, bardzo pani potrzebuje, bardziej niż pani sądzi! Twarz Rosemarie wyrażała ból.

— Proszę, zostawmy to — pomówmy raczej o celu mojej wizyty. Przyszłam, aby panu oświadczyć, że chcę zostać pańską żoną.

Spojrzał jej w oczy badawczo i cicho zapytał:

— Mimo, że pani powiedziano, że zamążpójście oznacza rychłą śmierć?

— Mimo tego! Nie myślę wcale o prawdziwym małżeństwie. Możemy żyć obok siebie jak dwaj dobrzy przyjaciele. Nie pragnę niczego innego niż pomóc panu w trudnej sytuacji, chcę aby pan odzyskał wiarę w siebie!

— Dlaczego chce pani ponieść taką niesłychaną ofiarę? — zapytał. Spąsowiała i spuściła oczy. Mocno zacisnęła ręce, które lekko drżały. Ale po chwili opanowała się i pozornie spokojnie odpowiedziała, nie patrząc mu jednak w oczy:

— Dlaczego? Jest wiele powodów. Moje życie nabrało teraz treści. Poza tym, mój ojciec bardzo pana kochał — tak bardzo, że kiedyś mi powiedział, iż życzyłby sobie, aby pan został jego zięciem. Myślałam dużo o tym. Waldeck będzie miało takiego następcę mojego ojca, jakiego on sobie życzył. Ale i ja stawiam pewne warunki.

— Czy wolno mi poznać te warunki? — zapytał Henner zaciekawiony.

— Tak. Musi mi pan przyrzec, że będę miała całkowitą swobodę, kiedy zostanę pańską żoną. Nie chcę więcej słyszeć o jakiegokolwiek trosce o moje zdrowie — nienawidzę tego! Chcę wreszcie żyć, a nie wegetować. Chcę spędzać czas według własnej woli: jeździć konno, grać w tenisa, wiosłować i tańczyć. Chcę też podróżować. A ponieważ nie mogę tego robić sama, będę prosić, aby mi pan towarzyszył. Marzę o tym, aby poznać świat, chodzić na koncerty i do teatru. Chcę poznać ciekawych ludzi — krótko mówiąc, chcę żyć tak, jak żyją inni moi rówieśnicy.

Pan nawet nie wyobraża sobie jakie smutne jest moje życie od śmierci ojca. Już wcześniej, kiedy straciłam matkę, było smutno, ale potem ta troska ciotki o moje zdrowie stała się koszmarem. Na nic mi nie pozwala, kontroluje każdy mój krok —omalże nie pozwala mi oddychać! Wiem, że ciotka życzy mi dobrze, ale we mnie wszystko buntuje się przeciwko takiemu terrorowi. Nie czuję się chora i chcę żyć tak, jak żyją inni ludzie, aż nie padnę ze zmęczenia. Jeżeli to nastąpi parę lat wcześniej — czy to ma jakieś znaczenie? Wolę żyć krócej niż nie żyć wcale. Panie von Teklenburg, proszę mi w tym dopomóc. Jako pańska żona pozbędę się nadzoru ciotki — pan wprowadzi mnie w nowe życie i będzie moim opiekunem i przewodnikiem. Czy zechce pan to dla mnie uczynić?

Skończyła mówić i spoglądała na niego z oczekiwaniem w oczach.

Henner patrzył na jej rozpaloną twarz. Bardzo dobrze ją rozumiał, ale powody, które mu podała nie wydawały mu się wystarczające do podjęcia jej niecodziennej decyzji. Wszystko to mogła mu przecież napisać, a troska i strach o niego musiały mieć jakiś głębszy powód. Nagle poczuł chęć, aby się dowiedzieć, co dla nie znaczy.

— Czy stałe przebywanie ze mną nie będzie dla pani przykre, Rosemarie? Czy czuje pani do mnie tyle sympatii, aby codziennie być ze mną i to na zawsze — zapytał cicho, patrząc na nią badawczo.

Rosemarie ponownie oblała się rumieńcem:

— Lubię pana jak przyjaciela, jak brata. Zawsze pan był miły wobec mnie, jeszcze wtedy, kiedy byłam dzieckiem. Mam do pana pełne zaufanie i ze spokojem powierzę panu mój los. Będziemy żyli obok siebie jak wierni przyjaciele, jak dobrzy druhowie.

Henner miał ochotę uśmiechnąć się na jej nieznamość świata. Jak ona sobie wyobraża małżeństwo ze mną? Jednocześnie wzruszyła go jej niewinność.

Rosemarie powiesiła kapelusz na oparciu krzesła. Promyki słońca padały na jej kasztanowe warkocze. Starał się wyobrazić sobie, jak mogłaby wyglądać w twarzowej fryzurze. Zaczął studiować jej twarz. — nie była piękną, ale rysy miała regularne i delikatne. Po raz pierwszy zauważył, że ma ładne usta. A oczy, te dziwne, zamyślane, duże oczy z długimi rzęsami i ładnymi łukami brwi od dawna podziwiał.

Spojrzał na jej figurę, ale brzydka, źle uszyta i nietwarzowa suknia nie zdradzała jej kształtów. Widać było tylko, że była szczupła i trzymała się prosto. Jak wyglądałaby, gdyby dano jej odpowiednią do jej osobowości ramę? Gdyby ją ubrano gustownie i modnie?

Miał ochotę dokonać takiej zmiany. Zawsze wykazywał duże zrozumienie dla elegancko ubranych dam i liczono się z jego zdaniem.

Westchnął mówiąc:

— Rosemarie, przychodzi pani do mnie z pełnymi rękami. To co ja mogę ofiarować pani, jest zawstydzająco małe. Oczywiście, spełnię wszystkie pani warunki. Rozumiem, że tęskni pani za radościami życia i udostępnię pani wszystko, co mogłoby pani sprawić przyjemność. Pani musi mi jednak przyrzec, że nie nadweręży pani swoich sił — to nawet dla zdrowych, silnych ludzi nie jest wskazane.

Jestem jednak przekonany, że pani jest całkowicie zdrowa. Moim zadaniem będzie przekonanie pani o tym.

Chcę pani też udowodnić, że nie jest pani brzydka. Proszę mi przyrzec, że pozwoli pani, abym w przyszłości decydował o pani strojach i uczesaniu, dopóki sama nie nauczy się pani gustownie ubierać.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem rzekła:

— Jeśli pan sobie tego życzy, chętnie to obiecuję. Mogę zrozumieć, że byłoby panu nieprzyjemnie pokazywać się w towarzystwie źle ubranej osoby.

Uśmiechnął się i zaprzeczył głową:

— Źle pani rozumiała moją prośbę. Wyraziłem to życzenie nie z powodu siebie, lecz z powodu pani. Oczywiście, lubię dobrze ubranych ludzi — wymaga tego moje poczucie estetyki. Ale głównie chodzi mi o to, aby panią przekonać, że może pani wyglądać bardzo ładnie — nawet pięknie. Uczesanie i stroje czynią cuda, jeżeli są odpowiednio dobrane.

Odwróciła głowę, zacisnęła usta i szepnęła:

— Będzie to daremny trud, ale to miło z pańskiej strony, że chce go pan sobie zadać.

Wziął ją za rękę i pocałował. Po raz pierwszy dostrzegł, że miała długie, ładne palce i delikatne dłonie. Czuł, że jej ręka drżała.

— A więc mogę naprawdę nazywać panią moją narzeczoną? Czy po tym wszystkim, czego dowiedziała się pani o mnie, uważa mnie pani za godnego, abym został pani mężem?

Skinęła głową i odetchnęła z widoczną ulgą.

— Tak! Myślę tylko, że postąpiłam nieroztropnie przychodząc do pana. Aleja naprawdę nie wiem, co wolno, a czego nie, skoro wszystko jest mi zabronione. Czasem myślę, że nie wolno mi oddychać. Ciotka Herta będzie się bardzo gniewać, kiedy się o tym dowie. Ale ja tak strasznie bałam się o pana. Powiem szczerze — obawiałam się, że pan dzisiaj robi to, czemu przeszkodził wcześniej pański służący. Strach nie pozwolił mi się długo zastanawiać, jak w odpowiedniej formie odpowiedzieć panu, że przyjmuję pańskie oświadczenia.

Do głębi wzruszony patrzył w jej ładne, zawstydzone oczy:

— Nigdy nie zapomnę co pani dla mnie zrobiła i co pani jeszcze chce zrobić. Ja również zrobię wszystko co leży w mojej mocy, aby pani była zadowolona i szczęśliwa. Mam nadzieję, że chociaż częściowo będę mógł spłacić mój dług wobec pani.

— Proszę o tym w ogóle nie myśleć i nie mówić nic więcej. Jestem szczęśliwa, że mogę panu pomóc i że pan zechce mi pomóc poznać i używać życia. Teraz muszę już iść. To co mamy jeszcze do omówienia, możemy zrobić w Waldeck.

Wstała i sięgnęła po kapelusz. Henner podszedł do niej:

— Zawiozę panią do domu, Rosemarie? Czy pani pozwoli? Uśmiechnęła się i rzekła:

— Och, tak — cieszę się, że pan ze mną pojedzie. Musi pan dodać mi otuchy — jednak boję się trochę ciotki Herty. Kiedy mi powiedziała, że pana odprawiła, byłam bardzo zła i gwałtowna. Ciotka płakała. Ale teraz będzie mi trochę trudno powiedzieć jej co zrobiłam. Ona nie ma pojęcia, że poszłam do pana, sądzi że jestem w parku.

— Pani von Ribnitz niewątpliwie będzie próbowała namówić panią, aby pani zrezygnowała z małżeństwa — powiedział Henner.

— Och, to jej się nigdy nie uda, chociaż nie będzie mi łatwo powiedzieć jej o tym wszystkim.

Henner ujął jej rękę w swoje dłonie:

— Pojadę z panią Rosemarie. Razem staniemy przed pani ciotką, a ja powiem to, co należy powiedzieć.

Odetchnęła z ulgą:

— Naprawdę chce pan to zrobić? Ach, jak się cieszę!

— Dlaczego pani nie powiedziała mi, żebym z panią poszedł do pani ciotki? — zapytał z wyrzutem w głosie.

— Nie wiedziałam, czy mogę pana o to prosić, panie von Teklenburg.

Ponownie pocałował jej drobną dłoń.

— W przyszłości proszę wszelkie trudne sprawy kłaść na moje barki, Rosemarie. A skoro jesteśmy zaręczeni, nie jestem już panem von Teklenburg, prawda? Musimy mówić do siebie „ty”.

Speszona podniosła na niego oczy mówiąc cicho:

— Masz rację, Hennerze — przecież jesteśmy druhami na całe życie!

— Dziękuję ci, Rosemarie — kochana Rosemarie. Najchętniej wziąłby ją w ramiona i pocałował. Nie musiałyby się do tego zmuszać. Ale tutaj, w jego mieszkaniu, nie chciał sobie pozwolić na poufałość — nie było to odpowiednie miejsce. Pocałował ją jeszcze raz w rękę i podał jej ramię:

— Chodź, Rosemarie — moje mieszkanie nie jest przystosowane do przyjmowania takich gości jak ty. Pokoje są umeblowane byle jak.

Rosemarie jeszcze raz spojrzała za siebie — na biurko Hennera. Na pewno siedział tam niejedną godzinę zastanawiając się nad swoim losem. Może siedział tam również tego dnia, kiedy chciał odebrać sobie życie? W duchu podziękowała Bogu, że do tego nie doszło.

Ukrywając wzruszenie szła obok Hennera — jako jego narzeczona.

Przy drzwiach stał na baczność Kulitz. Henner zatrzymał się i rzekł: — Kulitz — panna Rosemarie von Waldeck jest moją narzeczoną. Jesteście

pierwszym człowiekiem, który się o tym dowiaduje. Nikt nie może wiedzieć, że moja narzeczona była dzisiaj w Teklenburgu.

Kulitz stał nieruchomo i milczał, ale widząc radosną twarz swojego pana rozpromienił się:

— Proszę o pozwolenie, abym mógł złożyć łaskawemu panu i łaskawej paniencie moje gratulacje z okazji zaręczyn. Rosemarie impulsywnie podała rękę wiernemu słudze.

— Dziękuję wam Kulitz. Pan von Teklenburg mówił mi, że nie opuściliście go, kiedy nadeszły gorsze czasy i — wahając się spojrzała na Hennera i szybko dodała — nawet w najtrudniejszej godzinie. Czytałam, co wtedy napisaliście, Kulitz, i serdecznie wam dziękuję! Zawsze zostaniecie z nami i dostaniecie dobrą posadę. Takich wiernych służących zatrzymuje się na całe życie.

Kulitz spiekł raka; niezgrabnie ale ostrożnie trzymał w spracowanej ręce delikatną dłoń młodej damy.

— Dla mojego łaskawego pana pójdę nawet w ogień, łaskawa panienko, bo zrobił mi wiele dobrego. Ale o tym łaskawy pan nigdy nie mówi. Wiem jednak, jak wiele mu zawdzięczam.

Henner położył rękę na ramieniu ordynansa:

— Nie mówmy o tym, Kulitz! Jak przyjdzie do rozrachunku, to korzyść będzie po waszej stronie!

Zwracając się do Rosemarie rzekł:

— Kiedyś musisz obejrzeć nasz ogród, Rosemarie! Wszystko co tam rośnie i kwitnie, Kulitz wyczarował z niczego. Teraz musimy wracać — na pewno w domu czekają na ciebie. Kulitz — nie wiem kiedy wrócę!

— Wedle rozkazu, łaskawy panie! Trzymając się pod rękę powoli szli ku rzece.

Henner spojrział na swoje ubranie — miał na sobie szary garnitur. Nie pasował na uroczystość zaręczynową, ale czy to jest ważne? Wątpił, że odbędzie się prawdziwa uroczystość. Jego zaręczyny z Rosemarie odbyły się w tak niecodziennych okolicznościach, że ubiór naprawdę nie miał teraz żadnego znaczenia.

Pomógł Rosemarie wejść do łodzi. Kiedy usiadła, podał jej jedwabny szal, który tam zostawiła.

— Proszę cię, okryj się — dzisiaj nad wodą jest chłodno. Uśmiechając się zapytała:

— Czy chcesz mi przypominać, że muszę się pilnować i dbać o zdrowie, tak jak robi to ciotka Herta?



— Nie, ale wiosłując zgrzałaś się, a teraz będziesz siedzieć bez ruchu — to jest różnica.

Nic nie mówiąc okryła się szalem.

Usiadł, uchwycił wiosła i popłynęli wzdłuż rzeki. Milczeli, ale od czasu do czasu spoglądali na siebie poważnie i w zamyśleniu. Czym bardziej zbliżali się do Waldeck, tym bardziej przerażoną minę miała Rosemarie. Henner wiedział, że bała się spotkania z ciotką. On nie bał się pani Ribnitz. Był zdecydowany, że nie pozwoli sobie odebrać Rosemarie i przygotowany do walki.

## Rozdział dwunasty

Tego dnia pani Herta von Ribnitz sama usiadła do stołu, ponieważ jak jej powiedziano — Rosemarie nie wróciła jeszcze z parku. Ciotka czekała na nią do ostatniej chwili. Nie miała apetytu, była zdenerwowana i niespokojna. Z trudem przełknęła co nieco.

Po obiedzie natychmiast poszła do swojego gabinetu. Nie mogła się skupić. Nieustannie myślała o gwałtownym wybuchu Rosemarie, kiedy usłyszała o oświadczeniach pana von Teklenburg. Była wtedy zupełnie odmieniona. Nie była to już apatyczna, bezwolna istota poddająca się wszystkim jej rozkazom. Czy to był chwilowy nastrój, czy początek stałej przemiany? Czy będzie mogła urzeczywistnić swój plan, czy też ta zmiana w zachowaniu Rosemarie nastreczy jej w przyszłości kłopotów?

A jeżeli nie — to niepotrzebnie robiła sobie wyrzuty sumienia. A jednak nagle wydawało jej się, że to co postanowiła było niesłychanie ryzykowne. Nie mogła odzyskać równowagi ducha i była zupełnie roztrzęsiona.

Z niepokojem czekała na powrót Rosemarie z parku. Siedziała przy oknie i ta zawsze zajęta kobieta beczynn timerzymała ręce na kolanach.

Ale Rosemarie nie wracała — a czas mijał tak powoli!

W końcu nie wytrzymała — zdecydowanym ruchem wstała i wyszła do parku, aby poszukać siostrzenicy.

Niedaleko była altanka, gdzie Rosemarie chętnie siadywała. Ale nie było jej tam. Również jej ulubione miejsce na starej lipie było puste. Gdzie mogła być?

Może siedzi na ławce nad rzeką?

Pani von Ribnitz zawróciła i szybko poszła przez park w kierunku rzeki. Nagle usłyszała kroki na bocznej ścieżce i tam się skierowała. Kiedy wyszła z za dużego ozdobnego krzewu, stanęła jak wryta i nie dowierzając własnym oczom patrzyła na zbliżające się dwie postacie.

Ręka w rękę, jak gdyby należeli do siebie, szli naprzeciw niej Rosemarie i Henner von Teklenburg. Dwoje ludzi, których chciała rozdzielić za wszelką cenę. Młoda dziewczyna była blada i speszona, ale Henner szedł obok niej dumnie wyprostowany i wyglądał spokojny i opanowany.

Zbliżyli się do nieruchomo stojącej pani von Ribnitz, która ze strachu nie wiedziała co robić. Dopiero kiedy stanęli tuż przed nią, wyciągnęła przed siebie ręce, jakby w obronnym ruchu. Była śmiertelnie blada i miała szeroko otwarte oczy.

— Co to ma znaczyć? Jakim prawem wszedł pan do parku Waldeck, panie von Teklenburg — zapytała ochrypłym głosem.

Henner dostrzegł jej przerażenie. Ukłonił się i mocniej przycisnął do siebie ramię Rosemarie.

— Przypląnąłem łodzią, łaskawa pani. Pozwalam sobie przedstawić się pani jako narzeczony pani siostrzenicy, panny Rosemarie von Waldeck. Rosemarie jest moją narzeczoną.

Słowa Hennera trafiły panią von Ribnitz jak grom z jasnego nieba. Wydała najpierw jakieś nieartykułowane dźwięki, a potem z dziką złością zaczęła krzyczeć:

— Nie, nie. To nie jest prawdą — to nie może się stać! Nie ma mowy o zaręczynach! Protestuję! To niesłychane i karygodne, że pan podstępem zakradł się tutaj po tym, co panu powiedziałam. Po tym, kiedy stanowczo odrzuciłam pańskie oświadczenia. Słodkimi słówkami omamił pan biedne dziecko. Czy pan chce Rosemarie zamordować? Nie znajduję słów, aby określić pana bezwstydne postępowanie. Świadczy to o pana podłym charakterze. Tylnymi drzwiami wśliznął się pan tutaj, aby fałszywymi miłosnymi wyznaniemmi zwabić w swoje sidła to biedne dziecko!

Henner podniósł rękę rozkazującym gestem.

— Łaskawa pani, proszę się liczyć ze słowami! Pani jest wzburzona, dlatego niejedno pani daruję. Ale ataki na moją uczciwość z całą stanowczością będę odpierał i nie pozwolę, aby mnie pani obrażała — powiedział z dużym naciskiem zaledwie trochę podnosząc głos.

Przepełniona nienawiścią Herta von Ribnitz podeszła jeszcze o krok bliżej, krzycząc:

— Pan nie będzie mi rozkazywał co mam mówić. Pańskie zachowanie nie świadczy o pańskiej uczciwości. Rosemarie, moje biedne dziecko, chodź do mnie! Pozwoliłaś się omamić oszustowi, który jak lis zakradł się do gołębnika! Chodź, moje dziecko!

Wahanie Rosemarie nagle zniknęło. Wyprostowała się, stanęła przed ciotką i odważnie patrząc w jej z nienawiści wykrzywioną twarz, powiedziała stanowczym głosem.

— Krzywdzisz Hennera, ciociu Herto i musisz cofnąć wszystkie twoje obelgi. Henner mógł jednym słowem udowodnić, że jest niewinny, ale tego nie zrobił, aby mnie ochronić. Nie zniosę, abyś go posądzała o takie rzeczy i żebyś mu robiła niesłuszne zarzuty. Wcale nie zakradł się do naszego parku — przypląnął ze mną łódką do Waldeck. To ja byłam u niego w Teklenburgu, aby mu powiedzieć, że chcę zostać jego żoną i tam właśnie zaręczyliśmy się.

Pani von Ribnitz słuchała tych słów jak skamieniała. Na jej twarzy widać było niepohamowaną złość, a w oczach miała nienawiść.

Henner nie potrzebował już żadnych innych dowodów na to, że pani von Ribnitz nie chciała dopuścić do zamążpójścia Rosemarie nie ze względu na jej zdrowie, ale z zupełnie innych powodów. Odczuł głębokie współczucie dla swojej narzeczonej — przeczuwał, że była ofiarą niecnej gry.

Ostro i badawczo patrzył w zniekształconą nienawiścią twarz Herty von Ribnitz, która kilka chwil nie mogła wymówić ani słowa. Ale potem wyrwał jej się z ust okrzyk:

— Rosemarie, ty oszalałaś! Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie, ciociu Herto! Wiem dokładnie co robię i co zrobiłam — powiedziała spokojnie i stanowczo.

Pani von Ribnitz nie dała za wygraną:

— Nie, ty nie wiesz co robisz. Chcesz paść ofiarą mężczyzny, który pragnie wyłącznie twojego majątku. Wcale mu nie chodzi o ciebie.

Okłamuje cię mówiąc ci o miłości — uwierz mi, dziecko! On kocha wyłącznie twoje pieniądze, a nie ciebie!

Rosemarie była blada, ale zupełnie spokojna i opanowana.

— Ciociu Herto, uspokój się, przestań ubliżać Hennerowi i podejrzewać go o nieczne zamiary. Nie okłamał mnie ani jednym słowem. Zrozum — postanowiłam sama wziąć los w swoje ręce. Nie ponosisz już żadnej odpowiedzialności za mnie. Twoje życie stanie się lżejsze, ponieważ Henner szybko nauczy się zarządzać majątkiem Waldeck i uwolni cię od ciężkich obowiązków. Będiesz mogła wreszcie odpocząć.

Herta von Ribnitz roześmiała się ironicznie, a w oczach jej pojawił się złowrogi błysk.

— Ach tak! A więc zostanę usunięta na bok! To ma być podziękowanie za moją pracę, za te wszystkie lata, kiedy troszczyłam się o twój majątek. Murzyn zrobił swoje! Ale ja nie dam się tak po prostu odsunąć. Pan von Teklenburg nie będzie miał lekkiej przeprawy ze mną — krzyknęła głośno, nie panując nad sobą.

Widząc jednak przerażoną twarz Rosemarie i podejrzany wyraz oczu Hennera skupiła wszystkie siły i trochę spokojniej dodała:

— Nie pozwolę, abyś ślepo poszła za tym człowiekiem, Rosemarie. Jest moim obowiązkiem, aby cię ochronić przed popełnieniem głupstwa. Twój ojciec powierzył mi ciebie i Waldeck — a widzę, że jesteś zagrożona i ty, i Waldeck. Jako zastępczyni twojego ojca zabraniam ci tego związku!

Rosemarie spokojnie potrząsnęła głową.

— W zupełności zgadzam się z moim ojcem, ciociu Herto. Ojciec życzył sobie, aby Henner został jego następcą i spokojnie powierzyłby mu mnie i

Waldeck. Twoja zgoda na małżeństwo nie jest mi potrzebna — wiesz to tak dobrze jak ja. Jestem pełnoletnią panią Waldeck i mam pełne prawa sama decydować o wszystkim, a moje postanowienie jest nieodwołalne i ostateczne.

Herta von Ribnitz zacisnęła pięści i ponownie wybuchnęła gniewem:

— A więc to ma być podziękowanie za moją ofiarę? Po to straciłam najlepsze lata mojego życia i pracowałam od rana do nocy! Po to nawet zmusiłam syna do studiów rolniczych wbrew jego woli — po to, aby ci mógł w przyszłości pomóc. Nic nie było mi zbyt trudne dla ciebie i dla Waldeck. A teraz zostaniemy usunięci, ja i mój syn, jak niepotrzebny balast. To ma być podziękowanie?!

Rosemarie przez chwilę zastanawiała się, czy nie zdradzić, że rozmawiała już z Heinzem w sprawie pensji dla niego. Ale nie chciała uprzedzać wuja Steinau. Nie przyszło jej na myśl, że ciotka tymi słowami zdradziła się, jakie były właściwe motywy jej postępowania. Widział to tylko Henner, który nie spuszczał oka ze zdenerwowanej kobiety i omalże czytał jej myśli.

Zarzuty ciotki Herty spowodowały, że Rosemarie poczuła się niewdzięczna, ale to nie miało wpływu na jej postanowienie.

— Proszę cię jeszcze raz, ciociu Herto, uspokój się. W zdenerwowaniu mówisz rzeczy, w które sama nie wierzysz. Oczywiście, nie ma mowy żebym ciebie i Heinza odsunęła na bok. Henner zastąpi cię gdyż dotychczas już dosyć się napracowałaś. Będzie ci w przyszłości lżej i lepiej. Pogódź się z myślą, że zostanę żoną Hennera. Resztę można będzie załatwić, jeżeli spokojnie o tym porozmawiamy.

Pani von Ribnitz westchnęła głęboko i pomyślała: Ona go kocha, jestem bezsilna i nie potrafię z tym walczyć.

Przekonała się, że przegrała, a przy tym Henner cały czas baczenie ją obserwował i miała wrażenie, że zna jej myśli. Nagle poczuła się słaba i bezwolna. Przycisnęła rękę do skroni, spojrzała półprzytomnie na Rosemarie i odezwała się bezbarwnym głosem:

— Nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej. Muszę odpocząć. Muszę się zastanowić nad tym co zrobiłaś — jak skrzywdziłaś mnie i siebie. W każdym razie pan von Teklenburg powinien nas teraz opuścić — nie mogę wam dłużej towarzyszyć. Chodź ze mną do domu, Rosemarie, przecież w tej sprawie jeszcze nie zostało powiedziane ostatnie słowo.

Widać było, że Rosemarie boi się zostać sama z ciotką. Henner wiedział, że pani von Ribnitz będzie dalej nalegać, aby Rosemarie zmieniła postanowienie. Poczuł, jak ramię Rosemarie mocniej przywarło do niego, jakby szukając pomocy. Spokojnie uściśnął jej rękę i szybko powiedział:

— Jestem też tego zdania, że powinna pani odpocząć. Rosemarie jest teraz bezpieczna w moim towarzystwie. Zaraz pojedziemy do Steinau, aby się przedstawić jako para narzeczonych. Powiemy, że pani nie czuje się dobrze i nie może nam towarzyszyć. Nasze zaręczyny odbyły się w tak niecodziennych okolicznościach, że i tę wizytę możemy złożyć bez pani.

Jeszcze raz Herta von Ribnitz próbowała walczyć.

— Przecież na to jest czas, póki sprawa nie zostanie ostatecznie uregulowana. Rosemarie potrzebuje spokoju, a poza tym nie powinna swojej reputacji jeszcze bardziej narażać na szwank, niż to już zrobiła.

Rosemarie uśmiechnęła się z rezygnacją:

— Niepotrzebnie martwisz się o moją reputację, ciociu Herto! Wszyscy ludzie w okolicy wiedzą, że jestem chora. W Steinau nie musimy się obawiać krytyki. Znają i mnie i Hennera bardzo dobrze. Wcale nie poczuwam się do winy.

— A więc rób co chcesz! — krzyknęła pani von Ribnitz i poszła w kierunku zamku, nie obejrzawszy się ani raz.

Narzeczeni stali i milcząc patrzyli na nią. Henner delikatnie wziął rękę Rosemarie i zapytał:

— Czy bardzo bolało, Rosemarie?

Uśmiechając się zaczerpnęła powietrza i odpowiedziała:

— Było gorzej niż oczekiwałam, ale mam to już za sobą. Ciotka Herta uspokoi się. Wygadywała dziwne rzeczy — niektórych jej słów nie mogłam zrozumieć, ale myślę, że ona sama nie wiedziała co mówi. Co miało znaczyć to „usunięcie”. Przecież o tym nie ma mowy!

Henner mógłby jej wytłumaczyć, ale milczał. Powiedział natomiast:

— Gdybym ci był mógł zaoszczędzić tej sceny Rosemarie! Niewiele mogłem zrobić dla ciebie!

— Och, byłeś przy mnie — to dodało mi odwagi.

— Wszystko to musiałaś znieść z powodu mnie — dodał cicho. Potrząsnęła głową i gwałtownie zaprzeczyła:

— Och, nie — również z powodu samej siebie. Chcę się uwolnić, całkowicie uwolnić od przymusu ciotki Herty i uzależnienia od jej woli.

— Zapominnasz, że w przyszłości będziesz znowu zależna — w pewnym sensie — ode mnie.

Rosemarie spłoszowała. Gdyby wiedział, co chciała powiedzieć, co dyktowało jej serce: — jestem taka szczęśliwa, że należę do ciebie i ta zależność wcale mi nie ciąży — ale rzekła tylko:

— Zapewniłeś mi wolność — tak jak tego pragnęłam. Ale teraz jedźmy do Steinau, to była dobra myśl!

Szli za panią von Ribnitz ku zamkowi. Kiedy doszli do bramy, ciotka Herta już zniknęła w budynku, a przy portalu stał lokaj. Rosemarie poleciła, aby zaprzągnięto konie i usiadła z Hennerem w obszernej sieni. Lokaj miał spieszoną minę:

— Zaraz zawiadomię łaskawą panią — mówiąc to chciał pójść do gabinetu pani von Ribnitz.

— To zbyt uczynne, proszę wykonać moje polecenie — rzekła Rosemarie stanowczym tonem.

Lokaj zaskoczony odpowiedział:

— Łaskawa pani kazała natychmiast zameldować, gdyby łaskawa panienka chciała wyjechać.

— Słyszeliście, co rozkazała łaskawa panienka? Ruszajcie i wykonajcie polecenie bez wahania! Pani von Ribnitz nie musi przedtem być powiadomiona — ostrym tonem odezwał się Henner.

Lokaj patrzył na niego, jak gdyby chciał powiedzieć: a co on ma tutaj do gadania?

— Czy będziemy długo czekać — zawołał Henner, groźnie patrząc na zdumionego lokaja. Ten zdecydował się wydać polecenie, aby zajechał powóz, ale potem szybko poszedł do pani von Ribnitz. Gdy otworzył drzwi do jej gabinetu, zniecierpliwiona odezwała się:

— W porządku — wiem!

Kilka minut później zajechał powóz. Henner pomógł Rosemarie usiąść i okrył ją płaszczem.

Ku zdumieniu lokaja pan von Teklenburg usiadł obok Rosemarie. Mina lokaja bardzo ją rozbawiła. Odezwała się do niego z uśmiechem.

— Proszę powiedzieć łaskawej pani, że z moim narzeczonym pojechałam do Steinau. Poza tym proszę powiadomić służbę, że pan von Teklenburg jest moim narzeczonym i przyszłym panem Waldeck. Od dzisiaj wszystkie jego polecenia muszą być tutaj respektowane.

Trudno opisać wyraz twarzy lokaja. Zdołał tylko nisko uklonąć się, a potem pospieszył, aby otworzyć bramę. Kiedy powóz wyjechał z parku, zagwizdał cicho patrząc w okna gabinetu pani von Ribnitz.

Aha! Coś się dzieje! Przewrót pałacowy! Dlatego łaskawa pani siedzi taka ponura w swoim pokoju. No, teraz powieją tutaj inne wiatry.

Mnie jest obojętne, czyje rozkazy wykonuję, dopóki mam tutaj dobre życie.

Takie myśli krążyły po głowie starego lokaja, który świadom, że ma przekazać ważną wiadomość, poszedł do pomieszczeń służby i oznajmił nowinę opatrzoną własnym dramatycznym komentarzem.



## Rozdział trzynasty

Hilda von Steinau siedziała na balustradzie werandy, wśród kwiatów. Zatykała uszy palcami i głośno powtarzała francuski wiersz, którego musiała nauczyć się na pamięć. Od czasu do czasu wzdychała i bębniła nogami w balustradę. Raz po raz zaczynała deklamować, ponieważ obiecała mademoiselle, że będzie pilna, żeby mieć wakacje zawsze wtedy, kiedy przyjedzie Heinz. Mademoiselle przyrzekła, o ile nie będzie miała powodu do skarg.

— No — jeszcze raz muszę powtórzyć i w końcu zapamiętam — dodawała sobie odwagi i zaczynała od nowa. Nogami wybijała rytm wiersza.

Poszło gładko — kiedy skończyła wyjęła palce z uszu i rzekła sama do siebie: No, wreszcie mam to za sobą — i zamknęła książkę. Kiedy zgrabnym ruchem rzuciła książkę na stół posłyszała turkot kół. Obejrzała się i zauważyła powóz z Waldeck.

Zeskoczyła z balustrady i pobiegła naprzeciw nadjeżdżającym gościom. Spotkała ich w bramie parkowej.

Zdziwiona zobaczyła Rosemarie, a obok niej Hennera.

— Witaj, Rosemarie — dzień dobry, panie Hennerze! Cieszę się, że przyjechaliście. Właśnie skończyłam zadanie. Ale jak to — jesteście sami, Rosemarie? A gdzie twój wierny cień, ciocia Herta?

— Nie czuje się dobrze — rzekła młoda dama.

— Coś takiego! — zaśmiała się Hilda. No, wiecie, będzie o wiele przyjemniej. Ciotka Herta za bardzo kocha dworski ton — zawsze trzeba uważać co się robi i co się mówi.

— A to przychodzi tobie z trudem, Hildo — przekomarzał się Henner. Hilda nadała się:

— No, wie pan, panie Hennerze, gdyby ciotka Herta dowiedziała się, że Rosemarie zwinęła pana w drodze do nas — też nie pochwaliby tego.

— Mylisz się, Hildo, mnie nie zwinęto po drodze, jadę prosto z Waldeck.

— Nieprawdopodobne! I ciotka Herta wyraziła zgodę na coś podobnego?

— A dlaczegoż nie miałyby pozwolić? — zapytała Rosemarie trochę speszona.

Hilda zaśmiała się głośno:

— Po pierwsze tak dla zasady! A po drugie i ślepy widziałby, że nie. lubi, kiedy przebywasz w towarzystwie pana Hennera.

— Słuchaj, Hildo! Jesteś sama w domu? zapytał Henner. Hilda znowu zaśmiała się:

— Nie, wszyscy są, ale muszę ich zawołać. Na razie chyba potrafię czynić honory pani domu Steinau — a może sądzicie, że tego nie potrafię?

— Oczywiście, że potrafisz — ale może nam pozwolisz wysiąść. Hilda cofnęła się, wykrzykując:

— Naturalnie, musicie najpierw wysiąść.

— Tak, chcielibyśmy się przywitać z twoim ojcem. Mamy mu coś ważnego do powiedzenia.

Hilda zasmuciła się:

— Och, będę chyba musiała zniknąć jak kamfora. Henner wysiadł i pomógł wyjść z powozu Rosemarie.

— Nie, dzikusie — możesz zostać.

— Dobrze, ale mam nadzieję, że nie będziecie cały czas tacy poważni. Rosemarie, masz rozpalone policzki, a pan Henner wygląda — no nie wiem jak — w każdym razie inaczej niż zwykle. Czy coś się stało?

Śmiejąc się Henner złapał ją za warkocz, spojrzawszy porozumiewawczo na Rosemarie i rzekł:

— Stało się coś nadzwyczajnego, Hildo. Czy możesz utrzymać to w tajemnicy przez dziesięć minut i nieoczekiwaną wiadomość znieść z odpowiednim opanowaniem?

— Jeżeli niczego więcej nie żądacie — oczywiście mogę?

— Wspaniale — a więc wtajemniczymy cię. Spójrz na nas: Rosemarie i ja zaręczyliśmy się.

Hilda spoważniała. Potem popatrzyła na niego i na Rosemarie która była nieco speszona i krzyknęła:

— Och, niewiele brakowało, a dałabym się nabrać. Ciotka Herta przecież twierdzi, że Rosemarie nie może wyjść za mąż!

— Nic podobnego! Może i wyjdzie za mąż. A teraz zaprowadź nas do domu, Hildo.

— Hm! Chwileczkę! Zaraz! A więc naprawdę jesteście parą narzeczonych?

— Tak, naprawdę i prawdziwą parą narzeczonych.

— I ciocia Herta godzi się?

— Nie pozostaje jej nic innego! Hilda wzięła Hennera za rękę:

— Moje serdeczne gratulacje, Hennerze. Rosemarie jest wspaniałym, kochanym człowiekiem i wcale nie jest chora! Ciotka Herta ubzdurzyła sobie to — tak twierdzi papa.

Następnie objęła Rosemarie:

— Słuchaj, Henner jest właściwie moim ideałem — ale to nic nie szkodzi. Cieszę się, że jesteście zaręczeni. No, ale to będzie niespodzianka dla Heinza!

— jemu przecież mogę napisać, prawda? On też przepada za twoim narzeczonym.

— Tak, za dziesięć minut możesz tę tajemnicę ogłosić całemu światu.

— Cudownie! Taka nowina to coś wspaniałego! Wejdźcie! Zaraz włączę dzwonek alarmowy, żeby się wszyscy zbiegli — nie wiem gdzie się podziewają.

Pobiegła przed narzeczonymi i w hallu zaczęła walić w gong, którym zawiadamiano domowników o porach posiłków.

W mgnieniu oka zbiegła się cała rodzina i służba, nawet mały Hansi, prowadzony przez nianię, piszczał z radości.

— Co się dzieje? Hildo, co ma znaczyć ten piekielny hałas? — zapytał Jobst von Steinau.

— Przybyli goście, a nikt się nie pokazuje! Gdybym ja nie czyniła honorów domu, kiepsko wyglądałaby nasza gościnność.

— Hildo! Załatwię ci pracę w straży pożarnej — zaśmiał się baron Haller — bić na alarm naprawdę potrafisz doskonale i głośno!

Lena zaprowadziła gości do salonu. Ona również zapytała o ciotkę Hertę, a Jobst von Steinau był bardzo zdziwiony, że pani von Ribnitz nie towarzyszy Rosemarie. Popatrzył na nią, a potem na Hennera, który nie mógł dłużej milczeć:

— Szanowni państwo! Mam radosną wiadomość: panna von Waldeck zgodziła się zostać moją żoną. Przyjechaliśmy się przedstawić jako para narzeczonych.

Ze wszystkich stron posypały się gratulacje właściwie nikt w Steinau nie był tak całkiem zaskoczony.

Jobst von Steinau objął Rosemarie i Hennera:

— Pan Bóg spełnił moje życzenie, drogie dzieci. Wiem, że jest to też po myśli zmarłego ojca Rosemarie. Jesteście sobie godni i dobry Bóg da, żebyście się zawsze dobrze rozumieli. Ale powiedzcie mi, jak przyjęła tę wiadomość ciotka Herta?

— Źle, bardzo źle, wujku Steinau — westchnęła Rosemarie. Stary pan skinął głową:

— No, mogę sobie to wyobrazić. O jej odczuciu świadczy fakt, że wam nie towarzyszy. Ale to nam nie przeszkodzi urządzić małej uroczystości. Leno, pokaż, że umiesz zaimprovizować ładne przyjęcie.

Rosemarie położyła rękę na jego ramieniu:

— Proszę, zostawcie to! Dziękuję serdecznie, ale my oboje nie czujemy się aż tak dobrze, żeby świętować. Nieprawda, Hennerze, zgadzasz się ze mną?

— Tak, Rosemarie! Jeżeli nam nasi przyjaciele pozwolą spędzić w swoim gronie godzinę — będzie to dla nas najmiłą uroczystością — odpowiedział Henner całując Rosemarie w rękę.

— No dobrze! Stanie się jak sobie życzyście, ale za wasze zdrowie musimy się trącić kieliszkami. Hildo, zamów szampana!

Tak starym dobrym zwyczajem wzniesiono toast za zdrowie narzeczonych.

— Chętnie również zostaniemy na herbacie, Leno — zaśmiała się Rosemarie.

— Wcale nie mieliśmy zamiaru pozwolić wam wcześniej wyjechać

— odparła młoda baronowa.

Zanim podano herbatę narzeczeni rozmawiali z Jobstem von Steinau w jego gabinecie. Rosemarie nie chciała ukryć najmniejszego szczegółu swoich zaręczyn, ani przykrew rozmowy z ciotką Hertą. Prosili starego pana, aby jej pomógł uspokoić ciotkę i starał się ją przekonać że musi się pogodzić z zaręczynami siostrzenicy. Obiecał, że zrobi wszystko co będzie mógł.

— Pojadę z tobą do Waldeck, Rosemarie. Po drodze odwieziemy Hennera do Teklenburga. Lepiej, żeby się dzisiaj już nie pokazywał w Waldeck. Porozmawiam z ciotką Hertą i dam jej okazję, aby się wyżyła. Zaraz potem powiem jej, jak będzie załatwiona sprawa Heine — to będzie właściwy moment. W drodze powrotnej wstąpię do Hennera i wszystko mu opowiem. Mam nadzieję, że jutro pani von Ribnitz przyjmie pana w lepszym nastroju. Kiedy się przekona, że nie może zmienić, ugnie się przed tym, co jest nieodwracalne — ale jeszcze długo będzie się starała czuwać nad Rosemarie.

Pani von Ribnitz miała za sobą kilka strasznych godzin. Za jednym zamachem zawało się wszystko, co tak kunsztownie budowała przez minione lata. Musiała przyznać — choć broniła się przed taką myślą — że nie może nic zrobić, aby Rosemarie zabronić zaręczyć się z Hennerem. Bardziej niż on przekonała się, że tylko miłość mogła doprowadzić do tego, że Rosemarie poszła do zamku Teklenburg, i to głęboka namiętna miłość, która domagała się swojego prawa i której nic nie mogło zniszczyć.

Wszystko co zrobiła było daremne. Na darmo uwikłała się w sieci winy i grzechu, na darmo wszystkie siły poświęciła rozkwitowi majątku Waldeck w nadziei, że jej praca przyniesie korzyść jej synowi. A teraz owoce jej poświęceń i trudu będą zbierać inni! Ona i jej syn znowu staną na uboczu i będą zależni od łaski Rosemarie — a co gorsze, od Hennera von Teklenburg.

Pani von Ribnitz długo przechadzała się po pokoju przyciskając ręce do rozpalonej głowy. Kipiała z nienawiści do Hennera. Była przekonana, że ten człowiek unieszczęśliwi Rosemarie. Będzie ją zaniedbywał, kiedy stanie się

panem jej majątku. Był taki pewny siebie, że nawet nie udawał, iż ją kocha. Próbowła sobie wmówić, że życie jakie chciała stworzyć dla Rosemarie byłoby lepsze niż to, jakie jej da Henner von Teklenburg.

Odzywały się jednak wyrzuty sumienia i skrucha, chociaż broniła się przed nimi: — Zrobiłam to dla mojego syna, a nie dla siebie!

Siedziała przy oknie, kiedy zajechał powóz z Rosemarie i Jobstem von Steinau. Wyprostowała się i wyjrzała przez okno — zobaczyła, że Henner von Teklenburg nie przyjechał.

Odetchnęła i otarła pot z czoła. Dzięki Bogu, że nie będzie musiała z nim rozmawiać. Do Hennera czuła nienawiść, ale równocześnie bała się go. Miała wrażenie, że jego oczy widzą ją na wskroś — jak gdyby była ze szkła.

Będzie ją kosztowało wiele samozaparcia, aby go przyjmować w Waldeck i będzie musiała zebrać na to wszystkie swoje siły.

Kiedy Jobst von Steinau wszedł do salonu, przeraził go wyraz twarzy pani Herty. Wziął ją za rękę i zaczął pocieszać:

— Ależ, ależ, szanowna przyjaciółko, widzę, że bardzo panią wzburzyły te zaręczyny. Pani się jeszcze rozchoruje z powodu niepotrzebnych zmartwień. Proszę się nie przejmować na zapas — wszystko będzie w porządku. Henner stał się spokojnym, roztropnym człowiekiem. Będzie się troszczył o Rosemarie, a panią uwolni od wszelkich zmartwień. Niechże pani pozwoli, aby dobry Pan Bóg pokierował ich losami. Niechże pani nie będzie aż tak zmartwiona.

Patrzyła na niego zgasłymi oczami:

— Proszę mnie nie pocieszać — szkoda pańskich słów. Pan nie wie, co ja czuję!

Pan von Steinau podszedł bliżej, wziął ją za rękę i mimo woli poczuł litość dla załamanej kobiety, która była zawsze taka energiczna i opanowana.

— No, no to przygnębienie minie. Proszę nie myśleć, że Rosemarie okaże się niewdzięczna i nie doceni pani trudu i troski. Przecież ona nie jest taka! Wręcz odwrotnie! Ale kocha Hennera, a jej miłość jest silniejsza niż wszystko inne. Cieszymy się i życzymy jej szczęścia!

— Szczęścia? To ma być szczęście, jeżeli kochająca kobieta oddaje się mężczyźnie, który szczerze wyznaje, że nie oświadcza się z miłości? O nie, panie von Steinau — szczęście wygląda zupełnie inaczej — wiem to lepiej niż pan.

— Każdy człowiek szuka szczęścia na swój sposób. Rosemarie uważa za szczęście to, że może pomóc Hennerowi. W swojej wspaniałomyślności nie szuka szczęścia dla siebie. Proszę mi wierzyć, Henner pokochają za jej dobroć i

ofiarność. Młodzi przysłali mnie do pani jako mediatora, żebym panią uspokoił i przeprosił. Rosemarie czeka, aby ją pani poprosiła do siebie i przebaczyła jej.

Pani von Ribnitz uśmiechnęła się gorzko:

— Cóż jej może zależeć na mnie? Niech robi co chce! Odtrąciła moją opiekę i miłość — nie będę się jej dalej narzucać i żałuję, że okazywałam jej tyle troski. Pod każdym względem ja i mój syn staliśmy się tutaj zbyt tacy. Możemy spakować swoje manatki — a na pamiątkę z Waldeck zabiorę świadomość, że za wszystko co zrobiłam zapłatą jest niewdzięczność.

Pan von Steinau pokręcił głową:

— No, no, co za niemądre gadanie — nie chcę tego słuchać. Jest rzeczą oczywistą, że ma pani w Waldeck dom do końca życia, ślub Rosemarie nic tu nie zmieni. A Heinz? Dla niego to prawdziwe szczęście.

Pani chciała, aby studiował agronomię, a chłopak na to nie ma najmniejszej ochoty — chce zostać oficerem. Opowiadał mi o tym i prosił, abym się wstawił za nim u pani. Jeżeli pani nie pozwoli mu zostać oficerem, będzie nieszczęśliwy przez całe życie. Mężczyzna jest szczęśliwy tylko wtedy, kiedy może robić to co kocha i czemu chce poświęcić swoje siły.

Herta von Ribnitz zaśmiała się gorzko:

— To wcale nie jest takie proste! Gdybym się nawet zgodziła, nie może zostać oficerem. Jak on sobie to wyobraża? Jako oficer musi otrzymywać ode mnie miesięczną pensję, której mu nie mogę zapewnić — jestem żebraczką! Nie mam nic, absolutnie nic!

— Czy to jest pani jedyne zmartwienie? Czy to byłaby jedyna przeszkoda?

Westchnęła:

— Teraz, kiedy nie ma sensu, aby studiował agronomię — tak. Ale to jest zbyt duża przeszkoda — jestem bezsilna, nie mogę mu pomóc!

Stary pan wstał i rzekł zadowolony:

— A więc moja misja jest spełniona — cieszę się, że mogę usunąć tę przeszkodę. Rozmawiałem o tym z Rosemarie, która zna zmartwienie Heinza. Upoważniła mnie, abym pani powiedział, że zaraz wpłaci na jego konto sto tysięcy marek, aby mógł zostać oficerem. Odsetki od tego kapitału wystarczą na dostatnie życie. A pani przecież ma zapewniony byt w Waldeck. Rosemarie ma tylko jedną prośbę: chce aby pani pomogła Hennerowi zapoznać się z zarządzaniem majątkiem. Rosemarie życzy sobie, aby Henner zaraz zaczął pani pomagać i stopniowo odciążał panią, aby pani mogła odpocząć.

Pani Herta słuchała i jej serce na chwilę przestało bić, kiedy pan von Steinau wymienił sumę stu tysięcy marek. Było to wprawdzie mało w porównaniu z tym co chciała zdobyć dla syna, ale było jednak dużo, bardzo dużo w

porównaniu z tym, co miała przed chwilą przed oczami. Odetchnęła — Heinz był dzięki wspaniałomyślności Rosemarie zabezpieczony.

W tej sekundzie zrezygnowała ze swoich planów i marzeń, i była wdzięczna losowi, że tak wszystko ułożył.

Niemniej czuła męczący ból, że obciążyła swoje sumienie tak wielką winą.

Przez chwilę siedziała i milczała. Potem odezwała się cicho:

— Jestem wdzięczna Rosemarie, że chce dla mojego syna zrobić tyle dobrego. Nie mogę odmówić tej wspaniałomyślnej pomocy — bez niej nie mogłabym zapewnić szczęścia mojemu dziecku. W takiej sytuacji matka nie może unosić się dumą. Skoro Rosemarie umożliwi Heinzowi zostanie oficerem, nie mam nic przeciwko temu. Zrobię wszystko co w mojej mocy aby pomóc panu von Teklenburg zapoznać się z zarządzaniem majątku, ponieważ leży mi na sercu, aby Waldeck dostał się w dobre ręce.

Jobst von Steinau rozpromienił się:

— Dzięki Bogu! Wszystko w porządku! Heinz będzie szczęśliwy, a pani niech się rozchmurzy i przestanie się zamartwiać o zdrowie Rosemarie. Nie ma powodu do strachu o jej stan. Prawdopodobnie Rosemarie jest zupełnie zdrowa dzięki wspaniałemu powietrzu Waldeck i pani trosce.

Pani von Ribnitz westchnęła:

— Jaka byłabym szczęśliwa, gdyby miał pan rację, drogi przyjacielu. Oby tak było.

— Może się pani da przekonać i uwierzy w to co mówię. A teraz proszę się pojednać z biednym dzieckiem i proszę jej już nie zamęczać! przesadną opieką.

Polecono lokajowi, aby poprosił Rosemarie.

Kiedy weszła, ciotka Herta zbliżyła się i objęła ją patrząc jej w twarz:

— Obyś była szczęśliwa, Rosemarie. Niech Pan Bóg czuwa nad tobą, abyś w małżeństwie z Hennerem nie zaznała rozczarowania. Cofam wszystko co powiedziałam i wyrażam zgodę na twoje zamążpójście — rzekła szczerze wzruszona.

Rosemarie pocałowała ją i odpowiedziała:

— Dziękuję, ciociu Herto. Nie będziesz ponosić żadnej odpowiedzialności za nic, cokolwiek przyniesie mi życie. Teraz sama odpowiadam za siebie. Chcę żyć według własnych marzeń, obojętnie, czy mi to zaszkodzi i wcześniej umrę.

W słowach Rosemarie było ukryte wzburzenie. Każde jej zdanie pani von Ribnitz odbierała jak ciężki zarzut. Nie mogła wymówić ani słowa — miała ściśnięte gardło.

Z pomocą przyszedł pan von Steinau.

— No, no, moja kochana ~ Rosemarie — kto by teraz myślał o umieraniu. Zobaczysz, że będziesz coraz silniejsza. Jestem pewien, że pod opieką ciotki Herty całkowicie wyzdrowiałaś. Spokój i cisza w Waldeck z pewnością cię wyleczyły.

— Czy rozmawiałaś z ciotką o Henizu, wujku Steinau?

— Tak! Wszystko zostało uzgodnione i ciotka Herta zgadza się, aby Heinz został oficerem.

Pani von Ribnitz wzięła Rosemarie za rękę i powiedziała ze szczerą wdzięcznością:

— Rosemarie, twoim wspaniałym prezentem umożliwisz Heinzowi, aby został oficerem — dziękuję ci, dziękuję z całego serca. To co robisz dla Heinza, robisz dla mnie.

Rosemarie uśmiechnęła się.

— Och, ciociu Herto! Nie ma za co dziękować. Daję Heinzowi tylko to, co ty zarobiłaś w Waldeck. Wujek Steinau mówił mi, że pod twoimi rządami wartość majątku wzrosła co najmniej o sto tysięcy marek. A więc jest sprawiedliwe, że to co ty zarobiłaś, dostanie twój syn. Dzięki Bogu jestem bogata i będę jeszcze mogła wiele zrobić dla ciebie i Heinza.

Pokój został zawarty. Pan Jobst von Steinau pożegnał się, gdyż chciał być w domu przed kolacją.

W Teklenburgu czekał na niego Henner. Stary pan wysiadł i zadowolony powiedział:

— Wszystko w porządku — pani von Ribnitz zmądrzała i jest szczęśliwa, że przyszłość jej syna będzie zabezpieczona. Jeżeli jutro pojedzie pan do Waldeck, zostanie pan tam mile powitany. A teraz muszę wracać, aby ucałować wnuka na dobranoc.

Jobst von Steinau odjechał.

W połowie drogi spotkał Hildę na kucyku — jechała mu naprzeciw.

— No i co, papo? Jak wygląda sprawa Heinza? Czy rozmawiałaś z ciotką Hertą? — wypytywała niecierpliwie.

— Tak, Hildo! Wszystko załatwione. Ciotka Herta ze wszystkim się zgadza.

— Fantastycznie! Papo, jedźmy przez wieś — byłam właśnie na poczcie i nadałam list, w którym zawiadomiłam o zaręczynach Rosemarie.

— No, więc po co mamy tam znowu jechać?

— Ależ, papciu, muszę nadać telegram do Heinza!

— Czy to jest niezbędne? — przekomarzał się stary pan.

— Jak najbardziej! Czy możesz sobie wyobrazić, jaki on jest niespokojny? To są męczarnie, od których trzeba go jak najszybciej uwolnić!



— Hm! No tak! Ale właściwie nie ty jesteś najbliższą mu osobą, która powinna go zawiadomić.

Spojrzała na ojca oburzona i wykrzyknęła wojowniczo:

— Bardzo cię przepraszam! A kto niby miałyby być mu bliższy niż jego przyszła żona?

Stary pan starał się ukryć uśmiech i odparł z powagą:

— No, tak — myślałem tylko, że może jego matka. Zaskoczyło ją to, ale po chwili odpowiedziała:

— Ach, co tam! Ciotka Herta jest dzisiaj zdenerwowana i nie myśli o tym, a ja nie widzę powodu, dlaczego Heinz miałyby się dłużej męczyć. Ciotka Herta nie rozumie go tak jak ja — więc jedźmy. Muszę zaraz nadać telegram — otrzyma go przed kolacją i będzie mógł spokojnie zasnąć.

Stary pan wprawdzie nie chciał jechać do wsi tłumacząc się zmęczeniem, ale w końcu dał się ubłagać.

Na poczcie Hilda napisała bardzo długi telegram.

— To będzie kosztować majątek. Jeżeli opłatę za telegram potrączę z twojego posagu, niewiele ci zostanie.

— Och, papo, nie rób takich żartów!

— Dziecko! Telegram ma być krótki i zwięzły — inaczej poczta za dużo zarobi!

Hilda wzięła drugi blankiet. Zastanawiała się przez chwilę, a potem napisała: „Hura! Zostaniesz oficerem. List w drodze. Hilda”

Ojciec był zadowolony i nawet dopisał: „pozdrowienia wuj Steinau”. W najlepszej zgodzie wracali do domu. Przyjechali do Steinau w porę, aby małego Hansi, wykąpanego i ubranego w ciepłą koszulkę, pocałować na „dobranoc”.

## Rozdział czternasty

Od zaręczyn Rosemarie minęło czternaście dni. Okres ten wydawał jej się snem. Od dnia kiedy była w Teklenburgu, aby powiedzieć Hennerowi, że przyjmuje jego oświadczyzny, nie mogła się jeszcze całkowicie uspokoić.

Henner przyjeżdżał do Waldeck codziennie, i mimo że Herta von Ribnitz najczęściej dotrzymywała im towarzystwa, czasami udało im się spędzić godzinę sam na sam. Rosemarie zaczęła zmieniać tryb swojego życia, a Henner jej w tym pomagał. Kiedy tylko pozwalała pogoda, od rana do wieczora przebywała na świeżym powietrzu: wiosłowała, grała w tenisa i robiła wszystko, na co miała ochotę — zawsze w towarzystwie Hennera. Na jej życzenie kupił dla niej wierzchowca: spokojnego, łagodnego, ujeżdżonego pod damskie siodło.

Tymczasem za zgodą Rosemarie Henner napisał do zaprzyjaźnionej starszej damy w Berlinie i poprosił ją, żeby znalazła wyszkoloną pokojówkę. Prosił, aby ją przysłała do Waldeck.

Od ośmiu dni pokojówka była już w zamku. Henner osobiście dał jej wskazówki, jak ma uczesać Rosemarie i co ma dla niej zamówić w najlepszych domach mody. Poleciał, aby przysłano też strój jeździecki.

Kiedy nadeszły zamówione stroje i kiedy Rosemarie pięknie uczesana przymierzała jedną suknię za drugą, zaskoczona patrzyła na swoje odbicie w lustrze.

Poszła do ciotki Herty, która widząc ją, zaniemówiła. Stała przed nią czarującą młodą damą, do której nie pasowało określenie „brzydka”. Celowo ubierała Rosemarie źle i niegustownie, ale nie spodziewała się, że jest możliwa aż taka przemiana.

Potem przyszedł Henner. Widząc Rosemarie stojącą przed nirr drżącą i speszoną, rozpromienił się z zadowolenia. Wydawało mu się, że z larwy wyfrunął piękny kolorowy motyl. Podszedł do niej, pocałował ją w rękę i cicho zapytał:

— Co powiedziało ci dzisiaj lustro, Rosemarie?

Spasowała i czuła jak mocno bije jej serce. Nie mogła wymówić ani jednego słowa i nie zdawała sobie sprawy, jak pięknie wyglądała w swojej bezradności.

Henner uścisnął jej dłoń, potem przywitał się z panią von Ribnitz. Zaczął omawiać sprawy gospodarskie, aby Rosemarie miała czas i mogła się uspokoić. Stale spoglądał na nią ciesząc się jej widokiem.

Pijąc herbatę rozmawiali we trójkę. Henner okazał się człowiekiem o szerokich zainteresowaniach. Jednak raz po raz jego oczy spoczywały na Rosemarie, a ona czuła jego wzrok i serce waliło jej w piersiach.

Kiedy wstali od stołu i pani Herta wyszła z pokoju, Henner objął narzeczoną i obrócił ją tak, że stanęła przed dużym lustrem i musiała spojrzeć na siebie. Stojąc za jej plecami zapytał czule:

— Gdzie podziało się brzydkie kaczątko, Rosemarie? Czy teraz wierzysz, że nie jesteś brzydka? Ta młoda dama, która stoi przede mną w eleganckiej białej sukni, moim zdaniem jest śliczna i czarująca. Ma najpiękniejsze włosy jakie kiedykolwiek widziałem, a jej oczy są godne podziwu — duże, błyszczące, tylko trochę smutne, jakby wcale nie cieszyły się z tego, co widzą w lustrze.

Rosemarie speszona uwolniła się z jego objęć.

— Nie musisz prawić mi komplementów, Hennerze. Nie jestem do tego przyzwyczajona. Poza tym, to wcale nie pasuje do naszej przyjaźni.

— Ależ tak, Rosemarie, pasuje i to nawet bardzo do tego, co ci obiecałem, że zawsze będę mówił prawdę. Pozwól mi więc mówić to co czuję. Cieszę się jak dziecko, że wyglądasz tak pięknie! A teraz marzę o tym, abym mógł jeszcze udowodnić, że jesteś zupełnie zdrowa.

Ostatnie słowa wymówił z wielką powagą.

Potrząsnęła głową i powiedziała zdecydowanym głosem:

— Nie mów tak, Hennerze! Nie chcę o tym myśleć. Pogładził ją po rękę:

— Nie mówię o twojej chorobie, lecz o twoim zdrowiu — ale zostawmy to, skoro sobie tak życzysz. Chciałbym cię zapytać tylko o jedno: wuj Steinau opowiadał mi o pisemnym orzeczeniu, które wydał berliński profesor mówiącym, że twoja matka chorowała na gruźlicę.

Rosemarie skinęła głową:

— Tak, ciotka Herta dała mi je przed laty i często je czytałam. Nawet dzisiaj rano miałam je w rękach. Ciotka Herta prosiła mnie, abym je odszukała i zwróciła jej.

W oczach Hennera pojawił się błysk, kiedy szybko zapytał:

— Czyba tego jeszcze nie zrobiłaś?

— Nie, ale dlaczego cię to interesuje? Odetchnął głęboko zanim odpowiedział:

— Może to jest taki mój kaprys, ale mam do ciebie prośbę: daj mi to orzeczenie.

— Dlaczego?

— Na razie nie mogę ci odpowiedzieć. Czy zrobisz to dla mnie?

— Oczywiście, tylko powiem o tym ciotce Hercie.

— Proszę cię, nie rób tego. Nie zdradzaj nikomu, że mi je dałaś i nikomu nie wspominaj o czym rozmawialiśmy. Ciotce Hercie też nie!

— A jeżeli mnie zapyta, czy znalazłam to orzeczenie i co z nim zrobiłam?

Henner zastanawiał się. Po chwili rzekł:

— Czy nie mogłabyś ten jeden raz ominąć prawdy? Mogłabyś powiedzieć, że go nie znalazłaś i że z pewnością spaliłaś je z innymi niepotrzebnymi papierami. Kiedyś później powiesz jej prawdę — tylko na razie nie może o tym wiedzieć.

Rosemarie patrzyła na Hennera poważnie.

— Wiem, że bez powodu nie żądałbyś tego ode mnie — postąpię tak jak sobie życzysz. Zaraz przyniosę list profesora, a ciotce nie zdradzę, że dałam go tobie.

— Dziękuję ci, że jesteś gotowa zaspokoić mój kaprys. Uśmiechnęła się:

— Nie wiedziałam, że mieszasz kaprasy. Henner westchnął:

— Och, przekonasz się, że mam jeszcze wiele słabostek. Proszę cię, idź i przynieś mi to. Potem pójdziemy do stajni — musisz obejrzeć twojego wierzchowca. Zawarł już przyjaźń z moim Sleipnerem. Jutro zaczniemy naukę jazdy konnej — strój jeździecki już przysłano.

Minęło kilka tygodni. Nauka konnej jazdy postępowała dobrze i Rosemarie czuła się już tak pewnie w siodle, że mogła wyjeżdżać z Hennerem na dłuższe spacery.

Dzisiaj też jechali obok siebie przez las. Nagle Henner zatrzymał konia:

— Mamy za sobą już kawał drogi — czy to nie za dużo dla ciebie?

— Och nie, jest tak pięknie, że wcale nie czuję się zmęczona. Cieszę się, że mogę wypróbować swoje siły.

— Nie możesz się przemęczać, odpoczniemy trochę. Mamy dosyć czasu przed powrotem do Waldeck, a chciałbym z tobą porozmawiać bez nadzoru ciotki Herty.

Zatrzymali konie. Henner zeskoczył, przywiązał wodze Sleipnera do drzewa i pomógł Rosemarie zsiąść z siodła. Trzymał ją w ramionach dłużej niż to było konieczne i zauważył, że pod jego wzrokiem mocno się zarumieniła i zaczęła drżeć.

Hennerowi również uderzyła krew do głowy. Nie puścił jej z ramion, ale niósł pod rozłożyste drzewo i kiedy ją posadził na trawie, nagle pocałował ją w usta.

Stało się to po raz pierwszy.

Rosemarie miała ochotę śmiać się i płakać z radości, tak bardzo uszczęśliwił ją ten pierwszy pocałunek. Wszystko zawirowało wokół niej. Półprzytomna

patrzyła na rzekę. O czym myślała? Czy gniewała się na niego za to, że ją pocałował?

Gdyby jej mógł powiedzieć pewnego dnia: jesteś zdrowa, wmówiono w ciebie, że jesteś chora i dziedzicznie obciążona — czy wtedy nie obudziłaby się w niej tęsknota za miłością i za prawdziwym małżeńskim szczęściem?

Myśląc tak Henner uświadomił sobie, że ją kocha. Jeszcze kilka tygodni, i Rosemarie zostanie jego żoną. Ta świadomość napełniła go niepokojem i pełną oczekiwania tęsknotą. Patrzył na jej twarz, zamyślane oczy i podziwiał jej młodzieńcze kształty. Nie było w niej niczego, co zdradzałoby chorobę i z radością stwierdził, że jest śliczną, wartą miłości młodą kobietą.

— Gdybym cię mógł uszczęśliwić, Rosemarie! Jest to moim gorącym pragnieniem — rzekł cicho patrząc na nią badawczo.

Rosemarie zarumieniła się i szybko wstała: .

— Musimy wracać, Hennerze, jeżeli się nie pospieszymy nie zdążymy na obiad.

Henner wstał i poszedł za Rosemarie do koni, które spokojnie skubały trawę. Idąc za nią patrzył na jej zgrabną sylwetkę i pomyślał: — Kiedy będę miał pewność, że jest całkowicie zdrowa, będę walczył o jej miłość — kocham ją z całego serca i musi być moją — duszą i ciałem.

Pomógł jej dosiąść konia i podając jej wodze pocałował ją w rękę.

Rosemarie była oszołomiona, szybko włożyła rękawiczki, ale ciągle czuła jego usta na swojej dłoni.

Henner wskoczył w siodło. Jechali znowu obok siebie rozmawiając na obojętne tematy. Nagle Henner powiedział:

— Rosemarie, przez kilka następnych dni nie będę przyjeżdżał do Waldeck.

Pytająco spojrzała w jego twarz:

— Dlaczego nie?

— Muszę odbyć krótką podróż, którą planuję już od dłuższego czasu.

Słyszając te słowa poczuła, że będzie jej go bardzo brakowało.

— Kiedy wyjeżdżasz — zapytała.

— Jutro. Sądzę, że wrócę do soboty.

Nie powiedział nic więcej na ten temat. Rosemarie była przyzwyczajona, że wszystko z nią omawiał i nie mogła zrozumieć, dlaczego musi nagle wyjechać. Nie pytała jednak. Jeżeli sam nie powie, nie będzie badać o co chodzi. Niemniej stale o tym myślała. W ogóle dzień dzisiejszy przyniósł tyle niepokoju — pocałunek Hennera, jego czułe zachowanie wobec niej i ten dziwny, zmieniony wyraz jego oczu. Wszystko to dało jej wiele do myślenia — tak wiele!

O szarych godzinach często marzyła o tym, jak mogłoby wyglądać szczęście, o którym śniła po nocach. Ach, to szczęście wydawało jej się tak pięknym, że sądziła iż w rzeczywistości w ogóle nie istnieje.

Dzisiaj, kiedy Henner opuścił Waldeck i wrócił do Teklenburga, znowu marzyła o takim szczęściu. Wydawało jej się, że poczuła je przez chwilę, kiedy Henner pocałował ją na pożegnanie.

Siedząc samotnie w swoim pokoju zaczęła wyobrażać sobie piękną przyszłość. Kiedy jednak ocknęła się z zadumy, upadła na kanapę i rozpłakała się. Cicho i bez nadziei płakała przez dłuższy czas.

Uspokoiwszy się trochę usiadła przy biurku, aby napisać list do Heinza. Przypomniała sobie orzeczenie profesora z Berlina, o które prosił ją Henner. Na co było mu to potrzebne? Następnego dnia ciotka Herta ponownie pytała o list i Rosemarie odpowiedziała, zgodnie z obietnicą daną Hennerowi:

— Ciociu Herto, chyba go spałam z niepotrzebnymi papierami. Nie mogę go znaleźć!

— Czy dobrze przeszukałaś biurko? — zapytała ciotka.

— Wszystko przejrzałam — nie ma go nigdzie.

Rosemarie to kłamstwo wcale nie wydawało się tak trudne do wypowiedzenia. Pomyślała: — Czego nie zrobiłabym dla niego — ach, Hennerze, Hennerze!

Rozmyślając o tym znowu zapadła w zadumę. Listu do Heinza nie napisała — wszystko przesłoniły jej marzenia.

## Rozdział piętnasty

Henner von Teklenburg siedział w przedziale pociągu pospiesznego, który jechał na południe Niemiec. Był w drodze do małego miasta, w którym matka Rosemarie i Herta von Ribnitz żyły kiedyś w domu swoich rodziców.

W przedziale był sam. Wyjął z portfela list profesora z Berlina, który dała mu Rosemarie.

Nie po raz pierwszy rozłożył poźólkę orzeczenie i uważnie je przeczytał. Krytycznie patrzył na bardzo staranny charakter pisma, który wyglądał na wręcz kaligraficzny. Lekarze przecież zazwyczaj piszą raczej niewyraźnie i często trudno ich odczytać. A ten list napisany był bardzo starannie od początku aż po podpis: dr Soltau.

To jest dziełem laika — z zadowoleniem stwierdził Henner, złożył list i schował go do portfela.

Zaczął wspominać przeszłość. Próbował sobie wyobrazić matkę Rosemarie. Pani Maria von Waldeck była zawsze wesoła, pełna życia.

Ten list wydawał mu się bardzo podejrzany, tak jak całe zachowanie Herty von Ribnitz. A to, że żądała od Rosemarie zwrotu listu, nasunęło mu nowe podejrzenie. Spowodowało to, że zdecydował się zbadać sprawę dokładnie — od chwili kiedy ujrzał list po raz pierwszy.

Po przyjeździe do miasta, wziął samochód i po odszukaniu adresu kazał się zawieźć do mieszkania profesora Soltaua.

Doktor był wysokim tęgim mężczyzną, z bujną siwą czupryną, mądrymi bystrymi oczami, które zza okularów patrzyły na przybysza.

— Pan von Teklenburg — czym mogę panu służyć? — zapytał po przeczytaniu wizytówki.

— Przyszedłem prosić o pewną informację, panie profesorze. O ile mi wiadomo, przed laty był pan lekarzem domowym prezydenta miasta, pana von Hassbach.

— Tak, zgadza się! Było to dosyć dawno temu. Pan von Hassbach i jego żona nie żyją już od kilku lat.

— Pan profesor przypomina sobie, że w rodzinie von Hassbach były dwie panny.

— Oczywiście! Herta i Maria von Hassbach. Herta wyszła za mąż za oficera, pana von Ribnitz, a Maria została żoną barona von Waldeck. Z żalem dowiedziałem się z gazet, że zginęła w wypadku samochodowym. O, dobrze pamiętam obie młode damy, były bardzo ładne.

— Czy pan profesor słyszał w późniejszych latach o pani von Ribnitz? — zapytał Henner.

Profesor zdecydowanie potrząsnął głową:

— Nie, nigdy. Straciłem ją z oczu od dnia kiedy wyszła za mąż i wyjechała? z mężem do odległego garnizonu — nie wiem nawet gdzie to jest.

Henner uważnie patrzył na starego pana.

— Czy pani von Ribnitz nigdy później nie pisała do pana?

— Pisała do mnie? Nie, z całą pewnością nie. Nie rozumiem, z jakiego powodu miałyby do mnie pisać.

Henner czuł mocne bicie serca.

— Zostawmy to, panie profesorze. Muszę wyjaśnić cel mojej wizyty. Córka zmarłej pani Marii von Waldeck jest moją narzeczoną. W okolicy mówi się, że matką mojej narzeczonej w młodości chorowała na gruźlicę i że leczyła się u pana profesora. Mówi się, że ta choroba powstała na skutek zapalenia płuc i tylko tragiczna śmierć sprawiła, że nie zmarła młodo na gruźlicę. Proszę mnie zrozumieć, że chcę dowiedzieć się prawdy. Dlatego przyszedłem do pana profesora, aby zapytać, czy na podstawie kartoteki lub innych dokumentów nie mógłby pan dokładnie poinformować mnie o przebiegu choroby pan Marii von Waldeck — a właściwie Marii von Hassbach.

Doktor Soltau energicznie przytaknął.

— Oczywiście, mogę to zrobić i nie muszę zaglądać do moich ewidencji pacjentów. Ale chętnie udowodnię to swoimi zapiskami. Dokładnie przypominam sobie przebieg jej choroby i mogę panu dać dokładną informację, która uwolni pana od wielkiego zmartwienia. Maria von Hassbach zachorowała na lekkie zapalenie płuc. Choroba przebiegała normalnie i nie pozostawiła najmniejszego śladu, a panna całkowicie wyzdrowiała. Zresztą przy tak wspaniałym zdrowiu tej młodej damy było to do przewidzenia.

— Niemniej troskliwa i przewrażliwiona matka postanowiła, że córka musi następną zimę spędzić we Włoszech, chociaż ja wcale nie uważałem, że jest to konieczne. Może właśnie ta niepotrzebna podróż spowodowała niemądre pogłoski, o których pan mówił. Maria von Hassbach wróciła z Włoch kwitnąca i zdrowa, i zapewniała mnie, że bawiła się tam świetnie. Na życzenie matki zbadałem ją jeszcze raz i znowu stwierdziłem, że jest całkowicie zdrowa. Zaraz potwierdzę to panu czarno na białym. Nie ma pan powodu do najmniejszego zmartwienia. Pańska narzeczoną oddziedziczyła po matce wspaniałe zdrowie.

Henner był tak zdenerwowany, że zbladł. W drżących rękach trzymał zapiski, które po krótkim szukaniu wręczył mu profesor Soltau.

W końcu Henner głęboko odetchnął i wyprostował się.



— Niezmiernie cieszy mnie, panie profesorze, że moje obawy okazały się bezpodstawne. Moja narzeczona nigdy nie robiła na mnie wrażenia chorej i słabowitej. A więc pani von Ribnitz nigdy listownie nie pytała pana, jak wyglądała sprawa choroby jej siostry?

Doktor Soltau potrząsnął przecząco siwą głową:

— Nigdy, panie von Teklenburg — nie miała ku temu żadnego powodu. Wiedziała, że jej siostra jest zdrowa jak rydz! Przecież wręcz wyśmiewała swoją przewrażliwioną matkę!

Henner dowiedział się tego czego chciał. Niemniej jeszcze raz zwrócił się do profesora:

— A więc nikomu pan profesor nie wydawał orzeczenia w tej sprawie?

Profesor spojrział na młodego mężczyznę zdziwiony.

— Wykluczone, panie von Teklenburg — musiałbym o tym wiedzieć.

Henner niechcący dotknął portfela w kieszeni. Jak dobrze, że nie pokazał profesorowi sfalszowanego orzeczenia — a zamierzał to zrobić. Niepotrzebnie profesor dowiedziałby się, jak wykorzystano jego nazwisko i jakie nadużycie zostało popełnione.

— Czy mogę prosić, aby pan profesor zechciał wystawić orzeczenie, że Maria von Hassbach, późniejsza Maria von Waldeck, była całkowicie zdrowa?

— Zrobię to z przyjemnością. Maria von Hassbach była pod moją lekarską opieką aż do ślubu, stąd wiem, że wychodząc za mąż była zupełnie zdrowa.

— Serdecznie dziękuję! Pan profesor nie może wiedzieć, jaki ciężar zdjął mi pan z serca wystawiając to orzeczenie — rzekł Henner ściskając rękę doktora. Myślał o Rosemarie, myślał o dobrodziejstwie, jakie jej wyświadczy tym orzeczeniem. Czuł w sercu wdzięczność, że los pozwolił właśnie jemu przywrócić jej wiarę w siebie.

Profesor wystawił orzeczenie i kiedy Henner spojrział na nie, przekonał się, że profesor miał typowy charakter pisma lekarza. Miał więc pewność, że list, który Herta von Ribnitz pokazała Rosemarie i Jobstowi von Steinau, był sfalszowany.

Dreszcz go przejął na myśl o tej kobiecie, która z cynicznym wyrachowaniem i zimnym sercem popełniła tak występny czyn wobec młodej dziewczyny.

Pełen wdzięczności pożegnał się z profesorem. Pojechał prosto na dworzec. Prędzej niż oczekiwał osiągnął swój cel i chciał możliwie szybko wrócić do domu.

Tęsknił za Rosemarie — w portfelu miał dla niej prezent. Myślał o niej i w duchu powtarzał: przynoszę ci życie, Rosemarie!

Późną nocą przyjechał do miasta położonego najbliżej Waldeck i Teklenburg. Przenocował w hotelu, a rano wynajętym powozem udał się do domu.

Najchętniej pospieszyłby z dobrą wiadomością prosto do Rosemarie. Po drodze zastanowił się jednak, jakie byłoby to dla niej wstrząsające, gdyby się dowiedziała, jak ciotka Herta zawiniła wobec niej.

Za dziesięć dni miał odbyć się ich ślub. Doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeżeli przez ten czas będzie żyła w przekonaniu, że pani von Ribnitz zawsze dobrze jej życzyła. Dowie się o wszystkim kilka dni później, ale za to zaoszczędzona będzie jej przykra rozmowa z ciotką Hertą.

Postanowił, że przygotowuje Rosemarie stopniowo, a całą prawdę oględnie powie jej dopiero podczas podróży poślubnej — z dala od Waldeck.

## Rozdział szesnasty

Rosemarie siedziała w małej altance w parku. Henner zapowiedział swój powrót następnego dnia. Nie miała pojęcia, że już wrócił. Była zadumana — myślała o nim.

Stęskniony Henner jeszcze przed południem pojechał do Waldeck i przybył tam przez nikogo nie oczekiwany. Pani von Ribnitz nie było w domu — lokaj powiedział, że łaskawa panienska jest w parku.

Już z daleka zobaczył, że siedzi w altance z głową opartą na ręce. O czym mogła myśleć? Przez dłuższy czas stał i obserwował ją — cieszył go widok czarującej dziewczyny.

Pewność, że jest zdrowa i nie obarczona dziedziczną chorobą napełniła jego duszę taką radością, że mimo woli zawołał:

— Rosemarie!

Młoda dziewczyna szybko wstała i szeroko otwartymi oczami patrzyła na niego. Złożyła ręce na piersi, a jej twarz oblał silny rumieniec, kiedy szła mu naprzeciw.

— Hennerze! Ty tutaj? Już wróciłeś? — mówiła speszona, patrząc na niego z dużą czułością.

— Nie oczekiwałaś mnie?

— Nie — mówiła, że wrócisz najwcześniej jutro — odparła uśmiechając się.

— Czy jesteś niemile zaskoczona, że już dzisiaj stoję przed tobą? — żartował Henner, niemniej niecierpliwie czekał na odpowiedź.

— Nie, o nie, bardzo się cieszę — rzekła cicho. Delikatnie ją objął:

— Czy tęskniłaś za mną — zapytał nieśmiało.

Rosemarie czuła jego objęcia i aby ukryć wzburzenie odsunęła się od niego i usiadła. Starła się być spokojna, kiedy odpowiedziała:

— Bardzo tęskniłam za tobą i brakowało mi ciebie. Rozpieściłeś mnie, ponieważ zawsze jesteś ze mną.

Uśmiechając się usiadł obok niej. Patrząc mu w twarz pomyślała, że znowu jest tym dawnym Hennerem takim, jakim był wtedy, kiedy przychodził do jej biednego chorego ojca i wnosił tyle pogody do ich domu. W oczach miał ten sam blask, a bruzda wokół ust złagodniała.

— Żebyś wiedziała jak mnie cieszy, że tęskniłaś za mną i że odczuwasz brak mojego towarzystwa, że stałem ci się potrzebny.

Westchnęła.

— Nie tylko potrzebny, ale wręcz niezbędny. Nie mogę się obejść bez twojego oparcia. Nie wiesz, czym stałeś się dla mnie. Nie wiedziałam co począć ze sobą pod twoją nieobecność. Nie miałam ochoty na jazdę konną. Ciotka Herta jest stale zajęta i nie jest w nastroju do rozmów. Pojechałam wczoraj sama do Steinau i wszystkich zaprosiłam na obiad, żeby zamek Waldeck nie był taki pusty. Będą zdziwieni, że już wróciłeś.

— A co robiliście wczoraj w Steinau? — zapytał Henner nie spuszczać z niej oczu.

— Och, różne rzeczy. Najpierw bawiliśmy się z małym Hansi, a potem graliśmy w tenisa — to znaczy Hilda i ja. Wcale nam nie szła gra. Wujek Steinau zabrał nam rakiety, ponieważ pokłóciłyśmy się i wujek obawiał się, że dojdzie do rękoczynów.

Opowiadając Rosemarie śmiała się a Heinz zachwycony patrzył na narzeczoną i śmiał się razem z nią.

— A więc aż tak groźnie było przy tenisie?

— Tak! Nie wiem co było przyczyną. Hilda powiedziała, że jest to spowodowane tym że ja...

Ucichła nagle i zakłopotana odwróciła głowę.

— No więc, co powiedziała Hilda? Chciałbym to wiedzieć. A może mam ją zapytać o to? — przekomarzał się Henner.

— Och, nie — mogę ci powiedzieć — przecież to był żart. Powiedziała: — Oczywiście, myślisz o Hennerze, a nie o grze!

Jej zakłopotanie wprawiło go w doskonały humor — ale nie chciał jej dalej peszyć, więc tylko dodał:

— Mam nadzieję, że Hilda miała rację! Rosemarie zmieniła temat:

— Czy miałeś dobrą podróż?

— O, tak. Wszystko załatwiłem tak jak chciałem. Z tej podróży przywiozłem ci prezent, Rosemarie, cenny prezent. Nie chodzi o pieniądze — prezent ma wartość symboliczną, ale ogromną! Jestem pewien, że nie ma piękniejszego prezentu dla ciebie, Rosemarie. Brzmi to bardzo górnolotnie, czyż nie? Cieszę się jednak niewymownie, że mogę ci go wręczyć — ale otrzymasz go dopiero kiedy zostaniesz moją żoną — kiedy wyjedziemy z Waldeck w podróż poślubną. Właściwie nie powinienem wzbudzać twojej ciekawości, ale moje serce jest tak przepełnione radością, że chciałbym bez przerwy mówić o tym. Czuję się jak dziecko, które przygotowało dla rodziców prezent gwiazdkowy, a chciałoby już z góry wszystko zdradzić, aby zobaczyć ich radość. Udałem się w tę podróż wyłącznie po to, aby zdobyć ten prezent dla ciebie.

Uśmiechnęła się i spojrzała na niego pytająco. Pocałował ją w rękę i widziała, że jest jednocześnie wzburzony i zadowolony, że może jej coś podarować. Wzbudziło to w jej sercu uczucie szczęścia, ale i niepokój.

Nie zastanawiała się, co zamierzał jej podarować. Była zadowolona, że zadał sobie trud, aby jej sprawić radość. Była mu wdzięczna i powiedziała mu to. Poprosiła, aby pospacerowali po parku.

Powoli szli obok siebie — drzewa przybierały już jesienne kolory. Doszli do muru gdzie rosła stara lipa, na której Rosemarie miała swoje ulubione miejsce. Henner zdziwiony patrzył na schodki przymocowane do drzewa.

— Co to jest? — zapytał.

— Tam na górze jest moje ulubione miejsce. Tam z góry przez wiele lat płynęły w świat moje marzenia — marzenia o życiu i szczęściu.

— Muszę sobie to dokładnie obejrzeć — mówiąc to wspinał się na konary lipy. Rosemarie stała pod drzewem patrząc w górę. Myślała, ile to razy czekała tutaj z tęsknotą aż będzie przejeżdżał drogą.

— To jest wspaniałe miejsce, Rosemarie — zawołał. — Jest tutaj dosyć miejsca dla nas obojga. Musisz mi opowiedzieć o czym wtedy marzyłaś!

Powoli weszła na lipę. Henner objął ją i posadził obok siebie. Siedzieli przytuleni jak para kochanków, którzy ukryli się tutaj przed światem.

— Henner chętnie wykorzystałby tę okazję, aby okazać jej swoją miłość, ale opanował się. Wiedział, że nie wolno Rosemarie przestraszyć. Była jeszcze taka niepewna siebie i bojaźliwa. Dopiero kiedy dowie się, że jest całkowicie zdrowa, będzie mógł odkryć jej swoje uczucia — swoją miłość.

Pamiętał, że jej powiedział: — Nie kocham pani. Jeszcze nie odwołał tych słów i nie robi tego do dnia, kiedy Rosemarie zostanie jego żoną, zanim nie uwolni jej od wszystkiego, co ją dręczy i męczy, zanim nie wyjadą z Waldeck i będą gdzieś daleko w świecie sami.

Siedząc obok siebie rozmawiali o wszystkim tylko nie o tym, czym były przepelnione ich serca.

Rosemarie spojrzała na zegarek:

— Musimy wracać do zamku, powinnam się przebrać. Niedługo przyjadą państwo Steinau. Czy już przywitałaś się z ciotką Hertą?

Henner spoważniał. Wiedział, ile samozaparcia będzie wymagało spokojne spotkanie z panią von Ribnitz.

— Nie — lokaj powiedział, że nie ma jej w domu.

— To znaczy, że konno wyjechała na pola. Chodź, Hennerze! Pomógł jej zejść i odezwał się:

— Rosemarie, z tego miejsca miałaś ograniczony widok na świat. Cieszę się, że niedługo pokażę ci wiele pięknych miast i okolic.

— Czy naprawdę nie tęsknisz za dawnym światowym życiem — zapytała.

— Nie, nie tęsknię, ale teraz będę rad, że mogę tobie to wszystko pokazać. Kiedy już nie będziesz chciała podróżować, wrócimy do domu. Nigdzie nie jest piękniej niż w naszych lasach — teraz to. zrozumiałem. Trzeba tylko mieć przy sobie kochanego człowieka, który do nas należy. Właściwie cieszę się bardziej na powrót, ponieważ czeka tutaj na mnie praca — poważne życiowe zadanie. Palę się do pracy, Rosemarie. Dla mężczyzny nie ma gorszej rzeczy niż bezczynność — doświadczyłem tego na sobie.

— Czy to nie będzie ofiarą z twojej strony? — zapytała wahając się.

— Nie, nie wolno ci w ten sposób przyjąć moich słów. Cieszę się, że mogę ci pokazać świat.

— Jestem pełna oczekiwania! — zawołała wesoło.

Spojrzał na nią, najchętniej wziąłby ją w ramiona, ale opanował się i rzekł cicho:

— Rosemarie — mam do ciebie prośbę!

— Mów, słucham — odpowiedziała uszczęśliwiona, że może spełnić jego życzenie. Jej piękne szare oczy promieniały.

— Wiesz, że naszym pierwszym celem jest Berlin, gdzie zatrzymamy się dwa dni, aby zrobić zakupy.

— Tak, tak, mów dalej! — ponaglała zniecierpliwiona.

— Nie chcesz, abym mówił o twoim zdrowiu, ale muszę to zrobić. Nie gniewaj się! Proszę cię, abyś w Berlinie poszła ze mną do osobiście mi znanego lekarza, bardzo słynnego. Chcę, aby cię zbadał tylko ten jeden raz. On powie ci z całą pewnością, czy jesteś zupełnie zdrowa.

Rosemarie zbladła i posmutniała:

— Po co, Hennerze? Jeżeli lekarz stwierdzi, że jestem chora, zaczniesz mnie męczyć uwagami, abym się pilnowała i uważała na zdrowie, tak jak robi to ciotka Herta.

Stanął i wziął ją za rękę — zauważyła, że był bardzo zdenerwowany.

— Nie, Rosemarie, nie zrobię tego — masz moje słowo. Możesz nadal robić wszystko na co masz ochotę. Pragnę tylko, aby lekarz cię zbadał i zapewnił cię, że jesteś całkowicie zdrowa. Chcę żebyś z tą świadomością rozpoczęła nowe życie, moim najgorętszym życzeniem jest to, żebyś była szczęśliwa.

Westchnęła głęboko i po chwili odpowiedziała:

— Pójdę do lekarza — chociaż chciałabym zapomnieć, że jest na świecie coś takiego jak choroba. Och, Hennerze, znowu opanował mnie strach — mam wrażenie, że zgasło słońce.

Uściskał jej dłoń i przytulił do serca.

— Słońce będzie świecić, Rosemarie! Bądź dzielna. Gdybym nie był pewny, że jesteś zdrowa, czy myślisz, że zaprowadziłbym cię do lekarza? Uwierz mi! Uwolnisz się od tej strasznej niepewności!

Z lękiem w oczach patrzyła na narzeczonego.

— Gdybyś miał rację — jakaż byłabym szczęśliwa — odpowiedziała drżącym głosem.

— Będę szczęśliwy razem z tobą, moja Rosemarie — szepnął, objął ją mocno i pocałował w usta.

Zadrżała na całym ciele — przeraziła się, że w tej chwili może zdradzić, co myśli i co czuje — dlatego delikatnie uwolniła się z jego ramion.

— Muszę się przebrać — rzekła cicho.

Oczy mu zapłonęły — jej zakłopotanie zdradziło więcej niż myślała. Ale zaraz stanie przed obcymi ludźmi — musi się więc opanować.

— A więc pójdiesz ze mną do lekarza, Rosemarie? — zapytał zmuszając się do spokoju.

Skinęła głową nie odzywając się. Było mu jej żal i chciałby rozwiązać wszelkie jej zmartwienia — przecież mógłby to zrobić! Ale przewidywał walkę i zdenerwowanie jakie ją czekało, a tego chciał jej zaoszczędzić. Musi ją powoli przygotować na to wszystko!

Kiedy zbliżali się do zamku nadjechała na swoim wierzchowcu pani von Ribnitz.

Henner z trudem zmusił się, żeby ją grzecznie powitać. Uprzejmość wymagała, aby pomóc jej zsiąść z siodła, co też uczynił, chociaż najchętniej odtrąciłby jej rękę.

— Widzę, że się jeszcze nie przebrałaś do obiadu, Rosemarie, a więc nie spóźniłam się — odezwała się pani Herta do siostrzenicy.

— Trochę się spóźniłam, ciociu Herto, ponieważ Henner nieoczekiwanie wcześniej wrócił.

— Ach tak, słyszałam, że pan wyjeżdżał, panie von Teklenburg — odezwała się chłodno pani von Ribnitz.

Henner uklonił się i pomyślał: — Żebyś wiedziała gdzie byłem! — ale odpowiedział spokojnie:

— Tak, łaskawa pani!

— Musimy się pospieszyć, ciociu Herto. Hennerze, proszę cię, powitaj gości ze Steinau i przeproś ich w naszym imieniu!

— Chętnie to zrobię, Rosemarie!

Obie panie poszły się przebrać, a Henner zamyślony przechadzał się po dużej zamkowej sieni aż do chwili, kiedy przyjechali goście. Powitali się radośnie:

— O, pan Henner! Pan tutaj? Zostaliśmy zaproszeni, aby pocieszać Rosemarie pod pańską nieobecność, a pan przyjechał! — zawołała Hilda wyskakując z powozu.

— Czy mam sobie pójść? — zapytał śmiejąc się. Podając mu rękę odpowiedziała:

— Nie, nie, właściwie to przyjemnie, kiedy pan jest obecny — inaczej jest mnóstwo pań i mało panów. Oto i Rosemarie!

Hilda podbiegła do niej — Rosemarie wyglądała ślicznie w jasno-błękitnej jedwabnej sukni. Hilda okrążyła ją i ze szczerym zachwytem podziwiała młodą damę.

— Wyglądasz cudownie, Rosemarie. Nie rozumiem, jak wcześniej nie zauważyliśmy tego. Mam wrażenie, że celowo nas zwodziłaś. A ta suknia! No, nie — masz teraz takie piękne toalety — wykrzykiwała Hilda.

Podszedł również pan von Steinau.

— Rosemarie, wyglądasz kwitnąco — rzekł stary pan gładząc ją po dłoni.

— Witaj, kochany wujku — odparła uśmiechając się.

— Słuchaj, Rosemarie, czy obiad będzie dobry? Obiecałaś mi lody „Melba” — pamiętasz?

— Nie zapomniałam. Ale co to? Gdzie podział się twój warkocz? Widzę, że masz jasną koronę na głowie.

— No, wiesz, kiedyś trzeba zacząć być dorosłą. Proszę, nie mów nic więcej, Lena znowu każe mi nosić warkocz.

Rosemarie podeszła do Leny:

— Dzień dobry — czy rozstanie z Hansi było trudne? Lena przywitała się bardzo serdecznie:

— Nie, właśnie ułożono go do poobiedniego snu. Mam nadzieję, że będzie długo spał.

W tern weszła pani von Ribnitz i poprosiła gości do dużego salonu. Hilda szepnęła do szwagra:

— Zaraz zacznie się ceremoniał dworski — mówiąc to zrobiła poważną minę.



Niedługo potem otwarto drzwi do dużej sali jadalnej. Pan Jobst von Steinau podał ramię pani von Ribnitz, baron Haller prowadził Rosemarie, a Henner panią Lenę.

— A ja — zapytała Hilda i zaczęła się rozglądać za kawalerem.

— Służę moim drugim ramieniem, pozwolisz Hildo — odezwał się z uśmiechem Henner.

Biorąc go pod rękę Hilda odparła:

— Lepiej mieć połowę kawalera niż w ogóle żadnego.

— Będę się starał, abyś się nie nudziła i mam nadzieję, że obie damy będą zadowolone.

— Słyszałaś, Leno? Pan Henner powiedział „obie damy”. Jedną z nich jestem ja — a więc nadeszła pora, abyś mi z,amówiła długą suknię.

Hilda wyglądała bardzo ładnie w swojej różowej sukience i upiętymi warkoczami błyszczącymi jak stare złoto. Henner spojrzał na nią:

— A więc muszę mówić do ciebie „panno Hildo”, a może „łaskawa pani”?

— Ach, bzdura! Niech pan mi mówi „ty”, jak dotychczas.

— W takim razie i ty musisz do mnie mówić „ty”. Napijemy się na znak przyjaźni?

— Wspaniale — ale musi być szampan, panie Hennerze!

— Oczywiście.

Przy deserze — ku ogólnej wesołości wypito szampana, a kiedy Henner chciał pocałować Hildę, aby przypieczętować ich przyjaźń, ta z całą powagą zapytała Rosemarie:

— Czy pozwalasz, Rosemarie?

— Naturalnie, Hildo!

Kiedy wymieniła pocałunek z Hennerem pomyślała: co też powie na to Heinz, kiedy się dowie?

Henner patrzył na Rosemarie. Oczy błyszczały mu kiedy widział, że spoglądała na niego. Cieszył się z radosnego wyrazu jej twarzy.

Niedługo będziesz moja — myślał z tęsknotą.

Czy dostrzegała tę tęsknotę w jego oczach? Może, ale broniła się przed tym, aby w to uwierzyć. Nie mogła zrozumieć, że jakiś mężczyzna mógł ją pokochać. Henner zauważył, że posmutniała i serce ścisnęło mu się kiedy przypomniał sobie, co musiała przeżywać w minionych latach, które dla innych młodych ludzi były latami beztroski i szczęścia.

W duszy miał gorące pragnienie, aby jej zapewnić szczęście, tak żeby mogła zapomnieć wszystko, co musiała wycierpieć.

Jak ja cię kocham, Rosemarie! pomyślał podnosząc kieliszek i patrząc na nią.

Rosemarie zrobiła to samo — jej ręka przy tym lekko drżała.

Pani von Ribnitz zauważyła to i z jej duszy uniosła się cicha modlitwa:

— Ojcze w niebie — pozwól, aby była szczęśliwa, aby moja wina nie stała się jeszcze większa!

W tej chwili Henner spojrział na nią. W jej oczach dostrzegł wyraz bezgranicznego cierpienia. Ale jego serce było przepelnione gniewem. To co pani von Ribnitz zrobiła Rosemarie, wydawało mu się potworne.

## Rozdział siedemnasty

Nadszedł dzień ślubu. Młoda para życzyła sobie, aby uroczystość odbyła się w wąskim gronie. Oczywiście, przyjechał do Waldeck Heinz i państwo von Steinau. Poza nimi było jeszcze kilka osób. Była to cicha uroczystość, ale wszyscy, którzy brali w niej udział, szczerze życzyli młodej parze szczęścia. Najgoręcej modliła się Herta von Ribnitz, aby Pan Bóg dał Rosemarie szczęście. Jej serce było pełne skruchy i byłoby dla niej dobrodziejstwem, gdyby mogła Rosemarie wyznać prawdę. Jednak strach, że mogłaby takim wyznaniem zaszkodzić synowi męczył ją i zmuszał do milczenia. Często zastanawiała się jak — nie narażając się — mogłaby przekonać Rosemarie, że jest zdrowa. Znalazła tylko jedno wyjście — Rosemarie musiałby zbadać jakiś inny lekarz. Jeżeli stwierdzi, że jest zdrowa, wszystko będzie w porządku. Można by wtedy powiedzieć, że lekarze którzy ją wcześniej badali mylili się, a pod troskliwą opieką ciotki wyzdrowiała.

Herta von Ribnitz nie miała pojęcia, że nad jej głową już zawisł miecz Demoklesa.

Rosemarie była czarującą panną młodą, ale była blada, a jej duże szare oczy z trwogą patrzyły przed siebie.

Dopiero kiedy oparta o ramię Hennera stanęła przed ołtarzem, gdzie oczekiwał ich ksiądz — zarumieniła się i zadrżała.

Henner pełen troski najchętniej przytuliłby ją do piersi. Mocno przycisnął jej ramię do siebie. Rozpromieniła się i poczuła się bezpieczna u boku mężczyzny, którego tak gorąco kochała.

Nagle usłyszała:

— ... aż nie rozłączy was śmierć!

Poczuła dreszcz — półprzytomna patrzyła przed siebie. Oczami wyobraźni zobaczyła siebie w trumnie wśród kwiatów i wieńców — w tej samej białej sukni, którą miała teraz na sobie, z wieńcem mirtowym na głowie, z twarzą bladą i zamkniętymi oczami — martwą i zimną.

Z ust wyrwało jej się westchnienie i zachwiała się — Henner podtrzymał ją i z niepokojem w oczach szepnął:

— Rosemarie — kochanie!

Na dźwięk jego słów ocknęła się — wizja zniknęła. Miała wrażenie, że obudziła się z koszmarnego snu, a kiedy spojrzała na ukochaną twarz zobaczyła, że promieniała z niej głęboka miłość.

Najchętniej rzuciłaby się w jego ramiona wołając: Pomóż mi! Ratuj mnie! — ale co powiedzieliby wtedy ci wszyscy ludzie wokół niej? A on, Henner?

Zmusiła się do uśmiechu:

— Nic, nic — już dobrze — powiedziała cicho i westchnęła.

— Kochanie! — jeszcze raz szepnął Henner. Otoczono ich ze wszystkich stron składając życzenia.

Zaraz potem Rosemarie miała wrażenie, że śni. Również podczas uczyty weselnej wszystko wydawało jej się takie nierzeczywiste. Marzyła, aby pół godziny być sama. Ale na razie było to niemożliwe.

Mimo, że nie było hucznego wesela, nastrój był ożywiony. Zadbał o to Jobst von Steinau.

Na końcu stołu — wśród młodych gości — siedzieli Hilda i Heinz. Tych dwoje młodych ludzi przeżywało uroczystość w szczególny sposób. Kiedy po kilku toastach opróżniano kolejne kieliszki szampana na cześć młodej pary, Heinz rozochocił się i szepnął do Hildy:

— Słuchaj, Hildo, najpóźniej za sześć lat będą pili naszą cześć! Wtedy my będziemy w centrum uwagi!

Popatrzyła w jego błyszczące oczy i szepnęła z naciskiem: — Ani słowa więcej i ani kropli więcej — to wbrew naszej umowie — mówiąc to zabrała mu kieliszek.

Po kryjomu wziął ją pod stołem za rękę, szepcząc:

— Hildo, ślicznie wyglądasz z upiętymi włosami — o wiele lepiej niż z warkoczami.

Dziewczyna spąsowiała:

— Przestań pleść bzdury, bo powiem papie — wiesz, że on jest moim powiernikiem. Zabierzmy się do tortu, to będzie bardziej zabawne.

Pozwoliła mu jednak, aby przez chwilę potrzywał jej rękę, a on był zadowolony.

Jobst von Steinau spoglądał na Heinza i Hildę. Siedział obok Herty von Ribnitz, a wino spowodowało, że był bardziej rozmowny niż zazwyczaj.

— Proszę spojrzeć, szanowna przyjaciółko, na nasze pisklęta. Jak pani sądzi, czy damy im nasze błogosławieństwo, jeżeli pewnego dnia zażądadają tego od nas?

— Hilda i Heinz? — zapytała patrząc na nich, zaskoczona pytaniem.

Skinął głową:

— Między nami mówiąc — oni już postanowili, że się pobiorą. Mówię to pani w tajemnicy. Na razie to dziecinada, ale oboje mają charakter. Co pani o tym sądzi? Czy przyjąłaby pani Hildę jako synową, jeżeli dojdzie do tego?

W oczach tej opanowanej i chłodnej kobiety pojawiły się łzy:

— Jeżeli pan przyjmie mojego syna jako zięcia — chętnie się zgodzę. Podaj jej rękę:

— A więc dogadaliśmy się i nie będziemy zaskoczeni, kiedy nadejdzie ten dzień. Oczywiście, jeszcze wiele wody wpłynie do morza do tego czasu. Będziemy pilnowali naszych dzieci — a na razie nikomu ani słowa! Młode serca są płochliwe i łatwo je zranić. Na razie są szczęśliwymi dziećmi.

Herta von Ribnitz ukradkiem otarła łzy.

Jakże była głupia i zuchwała chcąc budować szczęście syna na oszustwie i grzechu. Wszystko było daremne — dumny budynek zawalił się, ponieważ fundament był zły. A kiedy sądziła, że wszystko stracone, inni ludzie bez trudu, miłością i dobrocią zapewniali mu szczęście — a ona została z pustymi, splamionymi rękami.

— Ojciec w niebie, wybacz mi to co zrobiłam, nie karz za to mojego syna — modliła się w duchu i ukradkiem spoglądała na bladą twarz panny młodej.

Henner dostrzegł jej spojrzenie i zrobiło to na nim wrażenie.

Nowożeńcy pożegnali się i pojechali na dworzec, gdzie już czekał Kulitz i pokojówka z bagażami:

Podróż minęła szybko i wieczorem przybyli do Berlina. Młoda para zamieszkała w jednym z najlepszych hoteli, gdzie wcześniej telegraficznie zamówiono apartament.

Henner wkrótce pożegnał się z Rosemarie w salonie, który oddzielał jego pokój od pokoju młodej żony.

— Jest późno, Rosemarie, inaczej chętnie bym porozmawiał z tobą, ale musisz odpocząć. Obiecuj, że zaraz się położysz, żebyś rano była wypoczęta. Zaraz po śniadaniu pójdziemy do lekarza.

Pocałował ją w obie ręce i pogładził po włosach. Miała ochotę tę ciepłą rękę ucałować. Opanował ją błogi spokój, że teraz zawsze będzie z nim. Uśmiechnęła się mówiąc:

— Spróbuję zasnąć. Dzisiaj było tego trochę za dużo. Mam| wrażenie, że nie jestem dosyć odporna.

— Każdy zdrowy człowiek czuje się tak po trudnym dniu. Jutro znowu będziesz się czuć doskonale.

— Dobranoc, kochanie — rzekł czule całując ją w rękę i szybko opuścił salon.

Przez chwilę stała z zamkniętymi oczami i rękami przyciśniętymi do serca.

— Dobranoc, kochanie! — jak to wspaniale brzmiało! Pokojówka Jenny pomogła jej się rozebrać. Czuła się psychicznie i fizycznie bardzo zmęczona i

zaraz się położyła, lecz nie mogła zasnąć. Miała wrażenie, że w pokoju brzmi jakaś melodia: „Dobranoc, kochanie! Dobranoc, kochanie!”

Złożyła ręce na piersi i szepnęła: „Hennerze, Hennerze, jak ja cię Kocham”.

Nagle zdawało jej się, że usłyszała słowa: „... aż nie rozłączy was śmierć”.

Miała wrażenie, że zbliża się nieubłagane zło. Ale czułe słowa Hennera: „Dobranoc, kochanie” stały przy niej jak straż. Strach przed śmiercią zniknął. Postanowiła, że rano zachowa się dzielnie i spokojnie wysłucha orzeczenia lekarza. Potem będzie wykorzystywała każdy dzień, który los pozwoli jej przeżyć u boku Hennera. A kiedy będzie musiała umrzeć, Henner zamknie jej oczy i powie: „Dobranoc, kochanie”.

A jeżeli lekarz stwierdzi, że jest zdrowa?

Wyprostowała się, usiadła i rozmarzona patrzyła w ciemność.

Szybko jednak położyła się z powrotem — nie, nie wolno wzbudzać w sobie nadziei. Zdrowa! Co za wspaniała rzecz! Jeżeli okaże się, że jest zdrowa — wielki Panie Boże! Będzie mogła walczyć o miłość Hennera! On jest dla niej taki dobry, taki czuły, pełen troski — i przecież podoba mu się! Powiedział nie raz, że jest czarująca. Czyż jej gorąca miłość do Hennera nie znajdzie odezwu w jego sercu? Czyż nie był z dnia na dzień czulszy, czyż jej nie całował w usta? Czy była naprawdę ładna i czarująca?

Zapaliła lampę i wyskoczyła z łóżka. Pobiegła do dużego lustra — badawczo i krytycznie spojrzała na swoje odbicie.

Zobaczyła bladą twarz z dużymi marzącymi oczami. Na białą jedwabną koszulę spadały dwa warkocze kasztanowych włosów. Przez koronkę koszuli widać było zdrowe różowe ciało, ładne ramiona i piersi.

W lustrze zobaczyła zachwycającą postać — chociaż patrzyła na siebie krytycznie, nie miała powodu, aby być niezadowolona. Jednak nagle zarumieniła się, odwróciła się i położyła do łóżka.

— Ach, być zdrową! Zdrową i kochaną!

Brzmiało to jak modlitwa. Po chwili powiedziała sama do siebie: „Śpij wariatko”!

Znowu zaczęła się modlić, żarliwie i gorąco o zdrowie i o miłość mężczyzny, który od dzisiaj był jej mężem.

Długo leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Odgłos nigdy nie zamierającego życia wielkiego miasta docierał do jej pokoju. Wydawało się, że to pulsujące życie zachęcająco i kusząco woła ją. Leżała i nasłuchiwała. Dziwiło ją, że mimo późnej godziny nie było spokoju. W Waldeck była przyzwyczajona do ciszy, zakłóconej najwyżej szczekaniem psów lub głosem puszczki.

— Jesteś w szerokim świecie. Kiedy jutro rano obudzisz się, będziesz w obcym świecie, sama z Hennerem — myślała. Powoli sen zamknął jej powieki.

— Kochany Hennerze, kochany Hennerze!

To była jej ostatnia myśl przed zaśnięciem. Spała mocno, głębokim zdrowym snem młodości — aż do jasnego poranka.

## Rozdział osiemnasty

Następnego dnia Henner wstał wcześniej niż Rosemarie. Kiedy się ubrał zszedł do westybulu hotelu. Przy wyjściu była kwiaciarnia z pięknymi bukietami.

Henner kupił pęk czerwonych róż. Dał je Kulitzowi z poleceniem, aby je wręczono jego żonie zaraz kiedy się obudzi. Poleciał, żeby go zawiadomiono, kiedy łaskawa pani będzie chciała zjeść śniadanie. Podane będzie w salonie.

— Służę łaskawemu panu — powiedział Kulitz z nienagannym ukłonem wyszkolonego kamerdynera. W nowym ubraniu prezentował się bardzo dobrze.

Henner patrzył za nim uśmiechając się.

Kiedy Kulitz rozmawiał z Jenny i przekazywał jej polecenie, pokojówkę zawołała jej młoda pani. Rosemarie obudziła się. Jenny położyła róże na łóżku, a Rosemarie przytuliła piękne kwiaty do twarzy.

— Szybko, Jenny, zrobiło się późno — rzekła i zaczęła się ubierać. Niedługo potem siedziała z Hennerem przy śniadaniu. Okna salonu były otwarte, słońce pięknie świeciło.

— Dziękuję ci za piękne róże, Hennerze — rzekła Rosemarie po przywitaniu się.

— Czy sprawiły ci przyjemność?

— Wielką!

— To było pozdrowienie od nowego, radosnego życia.

— Jesteś taki dobry — szepnęła. Pocałował ją w rękę.

— Czy pamiętasz Rosemarie, że obiecałem ci prezent, kiedy niedawno wróciłem z podróży? — zapytał.

Skinęła głową i uśmiechnęła się:

— O tak, nie zapomniałam o tym.

Nachylił się ku niej i zajrzał jej głęboko w oczy:

— Dzisiaj otrzymasz ten prezent — kiedy tylko wrócimy od lekarza.

Westchnęła:

— Nie mogę się doczekać! Czy zaraz tam pojedziemy?

— Lekarz przyjmuje od jedenastej. Po śniadaniu pojedziemy do niego.

Tak też się stało.

Henner zamówił samochód i podał szoferowi adres.

Rosemarie interesowała się dużym ruchem miejskim. Przypominała sobie niektóre budynki ponieważ widziała je przed dwoma laty, kiedy z ciotką Hertą była w Berlinie u lekarza.



Samochód jechał szeroką asfaltową szosą przez dzielnicę Tiergarten do zachodniej części miasta, gdzie mieszkał lekarz. Droga wydawała się Rosemarie znana.

Im dalej jechali, tym bardziej Rosemarie przypominała sobie okolicę.

— Wydaje mi się, że tędy jechałam z ciotką Hertą do lekarza — powiedziała.

— Gdzie mieszkał ten lekarz? — zapytał Henner. Uśmiechając się potrząsnęła głową:

— Nie wiem — w dużym pięknym gmachu podobnym do pałacu.

— Jak się nazywał? Znowu uśmiechnęła się:

— Och, nie pamiętam, zapomniałam. Wtedy widziałam tyle nowych rzeczy — przecież to była moja pierwsza wycieczka w świat!

Samochód skręcił w boczną ulicę i zatrzymał się przed wysokim budynkiem, gdzie wynajmowano luksusowe apartamenty — w zachodniej części Berlina było wiele takich gmachów.

— Proszę czekać — polecił Henner szoferowi i poprowadził żonę do wejścia.

Kiedy portier otworzył bramę i szli po marmurowych schodach wyłożonych czerwonym dywanem, Rosemarie odezwała się:

— Hennerze, mam wrażenie, że prowadzisz mnie do tego lekarza, u którego byłam z ciotką Hertą.

Zatrzymali się przed drzwiami mieszkania. Rosemarie rzekła stanowczym głosem:

— Tak, poznaję tę tabliczkę z nazwiskiem profesora Vogla. Jest on wysokim szczupłym panem z lekko przerzedzonymi włosami i małą bródką. Ma bliznę na czole i krzaczaste brwi — tak jak wujek Steinau.

Henner był zaskoczony.

— Rosemarie, ten rysopis dokładnie odpowiada postaci profesora Vogla. Co za dziwny zbieg okoliczności — powiedziałbym prawie zrządzenie losu — dodał wahając się.

Rosemarie wstrzymała oddech, Henner spojrzał na nią z troską.

— Obiecuj mi, że nie będziesz się denerwować, bez względu na to co usłyszysz — szepnął.

Rosemarie niemo skinęła głową.

Służący zaprowadził ich do poczekalni urządzonej nowocześnie i elegancko. Była jedenasta i byli pierwszymi pacjentami.

— Dzięki Bogu, jesteśmy pierwsi. Byłoby nieprzyjemnie, gdybyśmy musieli długo czekać. A profesor Vogel nikogo nie przyjmuje poza kolejnością — rzekł Henner.

Przytaknęła i dodała:

— Tak, rozumiem. Ciocia Herta chciała wtedy wszystko szybko załatwić, ale było kilka osób. Poznaję ten pokój.

Badawczo patrzył na żonę.

— Czy profesor Vogel sam powiedział ci, jaki jest stan twojego zdrowia?

— Nie. Najpierw weszła ciotka Herta sama, a kiedy profesor skończył badanie, musiałam wyjść, a ciotka znowu została sama z profesorem. Chciała abym nie słyszała diagnozy i dopiero później oględnie przygotowała mnie do tego.

Henner zacisnął pięści. Coraz bardziej przekonywał się o karygodnym postępowaniu ciotki Herty.

— Ale dzisiaj chcę sama usłyszeć diagnozę profesora — chcę znać stan mojego zdrowia — dodała szybko Rosemarie.

Pogładził ją po ręce i poważnie spojrzał jej w oczy:

— Oczywiście, Rosemarie, sama usłyszysz, że jesteś zdrowa.

W tym momencie służący otworzył drzwi i poprosił Hennera i Rosemarie do sąsiedniego pokoju. Młoda para weszła do gabinetu.

Profesor stał przy stoliku ze szklanym blatem, na którym leżały różne instrumenty. Odwrócił się, szybko podszedł do wchodzących. Natychmiast poznał Hennera i zaczął się z nim witać nie zwracając na razie uwagi na Rosemarie.

— Mój drogi panie von Teklenburg! Pan tutaj? Przed kilkoma miesiącami powiedziano mi, że wyjechał pan do kolonii — mówiąc to potrząsał mocno jego ręką.

— Nie, panie profesorze, nie wyjechałem, chociaż nosiłem się z takim zamiarem. Wróciłem do rodzinnego gniazda — do Teklenburg. Czy pozwoli pan, że przedstawię moją żonę.

Profesor uklonił się przed Rosemarie i spojrzał na nią swoimi przenikliwymi oczami chwilę się wahając.

— Łaskawa pani — mam wrażenie, że panią znam. Pani twarz wydaje mi się znajoma, ale wtedy wyglądała pani zupełnie inaczej.

Rosemarie czuła serce w gardle.

— Może zmieniłam się trochę, panie profesorze. My się naprawdę znamy. Przed mniej więcej dwoma laty byłam u pana z moją ciotką, panią von Ribnitz, aby dowiedzieć się, jaki jest stan moich płuc.

Profesor, Vogel dotknął ręką czoła mówiąc:

— Oczywiście, teraz sobie wszystko przypominam. Proszę chwilę zaczekać. Wyjął z biurka długą wąską księgę i zaczął przewracać kartki.

— Mam! Było to w czerwcu przed dwoma laty, znam i nazwisko pani — Rosemarie von Waldeck, czyż nie?

— Tak, panie profesorze. Pan to pamięta? — zapytała.

— Łaskawa pani, w tej księdze zapisuję wszystko, co mógłby roztrzęsiony profesor zapomnieć. Mam zapisane wszelkie dane o moich pacjentach, nawet jeżeli byli u mnie tylko raz. Oczywiście, nie są to jedyne dane. Widzi pani tutaj cały szereg jeszcze innych ksiąg. Ale co państwa do mnie sprowadza?

— Przyszliśmy do pana profesora z prośbą, aby pan dzisiaj jeszcze raz bardzo dokładnie zbadał moją żonę — powiedział Henner poważnie patrząc na profesora.

Profesor poprosił, aby usiedli, potem ponownie zajrzał do księgi i sprawdził swoje notatki.

Odkładając po chwili księgę rzekł:

— Pani ciotka, łaskawa pani, powiedziała mi wtedy, że matka pani chorowała na płuca, że miała gruźlicę.

— Tak, panie profesorze. Ciotka obawiała się, że odziedziczyłam po matce tę chorobę.

— Tak, ale ja rozproszyłem jej obawy i z przyjemnością stwierdziłem, że pani jest całkowicie zdrowa i że ma pani wręcz silne płuca.

Henner słuchał uważnie, a Rosemarie smutno potrząsnęła głową, uśmiechając się zrezygnowana.

— Niestety, to nie było tak, panie profesorze. Obawiam się, że pan sobie nie przypomina, co pan wtedy powiedział. Stwierdził pan — tak, pan stwierdził ślady tej strasznej choroby i ostrzegał pan, że muszę bardzo uważać na siebie, a przede wszystkim nie wolno mi wyjść za mąż, aby ta choroba nie wybuchnęła z całą siłą. Tak powiedział pan mojej ciotce.

Profesor zdecydowanie potrząsał głową.

— Wykluczone! Nie twierdziłem nic podobnego! Pamiętam, że pani ciotka obawiała się, że dziedziczna choroba mogłaby się rozwijać i prosiła usilnie o zalecenia, jak ma postępować. Wspomniała, że zamążpójście mogłoby pani zaszkodzić. Stwierdziłem wtedy z całą stanowczością, że pani jest całkowicie zdrowa — ale proszę mi pozwolić, żebym jeszcze raz zajrzał do moich notatek.

Profesor ponownie zaczął studiować zapiski. Henner wykorzystał ten moment — podszedł do Rosemarie, pogładził ją po głowie, czule spojrzął na zdenerwowaną żonę i szepnął:

— Rosemarie, nic nie mów, ani słowa więcej, proszę cię! Później wszystko ci wyjaśnię.

Mówiąc to patrzył na profesora, który odezwał się: — Tak, jest tak jak powiedziałem. Łaskawa pani, stwierdziłem wtedy, że pani jest całkowicie zdrowa i zgodnie z prawdą przekazałem to pani ciotce.

Henner ścisnął rękę Rosemarie, jakby ją chciał ostrzec:

— Moja żona nie chciała wierzyć swojej ciotce. Myślała, że ciotka mówi tak, aby ją uspokoić i żeby ją nakłonić do spokojnego trybu życia. A teraz chciałaby — w pewnym sensie dyplomatycznie — usłyszeć diagnozę pana profesora. Proszę mojej żonie wybaczyć ten manewr, panie profesorze — jest bardzo przygnębiona myślą, że mogłaby odziedziczyć po matce tę straszną chorobę. Za każdą cenę chce usłyszeć prawdę o stanie swojego zdrowia. Proszę więc, aby pan profesor zechciał dzisiaj jeszcze raz zbadać moją żonę i szczerze, bez ogródek powiedzieć swoje zdanie.

Profesor uśmiechnął się. Uwierzył w to co mówił Henner. Spojrzał na Rosemarie.

— A więc mamy przed sobą małego dyplomate? — No, rozumiem, że pani chce znać prawdę za wszelką cenę. Ale mogła pani spokojnie wierzyć swojej ciotce, że jest pani zdrowa jak rydz. Że jest pani nadal zdrowa, zdradza pani kwitnący wygląd i wcale nie musiałbym pani badać. Ale żeby łaskawą panią uspokoić, jeszcze raz dokładnie to zrobię.

Rosemarie siedziała jak sparaliżowana i mocno trzymała rękę Hennera, jakby szukając oparcia.

— Proszę poczekać w sąsiednim pokoju — powiedział doktor do Hennera.

Puszczając rękę żony szepnął, patrząc na nią prosząco:

— Uspokój się kochanie! Wyszedł z gabinetu.

Rosemarie patrzyła za nim i była przerażona.

Co to wszystko miało znaczyć? Dlaczego nie wolno jej było nic mówić? Dlaczego Henner mówił do profesora takie dziwne rzeczy?

Nie miała odwagi uwierzyć, że jest zdrowa. Milcząc rozebrała się przy pomocy pielęgniarki. Profesor zaczął badanie: dokładnie, długo i sumiennie. Kiedy skończył, uśmiechnął się do młodej damy:

— No, łaskawa pani, gdyby wszyscy mieli tak zdrowe i silne płuca jak pani, my lekarze nie mielibyśmy co robić. Jest tak jak już powiedziałem: pani jest zdrowa jak mało kto.

Rosemarie słyszała te słowa jak przez sen i nie wierzyła, że to rzeczywistość. Była tak wzburzona, że nie potrafiła się nawet cieszyć.

Bezwolnie pozwoliła się ubrać — nie była zdolna aby pielęgniarce podziękować. Miała wrażenie, że traci grunt pod nogami. Wiedziała, że jeżeli w tej chwili otworzy zaciśnięte usta, będzie krzyczeć, aby wyrzucić ze swojej duszy straszne męki i wszystkie cierpienia minionych lat. Nie mogła jasno myśleć.

Profesor poprosił do gabinetu Hennera. Rosemarie wzięła go pod ramię, jak gdyby szukając w nim oparcia. Położył rękę na jej dłoni i spojrzał na jej bladą, drżącą twarz.

— A więc, mój drogi panie von Teklenburg, gratuluję panu, że ma pan tak zdrową żonę. Nie stwierdziłem najmniejszego śladu żadnej choroby.

— Wiedziałem, panie profesorze — ale przyszliśmy, aby moja żona sama się przekonała, że jest zdrowa. Dziękuję panu profesorowi. Nie będziemy dłużej zabierać panu cennego czasu.

— Niestety, chwilowo nie jestem panem swojego czasu, inaczej bardzo chętnie porozmawiałbym z państwem.

Pożegnali się — Rosemarie, która dotychczas milczała, wydobyła z siebie kilka pożegnalnych słów.

Milcząc szli obok siebie dopóki nie zamknęły się za nimi drzwi. Byli sami na pięknej marmurowej klatce schodowej. Rosemarie ponownie wzięła Hennera pod rękę — wszystko wokół niej wirowało.

— Hennerze, co to było? Jak mam to wszystko rozumieć? — pytała, jękając się ze wzburzenia.

Henner sam był bardzo zdenerwowany. Zaczął ją całować po rękach powtarzając:

— Rosemarie, jestem taki szczęśliwy, taki szczęśliwy, że wreszcie wiesz, iż jesteś zdrowa. Czy nie cieszysz się, czy nie jesteś szczęśliwa? — pytał zdziwiony.

Spojrzała na niego — miała łzy w oczach:

— Jeszcze nie mogę uwierzyć — wydaje mi się że śnię. A poza tym — ciotka Herta — dlaczego miałam milczeć, dlaczego nie powiedziałeś profesorowi prawdy? Błądzą w ciemności po omacku i nic nie rozumiem — powiedziała bezradnie, cichym głosem. Henner objął ją czule mówiąc:

— Chodź kochanie, wracajmy do hotelu. Tam dowiesz się wszystkiego. Wyjaśnię ci to, czego teraz jeszcze nie możesz pojąć. Nie przejmuj się i nie myśl o niczym innym tylko o tym, że jesteś zdrowa.

W drodze powrotnej nie rozmawiali — milcząc trzymali się za ręce, a Henner nie spuszczał oczu z jej bladej twarzy.

Po powrocie do hotelu Henner pomógł Rosemarie zdjąć płaszcz, a oddając swój kapelusz Kulitżowi, powiedział, że przed obiadem nie będzie go potrzebował.

Młoda para została w salonie, który oddzielał ich pokoje.

Kiedy zostali sami Henner posadził Rosemarie na kanapie i usiadł obok niej. Wziął ją za rękę i przytulił je do piersi, jak gdyby chciał je ogrzać. Nieprzewidziany przez niego przypadek, że zaprowadził Rosemarie do lekarza, który ją badał przed dwoma laty spowodował, iż nie mógł dłużej zwlekać, aby powoli i oględnie przygotować Rosemarie do decydującej rozmowy. Był zmuszony bez ogródek powiedzieć jej całą prawdę, aby uwolnić ją od niepokoju i zwątpień.

Popatrzyła na niego, a jej wzrok wstrząsnął nim. Obok radości z tego, że lekarz stwierdził, iż jest całkowicie zdrowa w jej oczach była trwoga i cierpienie. Wiedział, że jest jak roślina wyrwana z ziemi, którą trzeba na nowo zasadzić.

— Hennerze, mów! — szepnęła drżącym głosem. Czule patrząc na żonę zaczął mówić:

— Moje ty biedne kochanie! Przykro mi, że twoją radość, iż jesteś zdrowa, zmuszony jestem zmącić tym, co mam ci do powiedzenia. Gdybym wiedział, że byłaś już u profesora Vogla, zaprowadziłbym cię do innego lekarza. Chciałem cię oględnie i powoli przygotować. Pamiętasz, że obiecałem ci prezent, kochanie?

— Tak, tak! — skinęła niecierpliwie głową.

— A więc tym prezentem miała być pewność, że jesteś zdrowa. Wiedziałem o tym już kiedy ostatnio wróciłem z podróży z Berlina i kiedy poprosiłem cię, abyś poszła ze mną do lekarza. Jego diagnoza miała mi pomóc. Wiedziałem, że nigdy żaden lekarz nie zabronił, abyś wyszła za męża. Co więcej, wiedziałem, że twoja matka nigdy nie chorowała — zawsze była zdrowa tak jak ty. Oto orzeczenie doktora Soltaua, który badał twoją matkę zanim wyszła za męża. To orzeczenie przywiozłem wtedy z mojej podróży.

Henner wyjął orzeczenie doktora Soltaua i podał je Rosemarie. Młoda kobieta zaczęła czytać, a kiedy skończyła podniosła oczy i patrzyła na Hennera złęknioma.

— A ten drugi list, to orzeczenie, które dałam tobie, a które otrzymałam od ciotki Herty? — zapytała drżąc na całym ciele.

Henner objął ją i cicho powiedział:

— Chyba się domyślasz, kochanie, że było sfałszowane, tak jak wszystko co powiedziała ci ciotka Herta jako diagnozę profesora Vogla.

Rosemarie drżąc przycisnęła ręce do serca i krzyknęła:

— Ciotka Herta! Hennerze — och, Hennerze! To jest — mój Boże, mój Boże, dlaczego to zrobiła? Dlaczego?

— Moja biedna Rosemarie — rozumiem cię i wiem, że to co usłyszałaś zraniło cię do głębi. Posłuchaj — ciotka Herta nie chciała żebyś wyszła za mąż, gdyż pragnęła, razem z synem dziedziczyć Waldeck i do końca zostać panią majątku, aby rządzić według własnej woli. Podejrzywałem ją o to od dawna, a nabrałem pewności w dniu naszych zaręczyn. Od tego czasu moim marzeniem było wydobyć prawdę na światło dzienne, żeby uwolnić cię od zmartwienia. Ciotka Herta prowadziła wobec ciebie okrutną, karygodną grę.

Rosemarie zakryła twarz dłońmi.

— A więc jej troska, tak często powtarzana obawa o moje zdrowie, i jej czułość — wszystko to było kłamstwem i oszustwem? Bez litości pozbawiła mnie radosnej, beztroskiej młodości i nałożyła na moją duszę ten ogromny ciężar, który przygniatał mnie do ziemi. Boże, co za otchłań, co za okrucieństwo! — mówiła przerażona.

— Tak, kochanie, rozumiem twoje oburzenie i twoje cierpienie. Wiem, ile wycierpiałaś z powodu knowań tej kobiety udającej twoją czułą opiekunkę.

Nagle Rosemarie upadła na kanapę, schowała twarz w dłoniach i głośno zaszlochała. Płacz wstrząsnął jej młodym ciałem.

Henner cicho siedział obok żony. Wiedział, że ten wybuch żalu przyniesie jej pewną ulgę i stopniowo wróci spokój. Gładził ją tylko czule po głowie.

Po niedługim czasie Rosemarie trochę się uspokoiła. Wtedy uklękł przed nią i objął ją przemawiając do niej:

— A teraz dosyć łez, kochanie! Nie wolno ci dłużej płakać. Wszystko co złe minęło. Musisz o tym zapomnieć i pokochać życie ciesząc się, że jesteś zdrowa.

Wstał, podniósł żonę, przytulił ją do piersi. Ocierając jej łzy. Poczowała dziwny spokój i pewność, że już nigdy nie dozna krzywdy i że jest bezpieczna w jego ramionach.

— Jesteś dla mnie taki dobry, Hennerze. Nie wiem jak ci dziękować, że udowodniłeś mi, iż jestem zdrowa. Boli mnie jednak to, że ciotka Herta tak mnie potraktowała — przecież nie zrobiłam jej nic złego. Gdyby nie ty, może nigdy nie dowiedziałabym się prawdy. Prowadziłabym do końca moich dni to beznadziejne życie nie wiedząc, że jestem zdrowa i że moja matka nigdy nie chorowała. Jak mam ci dziękować?

Spojrzał na nią z taką miłością, że zadrżała:

— Nie musisz mi dziękować, moja kochana. Czyż to nie ty byłaś tą osobą, która przywróciła mi wiarę w nowe życie? Czyż nie zrobiłaś dla mnie tysiąc razy więcej, niż ja dla ciebie? Dlaczego to robiłaś? Kochanie, powiedz mi — dlaczego poniosłaś dla mnie tak ogromną ofiarę?

Rosemarie spłoszyła, nie mogła oddychać i jak zaczarowana patrzyła w jego namiętne, błagające oczy.

— Hennerze, och, Hennerze zostaw mnie — nie pytaj, nie mogę ci powiedzieć — prosiła drżącym głosem nie chcąc się zdradzić.

Przytulił ją mocno do serca i czuł jak drży na całym ciele. Egoizm kochającego mężczyzny nie oszczędzał jej już dłużej — chciał usłyszeć to, co miało go uszczęśliwić.

— Nie puszczę cię, Rosemarie — czule szeptał — musisz powiedzieć mi prawdę, musisz powiedzieć to co pragnę usłyszeć. Powiedz, że mnie kochasz, powiedz, że chcesz duszą i ciałem należeć do mnie. Marzyłem o tym i będę o to walczył, ponieważ cię kocham, szczerze i gorąco, tak jak nigdy dotąd nie kochałem żadnej kobiety i nigdy żadnej nie będę kochał. Byłem strasznym głupcem mówiąc, że cię nie kocham. Szybko uświadomiłem sobie, że się myliłem! Im lepiej cię poznawałem, tym bardziej cię kochałem. Kiedy zacząłem przeczuwać, że mnie kochasz, moje serce zaczęło mocniej bić. A kiedy nachodziło mnie zwątpienie w twoją miłość, byłem bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Pamiętasz kiedy pocałowałem cię po raz pierwszy, tam, w lesie? Najchętniej zatrzymałbym cię wtedy w ramionach na zawsze. Ale twoje usta były chłodne — nie oddałaś mi pocałunku. Gdybym wtedy nie zauważył jak drżałaś i jak się zarumieniłaś — straciłbym nadzieję. Musiałem się jednak opanować aż do dnia, kiedy dowiedziałaś się, że jesteś zdrowa. Dlatego dopiero dzisiaj zadaję ci pytanie, które napawa mnie niepokojem: czy ty mnie kochasz, Rosemarie?

Słuchała jego słów uszczęśliwiona i oczarowana. Spojrzała w ukochaną twarz, w oczy, które patrzyły na nią prosząco.

— Hennerze, Hennerze! Żeby mi tylko nie pękło serce ze szczęścia! — szepnęła i przytuliła się do niego.

Objął ją jeszcze mocniej i pocałował w usta. Ból i żal minęły i w tej godzinie rozpoczęło się dla dwojga szczęśliwych ludzi nowe życie. Wobec ich gorącej miłości zniknęły wszelkie groźne przeszkody, które stały na ich drodze.

Długo siedzieli objęci, mówiąc do siebie czule słowa, raz po raz powtarzając to, czego kochające się pary tak chętnie słuchają.

Po pewnym czasie rozmowa zesłała na temat ciotki Herty.

Rosemarie westchnęła głęboko:



— Och, Hennerze, co teraz będzie? Kiedy pomyślę, że po tym wszystkim co mi zrobiła ciotka Herta musiałabym się z nią spotkać — nie, nie zniosę tego. Nie chcę jej widzieć — nigdy więcej!

— Oczywiście, że jej już nie zobaczysz. Rozumiem, że nie możesz dłużej mieszkać razem z nią. Dlatego opowiedziałem ci wszystko dopiero teraz, kiedy jesteśmy daleko od Waldeck. Nie chcę, abyś się jeszcze spotykała z tą kobietą.

Rosemarie przetarła dłonią czoło:

— Tak, ciotka musi opuścić Waldeck, ale przedtem musi się dowiedzieć, że przejrzelśmy jej niecną grę.

— Może wtajemniczylibyśmy w to wuja Steinau i poprosili go, aby jej to powiedział — zaproponował Henner.

Rosemarie potrząsnęła zdecydowanie głową:

— Nie, Hennerze, ze względu na Heinza nikt poza tobą i mną nie może się dowiedzieć o jej winie. Kocham go jak brata i wiem, że nic o tym nie wiedział. On ma prawy charakter, jest dobrym chłopcem i kocha swoją matkę. Nie dopuszczę do tego, aby cierpiał. Byłoby straszne, gdyby musiał czuć pogardę dla własnej matki. Poza tym wydaje mi się że kocha Hildę Steinau. Pomyśl, gdyby pewnego dnia oświadczył się o Hildę, a wujek odmówiłby mu jej ręki z powodu matki. Nie, wujek Steinau nie może się o tym dowiedzieć — nikt poza tobą i mną. Wszystko należy załatwić po cichu pomiędzy ciotką a nami. Proszę napisz do niej — ja nie mogę. Poślij jej oryginalne orzeczenie doktora Soltaua i załącz sfalszowany przez nią list. Napisz, że musi opuścić Waldeck zanim wrócimy do domu. Wyznaczę jej wysoką rentę, żeby mogła spokojnie żyć — przecież jest siostrą mojej matki. Jestem za bardzo szczęśliwa, aby się mścić w niegodny sposób. Powiedz jej też, żeby sama wymyśliła powód, dla którego opuszcza Waldeck. Nie chcę dopuścić do tego, aby chociażby w najmniejszym stopniu ta sprawa dotknęła Heinza.

Henner pocałował swoją młodą żonę.

— Twoje serce jest tak szlachetne i dobre, kochanie. Wszystko stanie się tak, jak sobie życzysz. Ale dzisiaj nie będę jeszcze nic robił — dzisiaj mam czas tylko dla mojej ubóstwianej żony. Wszystko co złe wykreśliamy z pamięci — jesteś moja, a ja należę do ciebie. Będziemy dbali, aby nasze serca były zawsze pełne miłości, moja kochana żono!

Rosemarie objęła go mocno szepcząc:

— Hennerze, mój Hennerze! Oby to tylko nie był sen, z którego zaraz się obudzę!

## Rozdział dziewiętnasty

Kilka dni później Herta von Ribnitz siedziała w Waldeck przy śniadaniu i przeglądała poranną pocztę. Wzięła do rąk list, który był zaadresowany przez Hennera von Teklenburga. List był polecony. Formularz, na którym potwierdzono odbiór leżał obok. W Waldeck panował taki zwyczaj — pokwitowanie odsyłano na pocztę w zaklejonej kopercie.

Zdziwiona pani von Ribnitz otworzyła gruby list, na którym była berlińska pieczętka. Najpierw wyjęła z koperty sfalszowane orzeczenie doktora Soltaua i przeraziła się. Henner von Teklenburg posyła jej to orzeczenie? Był to zły znak. Drżącymi palcami wyjęła oryginalne orzeczenie doktora. Po przeczytaniu go wzięła do ręki trzeci arkusz. Był to list Hennera, który brzmiał następująco:

Łaskawa Pani!

Załączone dwa orzeczenia nie wymagają komentarza. Pragnę tylko dodać, że wczoraj byłem z Rosemarie u berlińskiego lekarza na badaniach. Przypadek, czy zrządzenie losu sprawiły, że był to profesor Vogel, u którego była Pani z Rosemarie przed dwoma laty. Profesor dokładnie przypomina sobie, co wtedy Pani powiedział i jak brzmiała diagnoza. Tylko okoliczność, że już wcześniej byłem u doktora Soltaua — bez wiedzy mojej żony — umożliwiło mi uniknięcie katastrofy. Również doktor Soltau nie dowiedział się o sfalszowanym orzeczeniu — udało mi się temu zapobiec, co powinno Panią uspokoić.

Szczęście Rosemarie, że jest całkowicie zdrowa, było zmaćcone przerażającym odkryciem, że w tak okrutny sposób wykorzystywano jej zaufanie. Nie mogłem jej zaoszczędzić tej przykrości — musiała poznać całą prawdę, aby się przekonać i uwierzyć w zdrowie swojej matki i swoje własne.

Po tym odkryciu z pewnością Pani sama zechce opuścić Waldeck zanim wrócimy z podróży. Moja żona pozostawia Pani wybór motywów zmiany miejsca zamieszkania, który byłby wiarygodny dla Pani syna i innych osób. Ta sprawa zostanie tajemnicą nas trojga. Rosemarie wyznaczy Pani wysoką rentę, która będzie przekazywana do końca Pani życia.

Ze względu na Pani syna, którego Rosemarie kocha jak brata i który nie może cierpieć z tego powodu, proszę podać jak będzie brzmiało oficjalne wyjaśnienie Pani wyjazdu z Waldeck. Oczekujemy na wiadomość w Tyrolu, dokąd wyjeżdżamy na następne kilka tygodni. Załączam nasz adres. Heinz zawsze będzie miał w Waldeck dom, tak jak było to dotychczas. Chętnie służę Pani swoją osobą jako przyczyna do opuszczenia Waldeck. Pani niechęć do

mnie będzie wiarygodnym powodem. Poza tym nie mam Pani niczego do zakomunikowania.

Z poważaniem Henner von Teklenburg

Herta von Ribnitz zakryła twarz dłońmi i jęcząc, oparta o krzesło, robiła wrażenie człowieka bezgranicznie zawstydzonego. Teraz, kiedy wykryto jej okrutną grę, zobaczyła i uświadomiła sobie rozmiar swojego niecnego postępowania. Chociaż nigdy nie usłyszy orzeczenia żadnego sądu — jednak została skazana i załamała się pod tym wyrokiem.

Przeżywała straszne godziny i dni czyniąc sobie wyrzuty. Bez przerwy krążyła dzień i noc po zamku, aż nie opadła ze zmęczenia.

Kiedy odzyskała siły poczuła pewną ulgę, że Rosemarie wszystko wie i że nie mści się na jej synu. Poczowała w sercu głęboką wdzięczność, że Rosemarie i Henner zachowują wszystko w tajemnicy.

Po pewnym czasie napisała długi list. Bez ukrywania czegokolwiek szczerze wypowiadała się z motywów, którymi się kierowała i które doprowadziły ją do haniebnego postępowania. Na końcu dodała:

Nigdy mi nie wybaczysz Rosemarie, i nie mam odwagi prosić Cię o to. Przyznaję, że wiem, jak ciężko zawiniłam wobec Ciebie. Chcę Ci na kolanach podziękować, że zaoszczędziłaś Heinzowi, iż nie będzie musiał rumienić się z powodu swojej matki, a mnie, że nie będę się musiała rumienić przednim. Chociaż zgrzeszyłam z miłości do swojego syna — on nigdy by mi tego nie wybaczył.

Zostanę w Waldeck i będę pracować dla Ciebie ze wszystkich sił do dnia, kiedy zapowiecie swój powrót. Wyjadę i nigdy nie odważę się stanąć przed Tobą.

Zegnaj. Niech Pan Bóg da Ci pełne szczęście na jakie zasłużyłaś. Mężczyzna, którego kochasz wart jest Twojej miłości. Przekonałam się o tym już dawno, chociaż na początku byłam innego zdania. Dziękuję mu za jego wspaniałomyślność. Nie powiem, że z jego powodu opuszczam Waldeck — jako przyczynę podam, że czuję się tu zbyt cenna i w przyszłości chcę żyć w pobliżu mojego syna. Będę się stale modliła o Twoje szczęście — z całego serca, tak jak o moje własne dziecko. Niech Cię Pan Bóg błogosławi, i niech raczy mi wybaczyć!

Z głęboką skruchą zawstydzona Herta von Ribnitz

List przyczynił się do tego, że Rosemarie łagodniej patrzyła na to co się wydarzyło. Szczera skrucha i wstyd zdruzgotanej kobiety nie chybiły swojego celu.

Rosemarie odpisała:

Wybaczam Ci i nie chcę być Twoim sędzią. Będę się starała zapomnieć. Ale w przyszłości nie możemy razem mieszkać w Waldeck. Będzie lepiej dla Ciebie i dla mnie, jeżeli wyjedziesz. Kiedy się później uspokoimy i będziemy mogły znieść spotkanie odwiedzić nas — z powodu Heinza. Musimy zrobić wszystko, aby jego ochronić. Heinz nie może cierpieć z tego powodu.

Żegnaj — Bóg z tobą Rosemarie.

Minęło sześć lat od dnia kiedy Rosemarie została żoną Hennera von Teklenburga. Rozkwitła w promieniach szczęścia, a mąż ubóstwia ją tak samo jak wtedy, kiedy wysłała za niego za mąż.

Henner von Teklenburg stał się doskonałym, pilnym gospodarzem i pod jego rządami Waldeck wspaniale się rozwija. Dzisiaj w jego uśmiechniętych oczach nie widać, że kiedyś był zrozpaczony i chciał zrezygnować z życia.

Los obdarzył Rosemarie i Hennera czteroletnim synkiem i dwuletnią córeczką. Dzieci są zdrowe i radość promienieje z ich oczu.

A teraz, za dwa dni, w Steinau ma się odbyć wesele. Hilda von Steinau i Heinz von Ribnitz zostali wierni swojej miłości.

Papa Steinau wydaje huczne przyjęcie i ciotka Herta — na wyraźne życzenie Rosemarie — weźmie w nim udział.